

*Gustaw
Morcinek*



LUDZIE

SA, DOBRZY

MORCINEK GUSTAW

Ludzie sa dobrzy

GUSTAW MORCINEK

PWLD

Nasza Księgarnia – Warszawa – 1956

O tym, jak się pompa zepsuła i co z tego wynikło

Wszystko to stało się nieoczekiwanie.

Kiedy stary Kurzejka przyłożył pneumatyczny świder do calizny i spojrzał na ludzi w przodku* (* Przodek w kopalni – miejsce, gdzie górnicy kopią węgiel), chudemu Pasierbkowi wypadła lampa ze stempla. Widocznie zbyt słabo wbił jej zaostrowany hak do drzewa i teraz wypadła. Lecz nie zgasła. Wszyscy myśleli, że może nawet szkło rozbiło się na kawałki, gdyż tak mocno dźwiękła o kamień. Lecz potem każdy ze zdumieniem ujrzał, że płomyk w lampie pali się dalej.

–Trąbo jedna!. – ofuknął go Zarychta.

–Hm, to coś złego wróży... – mruknął zabobonny Kurzejka i splunął poza siebie.

A wtedy wszyscy podnieśli głowy i spojrzeli na strop. Bo chyba stamtąd mogłaby spaść śmierć na ludzi. Lecz strop był dobrze podbudowany.

–Ehm, nie plećcie, ni!... – uspokoił go Zarychta.

Wówczas stary Kurzejka nacisnął dużym palcem skobel i zgęszczone powietrze bluznęło do jądra maszynki. Maszynka zaczęła przeraźliwie szczekać, powietrze ryczało, a stalowy świder rzucał się i wgryzał w caliznę jak opętany. Zuczek zaś z Zorychtą jęli odpychać pełny wagonik w głąb chodnika, Pasierbek zgarniał węgle łopatą, a Heczko z Donocikiem zaczęli się mordować z ciężkim stemplem, usiłując podeprzeć nim strop. Stempel pachniał żywicą i słońcem. Kurzejkowa maszynka zaś wyła i szczekała rytmicznie.

Oto teraz Kurzejka wywierci jedną dziurę w caliznie, potem drugą, potem jeszcze trzecią, włoży dynamit, zapali i ucieknie. Z nim razem uciekną wszyscy towarzysze. A za chwilę płaski łoskot rozwali się w ciszy kopalni, zerwana calizna zahurkoce ogromnymi kęsami węgla, słodkawy dym zakrztusi ludzkie płuca, a kiedy się rozejdzie, wszyscy pójną za Kurzejką, by zobaczyć, czy dużo węgla zerwało. Jeżeli

dużo, to Kurzejka nic nie powie, tylko splunie i strzępiaste wąsy obetrze dłonią. Jeżeli zaś mało węgla wyrwie, Kurzejka powie: "Pierzyna, chłopci! Ani na słoną wodę nie zarobimy..."

Świder utonął już do połowy w caliźnie, maszynka raz po raz zacinała się. Wówczas Kurzejka cofał ją nieco, naciskał kciukiem wentylek, a wtedy maszynka znowu zaczynała krzyczeć i szczekać, a świder skakał i wgryzał się w jądro węgla. I właśnie Kurzejka zamierzał go wymienić na dłuższy, gdy znienacka stało się...

Kurzejka tylko krzyknął okropnym głosem i odskoczył. A z otworu wyskoczył świder z maszynką, a za świdrem runęła szumiąca struga czarnej wody. Biła długim łukiem, zalała ludzi i lampy, a równocześnie jęły się wykruszać ogromne kęsy węgla i zwałać na chodnik. Woda zaś coraz bardziej buchała z otworu. Przerażeni ludzie porywali lampy, porywali ubrania i uciekali za Zorychtą, któremu lampa nie zgasła. A woda za nimi leciała z grzmotem, przewalała się koło nóg, huczała coraz głośniej, podbierała ściany i gnała gankiem jak rozpętana rzeka.

Kucharczyk wpychał wagoniki do windy pod szybem, kiedy nadbiegli przerażeni ludzie.

–Co jest? Co się stało!... – zawołał, bo ujrzał w ich oczach ogromny strach.

–Woda!... – wymamlał zdyszczanym głosem Kurzejka. – Prędko!... Do telefonu!...

Kucharczyk wepchnął wagoniki do windy, założył skoble, zadzwonił szybko, a potem pośpieszył z Kurzejką do telefonu. Nawet nie pytał, co się stało. Już wiedział wszystko. Oto gdzieś w piętnastym pokładzie woda zatapia chodniki. Inżynier Wójcicki zawsze o tym mówił.

–Uważajcie, ludzie! – mawiał przy każdej sposobności. – Bo w piętnastym pokładzie jest woda.

Górnicy kiwali głowami i uważali. Lecz wody nie było. Tyle tylko, co za trzecią pochylnią sączyła się ze stropu drobnymi niteczkami.

–Uważajcie, chłopci! – mawiał znowu inżynier Wójcicki. – Bo w piętnastym pokładzie musi być podziemne jezioro! Gdyby tak przebić się do niego świdrem, nieszczęście gotowe!

Teraz już nieszczęście było gotowe. Dobrze przynajmniej, że inżynier Wójcicki przygotował w szybie trzy pompy. Dwie będą pracowały, trzecia będzie odpoczywała. A gdy się jedna zmęczy, trzecia ją zastąpi. Teraz pracuje tylko jedna pompa, a dwie spoczywają.

–No prędzej, prędzej... – krzyczał do Kucharczyka zniecierpliwiony Kurzejka.

Kucharczyk przekręcił klucz kabiny, poświecił, a Kurzejka skoczył do telefonu i ją dzwonić. Potem zaczął krzyczeć:

–Panie inżynierze... tu Kurzejka z piętnastego pokładu... Co?... Tak, z piętnastego... Melduję... że woda!... Przerwała ścianę... zalewa ganki niżej położone... Tak, zalewa... Dobrze!... Ze wszystkich pokładów?... Dobrze panie inżynierze!... A pompy? Dobrze!...

Zawiesił słuchawkę i oparł się o ścianę.

–Pierzyna jasnego!... – szepnął tylko, a w oczach jeszcze mu latały błędne ognie.

Potem wybiegł do swoich ludzi. Stali pod szybem i czegoś słuchali. Słuchali, czy woda szumi w szybie. Wiedzieli bowiem, że gdy wypełni wszystkie ganki w piętnastym pokładzie, przecieknie sztolnią do szybu. Wylot sztolni znajduje się o kilka metrów niżej. Na jej poziomie czernią się pompy elektryczne. Teraz tylko jedna mruży wysokim tonem, a rura dygoce w obsadzie.

–Kamraci!... – zawołał Kurzejka na ludzi. – Pan inżynier Wójcicki zjeżdża w tej chwili. A wy teraz każdy do innego pokładu i alarmować!... No, już!... Ty, Zorychta, do dwunastego, Pasierbek do Henryjety, Zuczek do osiemnastego, Heczko do dziewiętnastego, Donocik... wy też do dziewiętnastego w zachodnie pole!... Heczko do wschodniego pola... Alarmować!... Uderzać po rurze!... Wiecie, jak alarmować?... Trzy razy... raz!... I znowu trzy razy... i raz... długo, aż wam odpowiedzą... Już!...

–A kto do piętnastego? W zachodnim polu są ludzie! – zawołał jeszcze Zarychta.

–Ach, pierzyna!... Głowa człowiekowi pęka! Wy, Zarychta, po drodze wbiegnijcie do piętnastego!... Zaraz za drzwiami przy kołowrocie jest Hanzel!... Powiedzcie, o co chodzi, niech on alarmuje!... No już, nie stójcie, pierzyna jasnego!...

Zadudniły kroki, Kurzejkowi kamraci pognali. Kurzejka patrzył za nimi, jak tonęli stopniowo w mrokach. Stał oparty o ścianę i ocierał pot z czoła. Dyszał ciężko i splotował. Potem zjechał inżynier Wójcicki.

Odtąd rozpoczęły się zapasy ze wzbierającą wodą.

Załoga kopalni wyjechała spod ziemi w ciągu dwóch godzin. Pozostali tylko najbardziej doświadczeni górnicy, skupieni koło inżyniera Wójcickiego. Inżynier był spokojny. Jedyne jego wysokie, wypukłe czoło marszczyło się nieznacznie, a w siwych oczach błyskały zimne płomyki.

Wszyscy wiedzieli, że teraz rozpocznie się zawzięta walka nie tylko o kopalnię, lecz i o chleb. Jeżeli nie zdoła się zbudować na czas tamy u wejścia do piętnastego pokładu, jeżeli do tego czasu pompy zawiodą, kopalnia będzie zniszczona. Woda

zaleje wszystkie ganki, chodniki, sztolnie i szyby. Wtedy już wszystko skończone. Kilka lat potrwa, zanim będzie można kopalnię odwodnić. A przez tych kilka lat wszyscy górnicy ze szybu "Wolfgang" zostaną bez pracy. Wtenczas głód przyjdzie do domów. Bo gdzieżby tu teraz można otrzymać pracę, kiedy wszędzie bezrobocie! ... Ileż to kopalni stoi beczynnie, a zwolnieni z pracy górnicy na próżno jej szukają! ...

Wszyscy o tym wiedzieli.

Inżynier Wójcicki próbował ich zachęcić do pracy, ale przerwał mu Kucharczyk:

–Dyć my wiemy dobrze, pięknie proszę, panie inżynierze!...

–Nie trzeba mówić, ni!... – poparli drudzy Kucharczyka.

–Jeżeli tego pierzyństwa nie wstrzymamy, to koniec z nami! – dodali inni.

Inżynier wyznaczył górników do budowy tamy. Cement w beczkach, cegły, drzewo i ciężkie żelazne sztaby jeszcze w tym samym dniu spuszczone do kopalni. Przystąpiono bezzwłocznie do pracy. Ludzie stali po kolana w rwącej wodzie. woda ryczała i głużyła ludzkie wołania. Trzeba było porozumiewać się na migi. Równocześnie inżynier puścił w ruch wszystkie trzy pompy. Wnętrze studni szybowej rozjęczało się potrójnym, wysokim, wibrującym dźwiękiem, a trzy rury, sunące po betonowej ścianie szybu na powierzchnię, dygotały i dzwoniły wypychaną wodą.

Inżynier kazał ustawić na rusztowaniu koło pomp wszystkie zapasowe ich części. Nie może brakować najmniejszej śrubki. Klucze, obcęgi, śruby, kółka, wały, skrzydła mosiężne, zwoje drutów, elektromagnesy, motory – wszystko to czekało swego przeznaczenia.

I kiedy jedna część załogi mozoliła się przy wznoszonej tamie, druga część czatowała przy pompach. Inżynier przeprowadzał z nią ustawiczne ćwiczenia przygotowawcze. Każdy z robotników miał wyznaczoną czynność. Każdy ruch musiał tu być obliczony na ułamki sekundy. Po kilkurazowym ćwiczeniu inżynier przekonał się, że w razie zepsucia się pompy wystarczy piętnaście minut i trzy sekundy na jej całkowite rozebranie, wymianę zniszczonych części i założenie.

–To wam mówię, ludzie!... – pouczał ich ciągle. – Tylko się nie denerwować, tylko spokojnie! Obliczyłem, że jeżeliby nam pompa jedna stanęła, to wystarczy piętnaście minut i dziesięć sekund na pracę. W przeciągu tego czasu woda podniesie się pod kolektory. Nie możemy do tego dopuścić. Gdyby się tak stało, koniec z nami. Motory staną i woda zatopi kopalnię. Wymienić zniszczone części pompy możemy w ciągu piętnastu minut i trzech sekund. Siedem sekund mamy do rozporządzenia na nieprzewidziane roboty. Tylko się nie denerwować!... Zrozumieliście?

–Zrozumieliśmy! – odpowiedzieli górnicy i patrzyli spokojnie w siwe oczy inżyniera.

–A długo to potrwa? – zapytał Kurzejka.

–Co?

–No to, stawianie tamy?

–Liczę, że dziesięć dni!... Do dziesięciu dni grozi nam wciąż niebezpieczeństwo. Potem już odetchniemy. Pompy też odetchną!... Żeby tylko wytrzymały!...

Siedzieli wszyscy na rusztowaniu i słuchali, jak woda wywala się z wylotu sztolni i grzmi pod nimi. Jeżeli się schylić z lampą i popatrzeć, można było widzieć jej skłębione bryzgi, rzucające się zapamiętałe na cmokające pompy. Pompy zaś grały wysokim tonem, jednostajnym, rytmicznym.

Minęły trzy dni. Zmieniały się załogi przy tamie i przy pompach. Tamte przy pompach bez przerwy ćwiczyły się i zaprawiały do szybkiej, zorganizowanej pracy w razie zepsucia się jednej z nich. Inżyniera Wójcickiego zastępowali po południu i w nocy inżynier Buzek i inżynier Wachter.

Na czwarty dzień, kiedy inżynier Wójcicki badał wysokość poziomu wody w szybie, jedna pompa zaczęła charczeć. Jak człowiek, kiedy mu tchu brakuje. Stało się to nieoczekiwanie. Oto przed chwilą wszystkie trzy grały jeszcze dźwięcznym, wysokim, wibrującym tonem, jakby ktoś palcem wodził po napiętych strunach. Aż nagle jedna pompa zachłysnęła się znenacka i zaczęła charczeć.

Zerwali się ludzie, przyskoczyli do niej.

–Jezusie święty!... Pompa umiera!... – krzyknął ktoś z gromady.

Nachylił się nad nią rząd głów, oświecił ją rząd migocących płomyków. Każdemu zdawało się w tej chwili, że to nie pompa, nie jakaś maszyna bezduszna, lecz żywe stworzenie, które mociuje się z nadchodzącą śmiercią. Broni się przed nią jak człowiek. W jej wnętrzu przelewa się charkot, a jej lśniąca metalowa cielsko dygoce z wysiłku. To jej serce dygoce! Tak, to jej serce!

–Jezus!... Maryja!... Pompa umiera!... – zawołał ktoś drugi.

–Cicho! – bryznął między nich mocny głos inżyniera. – Uwaga!

Podnieśli się wszyscy raptownie, stanęli na wyznaczonych miejscach.

–Uwaga, ludzie! – rzekł znowu inżynier. – Zatrzymuję pompę! Gdy dam znak, do roboty! Gotowicie?

–Gotowi!...

Inżynier przełożył wyłącznik, błysnął snopek niebieskich iskier, pompa westchnęła i teraz zaczęła się uciszać.

–Już! – krzyknął.

A w tej samej chwili czarni, schyleni ludzie skoczyli do pompy. Dwóch z kluczami, reszta z lampami. Wyciągnęły się drapieżne, zakrzywione palce, nachyliły się zawzięte oczy nad cichnącą maszyną. I kiedy jedni jęli szybko, bardzo szybko odkręcać śruby, drudzy pomagali palcami, kładli na deski, ujmowali ciężkie nakrycie metalowe, zahaczali łańcuchy wiszące u ruchomego dźwigu. Robota paliła się w dłoniach. Wszystkie ruchy były krótkie, odmierzone, spokojne.

Inżynier stał obok i trzymał stoper w dłoni. Stoper tykał dźwięcznie, a pod szkłem posuwała się cienka wskazówka. Czas, dzielony na ułamki sekundy, uciekał szybko spod palców inżyniera.

Górnicy odkręcili dwanaście śrub, podnieśli na łańcuchu nakrycie, odsunęli, teraz jęli szybko majstrować koło łożysk. Inżynier przeniósł oczy ze stopera na łożyska. Ujrzał, że mosiężne skrzydła były wytarte i jakby zużyte po krańcach.

"Piasek je zniszczył!..." – pomyślał.

–Wymienić łożyska i skrzydła! – rzucił krótko i znowu milczał, patrząc na stoper. Minuty mijały. Minęło już sześć minut. Robotnicy mozolili się z wydobyciem łożysk. Woda podnosiła się stopniowo pod pompy. Tamte dwie dźwięczały równym tonem.

–Czy pomóc? – zapytał krótko inżynier.

–Nie trzeba!... już idzie!... – rzekł ktoś, cedząc słowa z wysiłkiem.

Inżynier Wójcicki patrzył teraz, jak zwinne dłonie odkładają zniszczone łożysko, jak porywają nowe, błyszczące, ociekające oliwą, jak je wkładają, uderzają młotkami. Teraz wał ze skrzydłami przenoszą, wsuwają w łożysko. Jeden z nich mierzy, czy równo osadzony. W szklanej rurce, napełnionej wodą, przesuwają się nieznacznie podłużny kształt zamkniętego powietrza. Nachylone oczy patrzą czujnie.

–W porządku!... – woła ktoś z gromady.

–Przykręcić! – rzuca twardo inżynier. W głosie jego dygoce już lekki niepokój. Mija ósma minuta, za trzydzieści dwie sekundy minie dziewiąta minuta. Woda pod pompami coraz wyżej. Znienacka tknęła go przykra myśl. Czy tylko dobrze obliczył szybkość wznoszenia się poziomu wody? Jeżeli się omylił o ułamek sekundy, może być wszystko za późno. Woda coraz wyżej! Pieni się i burzy, już bryzgi jej skaczą na

kolektory.

Ludzie także widzą wznoszącą się wodę. Niepokoją się. Raz w raz czyjś ruch staje się jakby załamany.

–Ludzie!... Spokojnie!...

Już przykręcone skrzydła, teraz przysunąć dźwig z ciężkim, kopulastym nakryciem. Kilka dłoni ciągnie za łańcuch. Łańcuch wypręża się, a kopulaste, czarne, metalowe nakrycie posuwa się, kołysze nieznacznie. Teraz łańcuch zgrzyta, nakrycie opuszcza się powoli.

Ktoś z górników schylony trzyma lampę przy oczach i woła:

**–Na prawo!... Jeszcze trochę!... Powoli!... Opuszczać!... Stać!... Jeszcze na prawo!
... Dobrze!...**

Woda szumi coraz mocniej, pieni się coraz bardziej, skacze coraz wyżej. Na stoperze inżyniera skacze cienka, długa wskazówka i mierzy drogi czas. Czas zdaje się uciekać krótkimi skokami spod niecierpliwych palców.

–Jeszcze jedna minuta i pięć sekund!... – myśli głośno inżynier.

Woda bryzga już na rusztowanie, podmywa stopy robotnikom. Czarna, szumiąca, wzburzona. Gdy któryś z robotników opuści w pośpiechu swój wzrok, wydaje mu się, że widzi w niej czarną śmierć, pragnącą ugryźć wyszczerzonymi kłami.

–Powoli, górnicy!... Spokojnie!... – woła znowu inżynier, bo widzi, że ludzie denerwują się. Przeraża ich woda podmywająca im stopy. Nakrycie usiadło ciężko, otwory weszły składnie w wystające śruby. Kucharczyk i Zuczek wkładają nakrętki. Biorą je z otwartych dłoni kamratów. Kilka ruchów palcami, nakrętka trzyma. Teraz kluczem trzeba kręcić. Klucz oślizguje się z nakrętek.

–Spokojnie!... – powtarza inżynier i patrzy na stoper. Stoper gdacze, czarna wskazówka posuwa się skokami, odmierza czas rytmicznie. Jeszcze pięćdziesiąt dwie sekundy.

Zuczek mocuje się z trzecią nakrętką. Kucharczyk dopiero z drugą. Szybciej trzeba to zrobić!... A nakrętka opiera się, nie chce dojść do swego miejsca. Kucharczyk założył mocniej klucz, zaparł się nogą, obiema dłońmi pociągnął.

W tej samej chwili klucz wyśliznął się z nakrętki, Kucharczyk stracił równowagę.

–Jezus!... – krzyknął jeszcze, próbując ułapić się gładkiej ściany betonowej.

Zanim towarzysze mieli czas doskoczyć, obsunął się ciężko i runął w zbełtaną wodę.

–Ratować!... – krzyknął inżynier.

Wszyscy nachylili się nad wodą. Widzą, jak gwałtownie wir odpycha Kucharczyka pod przeciwległą ścianę, jak go zalewa woda, a on czepia się ściany rozczapierzonymi paluchami.

Inżynier przeskoczył pompę, przelazł chyłkiem pod żelazną belką, chwilę zawahał się, potem w kilku krokach przemknął nad przepaścią. Podkute buty zazgrzytały na wąskim, oślizgłym trawersie. Nachylił się, podał rękę Kucharczykowi. Kucharczyk coś krzyczy, lecz nie można go zrozumieć, bo woda jeszcze głośniej krzyczy. Inżynier nachylił się niżej, ujął go za ramię...

Trzyma go mocno i woła na górników, żeby podeszli i pomogli. Przysuwają się do niego nachylone postacie. Rząd świateł sięga nad wodę. Wszyscy zapomnieli o zagrożonych pompach, o motorach, o wszystkim. Widzą tylko swojego towarzysza, dławiącego się w czarnej, spienionej topieli.

Młody, chudy Kubiczek prześlizgnął się po trawersie do inżyniera, ujął za drugie ramię Kucharczyka. Teraz już uratowany!...

W tej chwili trysnęły strugi niebieskich iskier, coś gwałtownie strzeliło. I znowu druga strona niebieskich iskier oślepiła oczy, przewalił się suchy, gwałtowny trzask. Równocześnie wysoki, podwójny, wibrujący ton motorów zamarł. Jakby siekierą odciął!...

Nastała cisza. Woda tylko szumi i szumi coraz głośniej. Już zatapia kolektory!...

Ktoś z ludzi krzyczy:

–Chryste Boże!... Pompy stanęły!...

Inżynier Wójcicki podwleka Kucharczyka, zanurzonego w wodzie po ramiona, mocije się z jego ciężarem, na rusztowanie podnieść usiłuje i woła:

–Po ludzi ku tamie!... Szybko!... Niech uciekają pod szyb...

O tym, jak się Kucharyja martwi

Chudy i blady Kucharyja wspiał się na palce i spojrział w zwierciadło. Chciał się przekonać, czy już posiwiiał. Nie dojrzał ani jednego siwego włoska w swej czarnej czuprynie.

"To dobrze!" – pomyślał z niewielką ulgą. Potem znowu zaczął się martwić.

Kucharyja wiedział o wszystkim. Kiedy ojca przywieziono do szpitala ze złamaną nogą, rozbijał się w szkole na korytarzu. Właśnie siedział na Olszaku, najsilniejszym chłopcu w szóstej klasie, i mocował się z Jastrzębskim, siedzącym znowu na Nalewajce, gdy przyszedł tercjan.

–Chłopcy – nie wrzeszczcie!... – zawołał grubym basem na rozbrykaną gromadę dzikusów szkolnych. Lecz chłopcy nie zaprzestali swojej zabawy. Cóż ich tam tercjan obchodzi?... Olszak nadal udawał narowistego konia, unoszącego na swoich barkach chudego Kucharyję, a Nalewajka udawał drugiego konia, harującego ze skulonym Jastrzębskim na ramionach. Wszak wszyscy już wiedzieli, że Jastrzębski lada chwila runie na posadzkę, strącony przez słabszego Kucharyję. Obydwa "konie" rżały przeraźliwie, kopały nogami, skakały niczym prawdziwe konie, a ich jeźdźcy, Kucharyja i Jastrzębski, okładali się pięściami i usiłowali jeden drugiego pokonać. Reszta chłopców otaczała bojowników i rumaków wielkim kołem i krzyczała tak głośno, że aż tercjan Bylok uszy zatykał palcami.

–Powiadam wam, nie wrzeszczcie tak, jakby was ze skóry odzierano!... – zahuczał tęgim basem i postąpił groźnie do chłopców. – Bo panu kierownikowi powiem!...

Teraz dopiero poskutkowała groźba. Chłopcy przestali krzyczeć, rozstąpili się, jeźdźcy przestali się mocować, "konie" zaś, dyszące z utrudzenia, stanęły w miejscu.

–Co to jest? Co się stało?... – zapytał ktoś z gromady.

–Kto tu jest Kucharczyk?... – zwrócił się tercjan do wszystkich.

–Kucharyja!... Na koniu siedzi!... Na Olszaku!

–O co chodzi, panie Bylok? – zapytał Kucharyja, złażąc z ramion Olszaka.

–Tyś jest Kucharczyk?

–Ja...

–To ty tu wrzeszczysz jak lucyfer, a twój ojciec... – tu się tercjan zawahał.

–Co się stało z ojcem? – przeląkł się Kucharyja, a trwoga ścisnęła mu serce.

Skoczyła mu gdzieś pod gardło i na krótką miareczkę czasu zatkała oddech.

–No nic!... – zaczął Bylok ociągająco. – Wiesz, bo twojego ojca teraz odwieziono do szpitala!

–Jezusku na świecie!... Do szpitala?...

Wszyscy chłopcy wstrzymali oddech, nachylili głowy, zapatrzyli się w suchą twarz tercjana Byloka.

–Jako mówię! Do szpitala! Nogę ma złamaną!

–To on umrze!... – zakwilił zniechęca Kucharyja i już chciał płakać, lecz pocieszył go tercjan:

–Ale zaraz-ci tam będzie umierał!... Nie becz jako stara baba! Nogę mu tylko złamało, i to wszystko. Wyjdzie z tego! Powiedział pan kierownik, że możesz teraz iść do ojca, do szpitala. Chcesz?...

–Ty, Kucharyja, chciej!... Ja pójdę z tobą!... – zgłosił się na ochotnika Olszak.

Kucharyja już nie słuchał, co do niego mówią koledzy. Wpadł do klasy, porwał czapkę spod ławy i zbiegł po schodach do bramy.

Ktoś tam za nim coś wołał, ktoś biegł za nim, lecz on już nic nie słyszał. Widział tylko przed sobą ojca ze złamaną nogą. Przypomniał mu się koń, ten piękny czarny koń Wani, który sobie złamał oto niedawno nogę. Stoczył się z wozem do kamieniołomu i złamał nogę. Była to przednia prawa noga. Ostra kość przebiła skórę i sterczała ukrwawiona. A czarny Frycek leżał na lewym boku, rżał cicho, patrzył na ludzi smutnymi oczami, a raz po raz wstrząsały nim dreszcze.

–To go strasznie boli!... – posłyszał wówczas Kucharyja czyjąś uwagę.

I wtedy tak mu się wydawało, jakby on sam cierpiał ów okropny ból konia, który nie mógł się podnieść, tylko na ludzi patrzył smutnymi oczami, rżał cicho i prosił o ratunek. Potem przyszedł ten wielki pan policjant Kucz. Coś wołał na zebranych ludzi, a ludzie jęli się cofać, Kucharyję zaś z innymi chłopcami odpędzili krzykiem. A kiedy Kucharczyk odbiegł kilkanaście kroków, usłyszał strzał. Jakby ktoś klasnął w dłoń, w których leżą płaskie kamienie.

Zrozumiał, że to pan policjant Kucz zastrzelił czarnego Frycka. Chciał się wrócić, lecz nie mógł. Wiedział, żeby musiał płakać z ogromnego żalu, a potem ludzie by się naśmiewali z niego. Popłakał sobie dopiero w domu na strychu. Potem przez kilka dni wciąż widział nieszczęsnego Frycka leżącego ze złamaną nogą w głębokim kamieniołomie. Nawet raz śnił mu się, jak biegnie przez pola o trzech nogach,

czwartą złamaną wlecze po grudach i rzy ogromnie smutnie.

–Frycek!... Mój Frycku!... – zawołał do niego i zbudził się raptownie. Nad nim stał ojciec i czegoś mruzczał zaniepokojony. – Cóż tak krzyczysz? Co się z tobą dzieje? – pytał potem.

Na stole paliła się lampa, czarne oczy ojca błyszczwały w jej świetle ciepłym blaskiem, a chropowata dłoń jego dotknęła policzka synka. Pod owym dotknięciem mały Kucharyja uciszył się w tym okamgnieniu, usnął i już nie śnił więcej o czarnym koniu Wani.

Biegł teraz czarną drogą, roztrącał ludzi i połykał łzy. Szeptał wciąż święte słowa. Ludzie patrzyli za nim zdziwieni, a ktoś nawet wołał, że z pewnością coś zbroił i teraz ucieka przed kijem. Inni śmiali się głośno.

Wpadł do bramy szpitalnej.

–Hola!... Dokąd to, synku, tak śpieszysz?... – zatrzymał go szorstki głos odźwiernego.

Kucharyja stanął zalekniony, patrząc niespokojnie w nastroszone brwi starego Gąsiora.

–No, dokąd tak lecisz? – zapytał znowu.

–Mój Boże!... Ojciec...

–Aha, to ten, co go teraz przywieziono... Ze złamaną nogą!... No idź!... Tamte drzwi trzecie! Może cię puszczą!

Jakiś pan w białym fartuchu, cuchnący karbolem, nie puścił Kucharyi do ojca. Zagroził mu drogę ramieniem, wyprowadził na próg.

–Nie becz, mały! – pocieszał go. – Teraz ojca nie możesz zobaczyć! Jutro przyjdź, pojutrze...

–Ale ojciec mi umrze! – wykrztusił chłopiec, dławiąc się łzami.

–Ale nie pleć, nie! Za miesiąc, za dwa będzie zdrowy! No uciekaj, bo jeszcze co oberwiesz!

Ponieważ chłopiec nie chciał odejść, lecz wciąż się napierał, żeby go puścić do ojca, więc tamten pan w białym fartuchu, cuchnący karbolem, nacisnął jakiś czerwony guziczek w ścianie, a gdzieś daleko w głębi budynku odezwał się dzwonek. Wnet nadszedł jakiś srogi człowiek z wielkim brzuchem i z siwymi, kręconymi włosami na

wielkiej głowie.

–Panie Sosna, weźcie tego chłopca, a wyprowadźcie go za bramę! – rzekł do niego tamten pan w białym fartuchu, cuchnący karbolem.

–Puśćcie mnie do ojca! Puśćcie mnie do ojca!... – krzyczał już teraz mały Kucharczyk. A kiedy go tamten srogi człowiek z wielkim brzuchem ujął mocno za ramiona i jął go wypychać za drzwi, zapierał się nogami, kopał, starał się wydrzeć z jego ciężkich dłoni. Wtedy zniecierpliwiony srogi człowiek z wielkim brzuchem ujął go mocno jedną dłonią z tyłu za kołnierz, drugą dłonią za spodnie, nieznacznie uniósł i poprowadził do bramy. Z otwartych okien wychylały się zdziwione twarze, zwabione rozpaczliwym płaczem i krzykiem chłopca. Niektórzy śmiali się głośno, inni zaś coś wołali na srogięgo człowieka z wielkim brzuchem.

–Jutro przyjdź!... – rzekł mu szorstko tamten człowiek i wypchnął go za bramę.

Kucharyja poszedł złamany do domu, płacząc rzewnie po drodze. Siostry Jadwiżki nie było jeszcze w domu. Usiadł przeto na łóżku, zakrył oczy dłońmi i znów płakał. Potem przyszła Jadwiżka. Rzuciła książki na stół i zaczęła także płakać.

W nocy Kucharyja znowu śnił o tamtym czarnym Frycku ze złamaną nogą. Frycek biegł przez pola, rżał żałośnie i coraz potykał się i zwał do bruzdy, bo złamana noga nie mogła go unieść.

–Cicho, Hanysku, cicho!... – szeptała siostra i głaskała go po twarzy. Dłonie siostry pachniały książkami i atramentem.

Nazajutrz siostra nie pojechała do szkoły.

–Mój Boże, a miałam mieć dzisiaj lekcję w trzeciej klasie! Pan profesor da mi złą notę. A może... – nie dokończyła, bo w myślach ujrzała ojca. Skurczyła się bezwiednie, jak pod nagłym uderzeniem. Zamrugowała szybko, zatrzepotała rzęsami, potem wytarła je dłonią i jęła się krzątać po kuchni. Oto trzeba śniadanie ugotować, posprzątać, ubrać się, książki pozbierać i raz po raz spoglądać na zegar, czy zdąży do pociągu.

Przypomniała sobie, że dzisiaj przecież nie jedzie do szkoły. Nie trzeba się więc śpieszyć. Jej koleżanki z piątego kursu będą zdziwione. Jutro musi pojechać, boby pan profesor pomyślał, że... Ale nic by nie pomyślał! Wszak i tak dyrekcja seminarium dowie się o nieszczęściu, jakie spotkało ojca, Hanyska i ją samą. Chyba ojciec nie umrze! Jezusku, nie może umrzeć!...

Otrząsnęła się przestraszona tamtą okropną myślą.

Przed południem Kucharyja z siostrą udali się do szpitala. Nikt im nie bronił wejścia

do bramy i do białego budynku. Przyszedł tamten wczorajszy srogi człowiek z wielkim brzuchem i z białą czupryną na wielkiej głowie. Dzisiaj patrzył łagodnie. Kucharyi zdawało się, że nawet jego brzuch stał się mniejszy, a białe włosy mniej pokręcone.

–Do ojca przyszlście?... Do ojca?... No chodźcie!... – rzekł i poszedł przodem, otworzył potem drzwi do wielkiej sali i wskazał palcem na przedostatnie łóżko koło pieca.

–Tam leży! Siostró Kazimiero!... – zawołał półgłosem do przechodzącej zakonnicy. – To dzieci tamtego bez nogi... Proszę się nimi zaopiekować...

Teraz blademu i chudemu Kucharyi wszystko wydaje się jeszcze okropniejszym snem aniżeli tamten sen o czarnym koniu ze złamaną nogą.

Kiedy nazajutrz poszedł do szkoły, wójt Olszak poklepał go po ramieniu i powiedział:

–Nie martw się kolego!... Wszystko będzie dobrze!...

A potem zdzielił pięścią Blattana, bo popchnął Kucharczyka. Blattan zaperzył się, lecz wszyscy chłopcy wsiedli z krzykiem na niego i wygonili go na korytarz.

–Jakby to on się czuł, gdyby go takie nieszczęście spotkało?... – powiedział wtedy modrooki Raszka, o którym chłopcy mawiali, że nad zdechłym wróblem płacze. Podszedł do Kucharczyka i pokazał mu na dłoni dwa sowieckie znaczki listowe.

–Chcesz, Kucharyja? – zapytał.

Kucharczyk zawahał się. Jakże tu brać znaczki listowe, i to nawet sowieckie, kiedy nic takiego nie posiadał, co by mógł dać za nie Raszce.

–No, bierz, kiedy ci dają!... – zachęcał go Raszka.

Kucharczyk wziął i podziękował. Na drobną chwilę zapomniał o swoim zmartwieniu, bo na jednym znaczku był balon, a na drugim biały niedźwiedź z rozwartą paszczą.

–A nie martw się, bo ci włosy posiwieją!... – rzekł mu Raszka.

Kucharyja uwierzył, boć Raszka jest przecież synem lekarza, a więc dobrze wie, kiedy mogą włosy posiwieć.

Spojrzał teraz jeszcze raz do zwierciadła, lecz znowu nie dojrzał ani jednego siwego włosa. Usiadł przeto na krawędzi łóżka i zamyślił się.

Siostra pojechała rano do seminarium. Skarżyła się przed wyjściem, że ją kłuje w

piersiach. Zresztą nic dziwnego. Przecież jest jeszcze bledsza i chudsza niż brat. Ludzie mówią, że wygląda na czternaście lat najwyżej, a ona liczy osiemnaście lat. Oto przed miesiącem skończyła osiemnasty rok życia. Nic prawie nie rośnie, oczy ma podkrążone i nocami kaszle. Potem się skarży, że ją kłuje w piersiach.

"Jutro zapytam się Raszki, co to może być!..." – postanowił. Wszak Raszka wszystko wie, bo jest synem lekarza, a ojciec jego ma bardzo dużo grubych ksiąg, w których są wymalowane wnętrzności ludzkie. Serce, nerki, płuca i wszystko. Raszka już pokazywał te książki z obrazkami kolegom w klasie. Lecz teraz już ich nie przynosi do szkoły, bo pan nauczyciel powiedział, że mu je zabierze i odda dopiero z końcem roku szkolnego.

W książkach tych były także wymalowane kości nóg ludzkich. Teraz Kucharczyk dobrze sobie przypominał. Takie straszne chude nogi jak u śmierci na tym obrazie, co wisi w kościele pod chórem. Pod chórem jest zawsze mroczno i chłodno. Kucharczyk boi się stawać w tamtym miejscu. Bo chociaż jest mroczno, to jednak tamta śmierć na obrazie jest tak biała, że ją można dobrze widzieć. A jeżeli się jej dokładnie przypatrzeć, to potem może straszyć podczas snu. Nawet po drodze można by ją spotkać o zmroku. Wszak stary Donacik powiedział, że ją widział w kopalni. Mówił, że ojciec Kucharczyka także ją widział...

Chłopiec zamyślił się, bo znów ujrzał swojego ojca leżącego w białym łóżku w wielkiej białej sali szpitalnej. Na innych łóżkach także leżeli chorzy i stękali, a jego ojciec uśmiechał się do niego i do Jadwiżki. Kiedy Kucharyja stanął przed łóżkiem, to ojciec wyciągnął do niego dłoń. Dłoń była chłodna i spocona.

–Tatulku... – zaczął wtedy nieśmiało.

–Co, Hanysku?

–Nie umrzecie, tatulku?... – zapytał synek.

Ojciec machnął dłonią i spochmurniał. Chwilę coś myślał, bo ruszał węsami i patrzył nieruchomo na powałę. A potem westchnął i powiedział:

–Gdyby nie było mi żal was, dzieci... chętnie bym umarł...

–Czemu? – spytał zdziwiony Kucharyja. Jadwiżka milczała, tylko chlipała przez mały, zaczerwieniony nosek.

–Eh!... – mruknął ojciec i zamilkł.

Potem przypomniał sobie Kucharyja, że tamten srogi człowiek o dużym brzuchu powiedział:

–To dzieci tamtego bez nogi!...

"Jezusku na świecie!... – przeraził się chłopiec. – Czyżby ojciec nie miał nogi?"

Spojrzał na białe prześcieradło, lecz niczego nie mógł zauważyć. Prześcieradło nakrywało ojca do piersi. Koszula była rozpięta i chłopiec widział, że na piersiach ojca rysują się chude żebra. Podobne to było do krótkiej drabinki o krzywych szczeblach. Ojciec dyszał ciężko, a pierś wznosiła się i opadała.

–Tatulku, a... – zaczął znowu, lecz bał się dokończyć.

–No co, Hanysku?

–Czy wy nie macie nogi?

Wtedy Jadwiżka wybuchnęła głośnym płaczem. Przybiegła siostra Kazimiera i jęła ją uciszać. Ojciec zaś zacisnął sine usta, oczy powlokły mu się jakąś mgiełką, a po zbiedzonej twarzy jęły przebiegać krótkie skurcze.

Wówczas chłopiec wszystko zrozumiał. Ojciec nie ma nogi!... Odjęto mu nogę w szpitalu!... To z pewnością uczynił tamten srogi człowiek z wielkim brzuchem! Albo ten pan w białym fartuchu, co tak cuchnie karbolem. To oni uczynili!... Ogarnął go wielki gniew. Oto pójdzie i sam nie wie, co uczyni! Powie jednemu i drugiemu, że są zbóje! Że skończą w kryminale! Że na szubienicy skończą obydwaj!...

Wnet jednak minął gniew, bo wezbrał w nim ogromny żal. Zacisnął usta mocno, ile się tylko dało, żeby się nie rozplakać w głos. Nie, nie będzie płakał!... Jezusku na świecie!... Co teraz?...

A może jednak tamci źli ludzie nie odjęli nogi ojcu!... Może tego nie uczynili!...

**I zanim siostra Kazimiera miała czas przeszkodzić, nachylił się do nóg ojca i podniósł prześcieradło. I ujrzał rzecz straszną. Oto jego ojciec leży bez prawej nogi!
...**

Jak przez sen widzi schylającą się nad nim siostrę Kazimierę o szarych oczach, słyszy czyjeś wołanie, potem wszystko milknie stopniowo, wszystko zanurza się w jakimś mroku, cuchnącym karbolem...

Potem ocucił się na jakimś białym łożku. Naokoło znowu cuchnął karbol i jeszcze coś innego cuchnęło. Podobnie jak w aptece u Olszaka. Właściwie to nie cuchnie, lecz pachnie. Czasem Olszak w klasie podobnie pachnie.

–Ty, Olszak, czym to pachniesz? – pytają wtedy koledzy.

Olszak wydyma usta i mówi z przechwałą:

–Eh, to... to nic. To tylko eter!... Pomagałem dzisiaj ojcu w aptece...

Chłopcy patrzą wtedy z podziwem na Olszaka, co pomaga ojcu w aptece. Olszak zaś podsuwa dłonie pod nos każdemu i każe pociągać mocno. Chłopcy pociągają i powiadają, że trochę wierci w nosie.

Kiedy się Kucharczyk obudził na białym łóżku, również ten sam zapach wiercił w jego małym nosku. Kichnął, skrzywił się i wyskoczył z łóżka. Teraz dopiero dowiedział się, że zemdlął i że siostra Kazimiera niosła go w ramionach do tamtego łóżka, a pan w białym fartuchu kiwał nad nim głową.

Teraz Kucharyja siedzi w izbie, coraz spojrzy do zwierciadła i martwi się ogromnie.

"Mój Boże, co teraz będzie, co?..." – powtarza w myślach i czuje, jak mu oczy wilgotnieją, a serce ogromnie ugniata jakiś ciężar.

O tym, jak słońce nie chciało

świecić

Ojciec Kucharczyka wrócił ze szpitala o kuli.

Usiadł na ławie pod oknem, a drewnianą nogę wysunął przed siebie. Myśli zaś wlokły się przez jego skołataną głowę jak szary, ogromny tłum ludzi. Ludzie są smutni i wędrują drogą zamyśleni, z opuszczonymi oczami.

–Mój Boże – co teraz będzie, co?...

Ojciec nie może znaleźć odpowiedzi. Tu nikt by nie znalazł odpowiedzi. Dlatego ojciec już nie chce o tym myśleć. Lecz musi. Bo co którą myśl odegna, to inne cisną się wielką gromadą i przepychają do jego skołatanej głowy. Teraz układają się w minione chwile.

"Czemu nie zostałem w tamtej wodzie? – myśli znowu. – Czemu nie zostałem w szybie?..."

Otrząsa się mocno, bo wie, że te myśli podobne są do robaków toczących drzewo. Takie myśli mogą stoczyć najsilniejsze serce, struć je do ostatka, a wtedy serce umrze. A gdy serce umrze, to już wszystko skończone. Wtedy człowiek może pójść i uczynić sobie coś złego. To samo, co tamten nieboszczyk Marekwica, który usiadł pod hałdą, usnął i już się nie obudził. Hałda pali się i wywala z siebie krztuszący czad. Kto siada pod palącą się hałdą, temu życie obrzydło.

Ojciec otrząsnął się znowu mocno. Jakby wielkie brzemię z siebie zrzucił. Rozejrzał się po izbie i wtedy ujrzał w myślach Hanyska i Jadwiżkę. Lecz rychło obraz ich zatarł się, bo uprzykrzone myśli zgarnęły się znowu wielką gromadą.

–To skomplikowane złamanie nogi!... – słyszy powtórnie tamtą uwagę lekarza, pana Schmidta.

–Trzeba będzie odjąć?... – pyta się ktoś drugi poza głową ojca.

Ojciec patrzy na pana Schmidta przez przymknięte oczy. Widzi go przez rzęsy jak przez szare firaneczki. Teraz pan Schmidt marszczy brwi, gładzi czoło białą dłonią i przytakuje.

Potem wlokły się dni długie, szare, bez słońca. Słońce było na niebie, lecz nie było go dla ojca Kucharczyka. Prawie codziennie wędrowało wielkimi złotymi plamami po szpitalnej izbie, ale dla niego była to tylko jasna plama, nic więcej. A kiedy podnieść głowę i spojrzeć w okno naprzeciwko, to można było zobaczyć szczyty kominów i

wielki kawał nieba. Słońce można było także zobaczyć, zwłaszcza przed południem. Lecz z tamtych kominów wywalały się ogromne kłęby czarnego dymu i dlatego niebo było szare, a słońce nie chciało świecić. Było podobne do mizernego światełka w zakopconej lampie.

–Czy dobrze wam, Kucharczyku? – posłyszał raz nad sobą słodki, miękki głos siostry Kazimiery.

Ojciec spojrział w jej oczy i zobaczył, że są niebieskie. Wtedy ciężka kropla potu spadła w jego serce.

–Hm, dobrze!... – powiedział z żalem. – Dla mnie słońce już nie chce świecić...

Wtedy siostra Kazimiera nic nie powiedziała, tylko pogłaskała Kucharczyka po głowie. I to wszystko. Lecz Kucharczykowi przypomniła się w tej chwili tamta ogromnie dawna chwila, kiedy jeszcze był małym chłopcem, a matka pogłaskała go po głowie. Teraz było coś podobnego. I na dobrą chwilę wydało mu się, że słońce rozłociło się na niebie, a niebo było tak bardzo błękitne jak oczy siostry Kazimiery.

Od tamtego czasu minęły dwa miesiące. A może nawet więcej. Ojciec Kucharyi jeszcze bardziej posiwił i jeszcze bardziej zgarbił się, a serce jego jeszcze bardziej zgorzkniało. Wszak dobrze wiedział, że gdyby nie on, kopalnia nie byłaby zalana. Chodziło wtedy o sekundy, wszyscy się śpieszyli, on także się śpieszył, i stało się!... Teraz kopalnia zalana zupełnie, zatopiona do ostatka. Woda sięga – jak mówi Sosna – do połowy szybu. Nie ma widoków, żeby ją można było kiedy odwodnić. I wskutek tego cała załoga kopalni stała się bezrobotna. Z powodu niego!... Chryste Boże!...

Ukrył twarz w dłoniach i zagryzł usta, by nie słyszeć.

Sosna mówił, że teraz około ośmiuset robotników będzie bez chleba. Kiwał przy tym wielką głową i pociągał żałośnie przez czerwony nos.

–Pomyślcie tylko... – lamentował. – Tylu robotników bez chleba!... Maryjko święto! ... – i aż dłonie złożył na wielkim brzuchu.

Kucharczyk słuchał i słuchał, lecz potem już nie mógł wytrzymać.

–Czy to koniecznie musi być moja wina?... – zapytał wzburzony, gniotąc prześcieradło w dłoniach.

Sosna przestraszył się trochę. Spojrział zdumiony na Kucharczyka i cofnął się od jego łóżka.

–Ale ja przecież... – starał się teraz uniewinniać. Lecz Kucharczyk strzepnął niecierpliwie dłońią. Sosna przeto wyszedł z sali, wzdychając ciężko po drodze.

Na sąsiednich łózkach stękali chorzy górnicy. Kiedy jednak Sosna rozmawiał z nim, podnieśli głowy i słuchali. A kiedy Sosna wyszedł, głowy ich opadły znowu na poduszki.

"Co teraz będzie?..." – myśli Kucharczyk, rozglądając się po izbie.

Źle będzie. Wszyscy jego kamraci, cała załoga z zatopionej kopalni nie będzie miała pracy. Będzie głód siedział za ich stołami, a głodne dzieci będą beczwały. Koledzy zaś będą może przekonani, że on wszystkiemu winien.

–Stary Kucharczyk temu winien!... – będą krzyczeli.

–Tak, on jest temu winien, że kopalnia zalana!

–Z powodu niego jesteśmy bez pracy!...

–Jego to wina, że nasze dzieci są głodne, a my bez pracy!...

Kucharczyk zatkał uszy dłońmi. Nic to jednak nie pomogło. Wciąż mu się bowiem zdawało, że już teraz słyszy, jak jego koledzy złorzeczą i pięściami wygrażają.

Podniósł się ciężko z ławy, by spojrzeć w okno, czy nie wraca Hanys lub Jadwiżka ze szkoły. Drewniana noga stuknęła o podłogę. Stukot ów przypomniał mu jego nieszczęście. Wszak to teraz już nie będzie nikomu potrzebny. Pracy nigdzie nie dostanie. Chociażby nawet kopalnię odwodniono, to pracy nie dostanie. Stał się więc niepotrzebnym człowiekiem...

Usiadł ciężko na ławie. Powlókł spojrzeniem po izbie. Ujrzał na stole ułożone książki Jadwiżki.

Cóż to będzie za życie?... Jezusie święty, cóż to będzie za życie?...

Podniósł głowę, bo zdawało mu się, że ktoś idzie. Spojrzał w okno. Nikt nie idzie. Zdawało mu się. Ujrzał tylko dymiące kominy, szare niebo i przygaszone słońce.

–Już mi słońce nie świeci... – przypomniał sobie tamte swoje słowa ze szpitala.

"Co tu teraz robić?... Jezusie święty, co tu teraz robić?..." – bił się z myślami.

Zegar tykał miarowo na ścianie, słońce zstępowało powoli z nieba. Stary Kucharczyk zaś siedział na ławie i myślał. A co spojrzał na wystającą nogę drewnianą, to jakby go ostry nóż żgnął w serce.

Chwile mijały.

Znienacka otworzyły się drzwi, do izby wpadł synek, Hanys Kucharyja. Ze szkoły

wrócił.

–Jeszcze się martwicie, tatulku? – zapytał nieśmiało.

Ojciec westchnął tylko.

–A jużecie co jedli? – zapytał znowu Hanys.

–Ech, nie smakuje mi, synku, ni!... A ty sobie weź... Masz w rurze!...

Kucharyja wyciągnął z rury spory garnek z ziemniakami. Ziemniaki były ciepłe i pachnące. Wysypał z nich połowę na miskę, sięgnął za okno, gdzie stały dwa garnuszki z kwaśnym mlekiem, wziął jeden, siadł za stołem i jął zajadać. Ojciec patrzył na niego. Radował się jego widokiem, jego głodem, syconym mlekiem i ziemniakami, nabierał wiary w siebie.

"Złoty mój synek!..." – myślał, a ciepła fala zalewała mu serce.

–Szkoda, że już nie ma matki! – rzekł zniechęcony. Hanys przestał jeść, spojrzał zdziwiony na ojca.

–No, miałybyście, dzieci, lepszą opiekę!... – dodał jeszcze ojciec.

Hanys nie wiedział, co powiedzieć. Wszak matki prawie że nie pamiętał. Ojciec zawsze mawiał, że już temu dawno, kiedy umarła. A dobrze, że umarła. Miała się bowiem trafić, to jej lepiej na drugim świecie. Hanys wyobrażał ją sobie jako księżycowe światło. Powiedział nawet o tym Jawiżce.

–Wiesz ty, Jadwiżka... jak ja myślę o naszej mamulce? – rzekł pewnego razu.

–Jak myślisz? – zapytała Jadwiżka, nie odrywając oczu od książki.

–Więc nie ucz się, to ci powiem!

Jadwiżka podniosła głowę i czekała, co jej powie Hanys.

–Więc mów! – rzekła trochę zniecierpliwiona, bo jej żal było czasu. Przecież ma tyle zadane na jutro, że nie wie, czy zdoła wszystkiego się nauczyć.

–Wyobrażam sobie naszą mamulkę jako księżycowe światło!... – powiedział Hanys.

–Też coś!... – mruknęła Jadwiżka i znowu jął czytać.

Hanys już odtąd nigdy nikomu nie mówił, że wyobraża sobie matkę jako księżycowe światło. Nawet ojcu nie powiedział. Olszakowi w szkole chciał powiedzieć, lecz także tego nie uczynił. Raz tylko, kiedy pan nauczyciel omawiał czytankę pod tytułem:

"Walka z gruźlicą", to mu się zdawało, że nie wytrzyma i powie to panu nauczycielowi.

–No, czego chcesz, Kucharczyku? – zapytał pan nauczyciel, widząc jego sterczące palce.

Kucharczyk zawahał się jednak w ostatniej chwili. Ale że trzeba było coś powiedzieć, więc rzekł, że jego matka także umarła na gruźlicę.

–A dawno?

–Proszę... dawno. Jeszcze byłem bardzo mały. Trzy lata liczyłem...

Teraz mu znowu ojciec przypomniał matkę. Powiedział, że szkoda, iż jej nie ma.

–Czemu, tatulku?

–No, mój Boże... bo mielibyście większą wygodę. Dziecko bez matki, to jakby słońca nie było...

–Yhy!... – przytaknął synek i znowu zaczął jeść.

Potem przyszła Jadwiżka. Uwinęła się raz dwa z jedzeniem, boć trzeba wieczerzę przygotować, a potem jeszcze tyle nauki!...

Krzątała się po izbie, drobna i cicha. Już nie miała niebieskich ocz. Od tamtej chwili, kiedy ojca spotkało takie nieszczęście, oczy jej poszarzały i jakby przygasły.

Wszak i ona zadawała sobie to samo pytanie, co ojciec. Co teraz będzie?... Nie umiała znaleźć odpowiedzi. Wiedziała, że jest chora na płuca. Lekarz szkolny marszczył brwi, kiedy ją badał, strzepywał palcami i znowu przytykał ucho do słuchawki, wspartej o jej piersi.

–Kłuje? – pytał.

–Czasem.

–Kaszle pani?

–Niekiedy...

–Hm, hm... – mruzczał i znowu strzepywał palcami.

Jadwiżka patrzyła w jego zatroskane oczy i lękała się, że nie zostanie nigdy nauczycielką. A ona musi zostać nauczycielką. Ze swojej pensji musi utrzymać ojca i brata.

–Musi się pani szanować... bardzo szanować!... – ostrzegwał ją lekarz, pan Kwieciński. – Ja bym nawet radził pani, żeby zrezygnować z zawodu nauczycielskiego...

–Czemu, proszę pana doktora?

–Hm... wiadomo... praca nauczycielska może grozić płucom. Płuca pani są słabe. Pani powinna by wyjechać gdzieś...

Nie dokończył jednak, bo wiedział, że Jadwiga Kucharczykówna nie może nigdzie wyjechać. Nie ma przecież pieniędzy. Żeby tak przynajmniej na wakacje w góry...

–Żeby tak w góry wyjechać na wakacje... – powtórzył głośno swoje myśli.

Jadwiżka nic nie powiedziała. Jakżeż tu wyjeżdżać w góry, kiedy nie ma pieniędzy! Zdawała sobie sprawę, że może ulec gruźlicy. Tak samo jak jej matka. Nic jednak nie mówiła ojcu. Po co go martwić, kiedy i tak nic by to nie pomogło. A Hanysewi mówić? Także nie warto. On tego nie rozumie może... A zresztą, jest młoda, przyjdzie lato, wszystko się zmieni na lepsze. Żeby tylko maturę zdać, a potem już wszystko będzie dobrze!...

Dzisiaj zdawało się jej, że będzie musiała wcześniej opuścić naukę. Kaszłała w klasie, a w piersiach kłuło ją bardzo. Od kilku dni trapiła ją lekka gorączka. Trudno jej było się uczyć, w szkole na lekcjach nie mogła skupić uwagi. Wierzyła jednak, że to przejdzie.

Nie przeszło.

Ojciec wyszedł z Hanysem. Powiedział, że pójda się popatrzeć na kopalnię. Wszak już nie był tam od tamtego czasu, kiedy się stało owo nieszczęście. Już temu dawno, bardzo dawno.

Jadwiżka pozostała więc sama w mieszkaniu. Pokrzątała się więc po izbie, usiadła przy oknie i spróbowała się uczyć. Lecz rychło spojrzenie jej spłynęło z drobnych literek i utonęło w oknie. Okno jest otwarte. Wsącza się przez nie lekki swąd dymu z tamtych kominów dymiących. Ponad dymami rozwianymi w szarą mgiełkę czerwieni się niebo. Oto słońce zachodzi. Rude jakieś i chłodne, a podłużne chmury nurzają się w jego blasku i także są rude. Po brzegach płoną tylko żywszą czerwienią, potem już rudzieją coraz bardziej i przemieniają się stopniowo w szare zwały waty. Sypie się z nich leciuchny zmierzch. Za chwilę słońce utonie za tamtymi kominami, rude blaski na chmurach zgasną, a zmierzch zatopi całą ziemię.

–A może księżyc?... – przypomniała sobie.

Wychyliła się z okna, spojrzała na wschodnią stronę nieba. Jest księżyc. Nie cały,

oszczerbiony z boku, wykrojony. I jego również zasłaniają dymy. Jest jeszcze bardziej chłodny aniżeli tamto niktające słońce.

Przypomniała sobie matkę. Wszak Hanys mówił, że to światło księżyca przypomina mu matkę. Ujrzała ją leżącą oto w tamtym łóżku pod ścianą, bladą i chudą. Dłonie jej wydawały się przezroczyście.

–Żyj, moja rybeczko złota, żyj!... – mówiła wtedy matka, gładząc ją po dłoni. Potem umarła.

Słońce już zeszło z nieba. Chmury gasną na niebie. Księżyc jaśnieje coraz bardziej, a szary mrok schodzi na ziemię. Jakiś nagły ziąb spłynął na dziewczynę.

Posłyszała kroki. Jedne są nierówne, drugie drobne.

"Wracają!..." – pomyślała z ulgą.

Zapaliła lampę, jęła się krzątać koło kuchni. Wszak ojciec wróci głodny. A Hanys jeszcze bardziej. Zakaszlała gwałtownie, zakrztusiła się zniecka.

–Cóż ci to? – posłyszała we drzwiach głos ojca.

Dziewczyna starała się stłumić kaszel, lecz nie mogła. Oparła się przeto o ścianę, zakryła twarz fartuchem. Długo kaszlała. A kiedy fartuch odjęła, ujrzała na nim drobinki krzepnącej krwi. I w tej samej chwili zrozumiała, że wszystko skończone.

Nie okazała wzruszenia. Napila się tylko wody, fartuch odwróciła, uśmiechnęła się z trudem do ojca.

–No i co, tatulku? – zapytała.

–Hm, nic...Kopalnia stoi. I stać będzie...

–A górnicy?...

Ojciec wstrząsnął ramionami i umilkł, Hanys chciał coś powiedzieć, lecz ojciec nie pozwolił.

–Pomóż Jadwiźce! – rzekł tylko i znowu się zamyślił.

–Wiesz, Jadwiźka... w tobie jedna nasza nadzieja! – zaczął po chwili, patrząc na córkę.

Dziewczyna spojrzała na niego wyczekująco.

–Bo oto niezadługo zdasz maturę... ostaniesz posadę... jakiś grosz zarobisz. Bo ja

już nic nie zarobię! Zasilek będę jeszcze pobierał jakiś czas, a potem wszystko się skończy! Zresztą taki on mały, że nie wystarczyłoby dla nas trojga!

–Dobrze tatulku... Maturę zdam za miesiąc... Piśmienną. Potem ustną... A po wakacjach pójdę na posadę! I będzie wszystko dobrze! Zobaczycie!

Podniosła koniec fartucha, żeby ująć rozgrzane ucho rondelka ze skwarkami. I wtedy dojrzała tamte zakrzepłe drobinki krwi w fałdach fartucha.

Ogromny żal zgasił w niej ostatek słońca i tak jej było, jakby się w mroki zanurzyła.

O JEDNYM LEKARZU, CO GUZIKI

OBRYWAŁ

Jadwiżka już nie poszła do szkoły.

W tę samą noc rozkaszała się jeszcze bardziej. Tak bardzo, że zbudził się ojciec i Hanys. Zanim jednak ojciec wstał i przypiął drewnianą nogę do bioder, Jadwiżka przestała kaszleć.

–Co ci to, Jadwiżko?... Co ci to? – pytał stroskany.

–Nic... – odpowiedziała dziewczyna zmęczonym głosem. – Widocznie przeziębiam się...

Ojciec słuchał jej cichego głosu, wypływającego z mroku izby, jak zapowiedzi czegoś takiego, co serce na wieki zmrozi. Wszak matka również tak kaszała. W ciemności doszedł do lampy, zapalił ją, rozejrzał się po izbie. I oto ujrzał swoją bladą Jadwiżkę leżącą z przymkniętymi oczami na łóżku, a obok łóżka, na podłodze, pomiętą chusteczkę ujrzał. Podniósł ją, rozwinął. Już wiedział.

–Tyś krwią pluła?... – zapytał zduszonym głosem.

–Tak... ale to... nic... tatulku...

Tej nocy ojciec już nie usnął. Zgasił lampę, usiadł na ławie i patrzył w mroki. Widział w nich swoją córkę umierającą na gruźlicę. Widział w nich nawet trumnę, a w trumnie bladą, drobną Jadwiżkę z zamkniętymi oczami. Wtedy zaszlochał, trzymając się zaciśniętymi pięściami za skronie.

–Tatulku... tatulku... – obudził go z zapamiętania głos Hanysa.

–Co?...

–Tatulku... chodźcie spać...

Ojciec nie poszedł spać. Przesiedział na ławie do rana. Pięści gryzł, żeby nie krzyżeć lub żeby nie złorzeczyć swojej doli.

Jadwiżka nie wstała rano z łóżka. Hanys pobiegł do lekarza. I chociaż powiedział panu Nowakowi, że nie mają dużo pieniędzy, to lekarz, pan Nowak, jednak przyszedł. Mały, gruby, o krótkich nogach. Obejrzał Jadwiżkę, opukał, wsłuchał się przez chwilę w szelest jej płuc, a potem zapytał:

–Możecie ją gdzie wysłać?

–Dokąd, panie doktorze?...

–Do Zakopanego... w Beskidy...

Ojciec nic nie odpowiedział. Stał tylko, oparty plecami o ścianę, i patrzył ponuro przed siebie.

Lekarz, pan Nowak, już się o nic nie pytał. Miał bowiem czujące serce, a takie serce wszystko zrozumie. Żał mu było tylko tej młodej dziewczyny skazanej na śmierć. Gdyby ojciec miał pieniądze, można by ją wysłać do sanatorium w Zakopanem lub nawet gdzieś za granicę i dałoby się ją wyratować. Lecz jeżeli pieniędzy nie ma...

–No, ja jej zapiszę lekarstwo... Niech już do szkoły nie idzie... Bo mówiliście, że do jakiejś szkoły jeździ. Do jakiej?

–Do seminarium...

–Gdzie?

–W Nowym Bytomiu...

–Jak to? To ona codziennie aż do Nowego Bytomia jeździ? – zdziwił się niemile i odwrócił się na krześle do ojca.

–Codziennie!...

–Ależ to zabójstwo!... – oburzył się lekarz. – Jak długo ma stąd do pociągu?

–Półtorej godziny...

–Codziennie półtorej godziny do pociągu, potem trzy kwadranse pociągiem, w szkole tyle godzin, potem znów ta sama droga... Chociażby człowiek miał końskie zdrowie, toby musiał ulec! Dziewczyna słabo odżywiana... Dlaczego nie umieścicie jej w bursie lub w jakim prywatnym mieszkaniu w Nowym Bytomiu? Co?...

–Proszę się nie gniewać, panie doktorze! – jął się uniewinniać stary Kucharczyk. – Myślałem o tym, lecz nie było pieniędzy!

–Pieniądzy!... Pieniądzy!... Przekłête pieniądze! – mruzczał rozgniewany lekarz i sapał na krześle. Już o nic nie pytał. Wiedział przecież, że Kucharczyk jest bez pracy i że nogę w kopalni stracił.

Wstał z krzesła i wciąż sapał.

–Poczekajcie!... – rzekł jeszcze, ujmując Kucharczyka za guzik przy marynarce. Przez chwilę kręcił guzikiem i kręcił. A kiedy w końcu guzik został odkręcony i został mu w palcach, już wiedział, co chciał powiedzieć. Położył guzik na stole, głośną się po łysinie i zaczął:

–Trudno, Kucharczyku! Dziewczynę musimy ratować!

–Ale jak, pięknie proszę?

–Ale jak?... – powtórzył za nim lekarz. – No tak!... Cudów nie uczynimy! Poczekajcie... – i znowu ujął za drugi guzik Kucharczykowej marynarki. Pan Nowak słyszał z tego, że odkręcał każdemu guziki przy marynarce. Nie zdążył go jednak oberwać, bo już sobie znowu przypomniał, co ma powiedzieć.

–Wiecie co? – zaczął.

–Co, pięknie proszę...

–Oto w niedzielę pójdę sobie w góry! Bo ja chodzę po górach, chociaż mam krótkie nogi. To dobrze robi! Oto pójdę w góry... Na Baraniej jest schronisko. Ale co tu dużo mówić! Dowiedcie się wszystkiego w poniedziałek! Co mamy dzisiaj?

Pan Nowak i z tego słyszał, że nigdy nie wiedział, czy dzisiaj jest wtorek, czy środa, czy nawet sobota. Wiedział tylko, kiedy jest niedziela, bo wtedy uciekał w Beskidy. Poza tym myliły mu się wszystkie dni.

–Co mamy dzisiaj? – zapytał.

–Czwartek, proszę pięknie, panie doktorze!...

–Aha, czwartek... – powtórzył pan Nowak i znów zaczął kręcić guzikiem Kucharczykowej marynarki. – O, już wiem!... – zawołał uradowany, trzymając drugi guzik w palcach. – Pod Baranią jest schronisko. Powietrze tam żywiczne, ozon... Wiecie, co to jest ozon?...

–Nie wiem, panie doktorze...

–Ja wiem! – wyrwał się Hanys.

–To dobrze! Już znam dwa wypadki, że w Beskidach wyzdrowieli dwaj skończeni gruźlicy!... To pisklę także musi wyzdrowieć!...

–Ale ja nie mam pieniędzy...

–Cicho!... – zaperzył się pan Nowak i ujął za trzeci guzik. – W poniedziałek wam wszystko powiem. Oto recepta... A oto jeszcze kartka do pana Olszaka! Na mój

rachunek otrzymacie dla tamtego pisklęcia lekarstwo... No, do widzenia!... – i wyszedł, trzymając w palcach trzeci guzik.

Mały Kucharyja miał dzisiaj sporo do opowiadania swoim kolegom w szkole. Chłopcy nie biegali między ławkami, nie rozbijali się, nie grali w konie, lecz otoczyli zwartym kołem bledziuchnego i chudziutkiego Kucharyję i słuchali jego opowiadania o panu Nowaku, co ojcu trzy guziki odkręcił, a Jadwiżkę przyrzekł wyleczyć z gruźlicy.

–To powiadasz, Kucharyja, że odkręcił trzy guziki? – upewniał się Szczypka, który lubił grać w guziki. Był ogromnie niebezpieczny, bo często odrzynał guziki kolegom, kiedy mu własnych brakło u marynarki lub zgoła u spodni. Podchodził do któregoś z kolegów, wszczywał z nim rozmowę, a równocześnie chwycił go za guzik i kozikiem zręcznie go odrzynał. Potem powstawało okropne piekło. Bo skrzywdzony kolega strasznie pomstował i krzyczał, biegnąc za Szczypką, Szczypka zaś gnał jak zając, krzyząc jeszcze bardziej. Że jednak miał długie nogi, więc zazwyczaj umykał swojej ofierze.

–A jakie lekarstwo zapisał siostrze? – zapytał się Olszak, syn aptekarza.

–Nie wiem. Wziął kartkę i napisał strasznie brzydko na niej... Chciałem to przeczytać, lecz nie mogłem. Pan Nowak pisze jeszcze brzydziej niż nasz Paszka...

–To on może ma reumatyzm w palcach? – zauważył mały Bylok, którego ojciec skarżył się stale na reumatyzm.

–Nie wiem...

–A co siostra? – zapytał znowu ktoś z gromady.

–Nic. Nie poszła do szkoły ani już nie pójdzie...

–Mój Boże, to się ma dobrze!... – westchnął Blattan, który chętniej wałęsał się z wędką koło rzeki, aniżeli chadzał do szkoły.

–Hy, głupi! – objaśniał go Olszak. – Ja już wolę do szkoły chodzić niż chorować na gruźlicę!...

–A powiadasz, że trzy guziki oberwał twojemu ojcu od marynarki? – upewnił się znowu Szczypka.

–Eh, ty nic innego, tylko wciąż z tymi guzikami!... Wynoś się, bo cię walnę przez ucho! – obruszył się Olszak.

–Co, ty pigularzu!... Ty mnie przez ucho?...

–To się wie!... Chcesz, to dostaniesz!... Powiedz tylko, czy chcesz?...

–Myślisz, że się ciebie boję? To ja ci dam przez ucho! Powiedz tylko, czy chcesz? A zaraz dostaniesz, aż ci się odniechce!... No powiedz! Chcesz, czy nie chcesz?... – i zamierzył się na Olszaka.

–To ty powiedz, czy chcesz po uchu! No, powiedz, jeżeliś taki odważny!...

Doskakiwali do siebie, krzyczeli coraz głośniej, koledzy zaś podniecali ich wielkim krzykiem. I kto wie, do czego by doszło, czyby się naprawdę nie pobili, gdyby nie dzwonek. Zakrzyczał przenikliwie, że już koniec przerwy, i w tym okamgnieniu chłopcy jęli się przepychać do ławek, siadali z hałasem, Olszak zaś, pełniący rolę wójta klasowego, jął nawoływać:

–Już cicho!... Już po dzwonku!... Jastrzębski, co jeszcze łazisz? Szczyпка, ty dostaniesz po twoim zamazanym uchu!... Gołyszny, siedź już a nie wrzeszcz! No cicho!

Do klasy wszedł pan nauczyciel i rozpoczęła się nauka o przyimkach.

Mijały dni, a Kucharyja codziennie bywał otaczany kolegami, którzy słuchali pilnie jego opowiadań o siostrze, o biedzie w domu i o tym, jak się ojciec martwi. Ponieważ jeszcze wszyscy mieli żywo w pamięci tamtą czytanke pod tytułem "Walka z gruźlicą", przeto interesowali się ogromnie losem chorej Jadwiżki.

Minęła niedziela, nadszedł poniedziałek.

Zaledwie Kucharyja wstąpił do klasy, już otoczyli go chłopcy i jęli się dopytywać, czy pan lekarz Nowak był u nich w domu.

–Hale... gdzieżby był?... Przecież przed godziną ósmą jeszcze nikt nie chodzi do chorych!

–A jak siostrze/ Lepiej jej, czy gorzej?! – wołał Olszak, znowu pachnący dzisiaj apteką.

–Trochę lepiej!... Nie kaszle... Lecz do szkoły wciąż jeszcze nie jeździ!

–Jej to się ma dobrze! – westchnął Blattan, który nie miał na dzisiaj napisanego zadania polskiego i rachunkowego.

–A przyjdzie pan doktor Nowak? – dopytywali się inni.

–Przyjdzie, bo powiedział, że przyjdzie. Ale nie wiem, czy był wczoraj w górach.

–Był! – wrzasnął Szczyпка. – Widziałem go. Szedł na dworzec wcześniej rano w

takich krótkich spodniach i z grubym plecakiem. Ja mu niosłem płaszcz, bo też szedłem na dworzec tatulkowi po gazetę... A na płaszczu miał śliczne guziki... Dwa tylko oberżnąłem. A potem dał mi jeszcze kawał czekolady z plecaka i powiedział, że ze mnie porządny chłopiec. A te jego guziki były takie duże, a rogowe były... A przyniosły mi szczęście, bo wygrałem nimi dwadzieścia osiem guzików od Hajka i od Metzy. Potem beczeli...

–Eh, ty! Nic innego, tylko guziki i guziki!... – ofuknął go Olszak.

–A ty co? Ty nic innego, tylko pigułki i pigułki... Ty pigularzu!

–Ty, chcesz jedną? Powiedz, czy chcesz, a zaraz oberwiesz! – zaperzył się Olszak, zamierzając się dłonią na czupurnego Szczypkę.

–A wiecie, moja siostra już nie kaszle! – zażegnał bójkę Kucharyja.

–Ani nie gorączkuje? Czy ma jeszcze stan podgorączkowy? – zapytał uczenie Olszak. On umiał tak mówić, boć przecież jego ojciec jest aptekarzem.

–Stan podgorączkowy powraca okresami! – wtrącił milczący zazwyczaj modrooki Raszka, co nad zdechłym wróblem płacze.

Wszyscy chłopcy spojrzeli z większym jeszcze szacunkiem na Raszkę. Wszak on chyba więcej wie aniżeli Olszak. Ojciec Olszaka jest bowiem tylko aptekarzem, a ojciec Raszki lekarzem i nawet posiada samochód.

–A ty, Kucharyja, ty nie kaszlesz? – zapytał teraz Hanysa.

–Jeszcze nie...

–A już masz gruźlicę?

–Nie wiem...

–Poczekaj, zaraz zbadam!...

Chłopcy byli ogromnie ciekawi, jak to Raszka będzie badał Kucharyję. Wszak takich rzeczy nie widzi się codziennie. A Raszka to umie, bo często przebywa w ojcowym pokoju ordynacyjnym, kiedy przychodzą robotnicy z Ubezpieczalni. Pomaga wtedy ojcu, podaje jakieś przyrządy posrebrzone czy niklowe, a nawet po łacinie umie niektóre choroby nazywać. Puls także umie badać i wszystko. Raszka jest ogromnie mądrym chłopcem. I chociaż płacze nad zdechłym wróblem, to jednak wszyscy chłopcy patrzą na niego z większym podziwem aniżeli na Olszaka, który jest silny i wielki. Nawet Jastrzębski, syn adwokata, chociaż chodzi do szkoły w kołnierzu, nie budzi tyle podziwu.

–No, rozbieraj się! – rozkazał Raszka.

Kucharczyk rozpiął marynarkę, rozpiął kamizelkę, odsłonił koszulę na piersiach.

–Mój Boże, ty jesteś chudy! – zauważyli zdziwieni chłopcy. – Sama skóra i kości!

–Hy, głupi!... Przecież ojciec Kucharczyka jest bez nogi i jest bezrobotny! To myślicie, że on tyle jada, co ten tłusty Kamiński w klasie szóstej? Prawda, Kucharyja? – przychlebił się Olszak.

–Yhy!...

–Cicho teraz, koledzy! Bo muszę słuchać, czy Kucharyja ma szmery w płucach! – zawyrokował poważnie Raszka o modrych oczach.

Chłopcy uciszyli się, a Raszka przytknął ucho do piersi Kucharczyka.

–Oddychaj!... – rzucił mu krótko. – Głośno i głęboko!...

Kucharczyk zaczął oddychać głośno i głęboko. Raszka zaś słuchał pilnie. Przysunął prawe ucho do żeber Kucharczykowych i mrugał szybko. Potem jął go tak samo opukiwać, jak to czyni zawsze jego ojciec. Przyłożył wskazujący palec lewej ręki do piersi, członkiem wskazującego palca prawej ręki jął pukać. I raz po raz mruczał pod nosem: – Hm, hm... Hm, hm...

Kiedy skończył badanie, zamyślił się na chwilę, podrapał kciukiem w jasnej czuprynie. Jego ojciec to samo czynił, kiedy się zamyślał nad swoim pacjentem.

–No i co? – szepnął ktoś z gromady.

–Hm... Tu trzeba zwołać konsylium...

Chłopcy wraz z Olszakiem rozdziawili gęby. Nikt bowiem nie wiedział, co to jest konsylium. Nikt się też nie chciał przyznać, że nie wie takiej prostej rzeczy. Każdy więc zaczął kiwać głową, że słuszna uwaga Raszki, a Olszak nawet głośno przyświadczył:

–Yhy... Trzeba będzie zwołać konsylium...

Konsylium jednak nie zwołali, bo przeszkodził dzwonek. Nikt zresztą nie umiał sobie wyobrazić, jakby takie konsylium wyglądało. Raszka zaś nie powiedziała by za nic w świecie. Chyba za pięć abisyńskich znaczków. Bo już od dawna na nie polował.

Rozpoczęła się nauka, lekcje mijały, Blattan płakał w kącie, a wszyscy chłopcy zastanawiali się, co to jest owo konsylium.

Najmniej interesował się tym tajemniczym określeniem sam Kucharyja. Jego bardziej ciekawiło, co Raszka usłyszał w jego płucach. Kiedy wracał do domu, dopędził go na drodze.

–Ty, Raszka, co znalazłeś w moich płucach? – zapytał.

–Szmery są... – odrzekł z powagą Raszka. – Ale nie wiem, czy to był szmer kamizelki, gdy odchylałeś, czy też to było w twoich płucach. Dlatego trzeba zwołać konsylium. Wiesz?

–Wiem...

W domu przeszły Kucharyję znajome zapachy nędzy. Wiedział bowiem, że inaczej pachnie u tłustego Kamińskiego, którego ojciec jest piekarzem, inaczej pachnie u Raszki, którego ojciec ma samochód, a sam Raszka jada w każdy dzień mięso i do kawy ma rogaliki z masłem, inaczej pachnie u Olszaka, który jest właścicielem największej kamienicy i w mieszkaniu ma ogromnie piękne obrazy i firanki. Taki zapach, jaki można wyczuć w mieszkaniu Kucharczyka, wydaje tylko nędza. Tak to sobie wymyślił Kucharyja.

Pod wieczór przyszedł pan Nowak. Wtoczył się na krótkich nóżkach do izby, zbadął puls Jadwiżki, znowu ją opukał, przez chwilę słuchał, czy słychać szmery w jej płucach, a potem stanął przed zatroskanym ojcem i rozpoczął kręcić guzikiem u jego marynarki.

–Wszystko w porządku! – zaczął. – Ozon jest, miejsce w schronisku jest. Wszystko będzie. Zdrowie także będzie dla tego pisklęcia!... – i już jeden guzik był odkręcony. – Ale to tak... to pisklę może dopiero pójść od początku czerwca. Będzie pomagała dzierżawcy. Dzierżawca ma dwie dziewczynki. Też takie pisklęta. Jedna nazywa się Zosia, druga Wanda. Do szkoły mają daleko. Bo któż widział, żeby chodzić takim pisklętom do szkoły gdzieś w Wiśle czy w Istebnej? To tak daleko!... Wilki by zjadły takie pisklęta... Eh, co ja mówię! Nie ma żadnych wilków! Otóż jeżeli chcecie... co mówię, musicie chcieć i skończone! O czym to mówiłem? Aha, o tych wilkach. Otóż nie ma wilków żadnych, ale są karaluchy! Widziałem jedną taką tłustą bestię jak barana! Maszerował pod ścianą! Wołam pana dzierżawce i mówię: "Karaluch!..." A pan dzierżawca powiada: "To ktoś z turystów w plecaku przyniósł!" Ale o czym ja to mówiłem?... Aha, toż to wasze pisklę, Kucharczyku, pójdzie do tamtego schroniska! Ale dopiero od początku czerwca! Ale nie może całować tamtych dzieci, bo to niebezpieczne! Nie będziesz całowała? – zwrócił się do Jadwiżki.

Jadwiżka chciała odpowiedzieć, że nie będzie całowała tamtych dziewczynek, lecz pan Nowak już znowu zaczął mówić:

–To wasze pisklę, Kucharczyku, będzie wychowawczynią tamtych dwóch

dziewczynek. Zgoda? Będzie je uczyła! Jeden a jeden jest dwa!... Zarobi jakiś grosz, wyżywi się... A przede wszystkim będzie łykała ozon!...Ho, ho, ozon!... Ozon wyleczy płuca raz dwa! Ozon wszystko uleczy! Nawet serce ludzkie! Ho, ho!... A ja w każdą niedzielę będę w Beskidach, to zawsze zajdę do schroniska na Baranią! Odwiedzę to wasze piskłę, Kucharczyku. I będę je zawsze miał na oku, czy ozon skutkuje! No zgoda?... – I drugi guzik był już odkręcony. Poleciał na stół, a teraz przyszła kolej na trzeci guzik.

Jadwiżka patrzyła zdziwiona na pana Nowaka, bo nie chciała wierzyć temu wszystkiemu. Stary Kucharczyk zaś mrugał śmiesznie powiekami, coś mamrotał, a potem wyciągnął dłonie do lekarza.

–Co, dziękować?... – zaperzył się pan Nowak, odskakując na środek izby. – Nie dziękować!...

Podbiegł szybko do starego Kucharczyka, ujął go za trzeci guzik, pociągnął, lecz potem wytoczył się na krótkich nóżkach z izby, nie zdążywszy oberwać guzika. Biegł teraz po drodze, jakby go ktoś ścigał. Machał śmiesznie ramionami i wciąż powtarzał:

–Co, dziękować? Ho, ho, ozon!... Ozonowi dziękować!

O tym, jak stary kucharczyk został

kataryniarzem

Wszyscy doczekali się szczęśliwie końca maja.

Jadwiżka przestała wyjeżdżać do szkoły, tylko krzątała się po domu. Ojciec unikał ludzi i często udawał się do łągu, gdzie był spory laszek brzożowy, a pod laskiem szumiało zboże. Tak dziwnie pachniało. Stary Kucharczyk siadał pod białą brzożą, słuchał, jak zboże szumi, i wdychał z ulgą jego zapach. Potem wracał do domu opłotkami, pilnie bacząc, żeby się z nikim nie spotkać.

–Nie chcę się spotykać z towarzyszami!... – tłumaczył się przed Jadwiżką.

–Dlaczego?

–Eh, bo... – i urwał, nie kończąc zdania.

Jadwiżka wiedziała, czemu to ojciec czyni. Oto po prostu lęka się, że jego towarzysze będą mu czynili wymówki. Powiedzą, że on winien bezrobociu, że on winien zalewowi kopalni. A poza tym ojciec nie chciał patrzeć na ich nędzę.

Do mieszkania zaglądał coraz większy niedostatek. Często się zdarzało, że nie starczyło już pieniędzy na bochenek chleba. Ojciec otrzymywał wsparcie z Funduszu Bezrobocia, lecz było tego bardzo mało. A od pierwszego czerwca zasiłek zostanie mu wstrzymany.

Jadwiżka pocieszała się nadzieją, że gdy uda się do dzierżawcy schroniska na Baraniej, będzie mogła pomóc ojcu i bratu. Brat wprawdzie otrzymuje śniadanie w kuchni szkolnej, lecz to także wszystko mało.

Radowała się myślą, że ozon na Baraniej wyleczy jej płuca. Kiedy sobie wyobraziła, że miałyby tak wcześnie umierać, obiegało ją zimne mrowie. Otrząsała się z wewnętrznego przerażenia, a jej serce na drobną chwilkę jakby zamierało. Zimny pot wyczuwała na skroniach.

–Nie chcę umierać!... Nie chcę umierać!... – krzyczało w niej wszystko. I wtedy zaciskała drobne pięści na ramie okiennej, jakby się bronić chciała przed nadchodzącą śmiercią. Dygotała w takich chwilach z niepojętego wzruszenia.

Nie mogła się doczekać końca maja. Wiedziała, że matura jej przepadnie, że będzie ją mogła zdawać dopiero za rok, lecz i tak tego roku nie zmarnuje. Pomoże ojcu i bratu, poratuje zdrowie, poduczy się przez ten rok do egzaminu i wszystko będzie dobrze. Żeby tylko ów ozon pomógł!... Ale chyba pomoże, kiedy pan doktor Nowak

tak mocno za nim przemawia!... Skąd się bierze tyle dobroci u tego człowieka? Dziwny to człowiek. Bardzo dziwny człowiek.

Jakby się tu jemu odwdzięczyć za to serce życzliwe?

Nie umiała znaleźć odpowiedzi. Wiedziała jednak, że wcześniej czy później będzie to mogła uczynić. Gdy już nic innego nie wymyśli, to przynajmniej narwie cały pęk kwiatów, przyniesie mu do mieszkania i powie:

–Panie doktorze... proszę, oto kwiaty przyniosłam...

A pan doktor Nowak zacznie śmiesznie mrugać, pacnie się po łysinie, a potem weźmie od niej kwiaty i będzie je grubymi paluchami głaskał i coś do nich szeptał... Pan doktor Nowak kochał bowiem kwiaty, zwłaszcza kwiaty ofiarowane mu przez dzieci. W ogóle za dziećmi i kwiatami przepadał.

–Każdy kwiat ma duszę!... – mawiał często. – Ma duszę, tylko nie każdy człowiek może ją dojrzeć!... Dziecko tylko ją dojrzy!...

W ostatnim dniu maja Jadwiżka pojechała w Beskidy. Przyszedł pan Nowak, kupił jej bilet do Wisły, udzielił jej ostatnich rad, jak ma ów ozon beskidzki połykać, a potem poszedł, bo się lękał, że ojciec lub dziewczyna będą mu dziękowali. Nawet nie miał czasu na oberwanie guzika Kucharczykowi.

Hanys także odprowadził Jadwiżkę. Pan nauczyciel zwolnił go z nauki.

Wracał teraz z ojcem do domu. Zeszli na miedzę i kroczyli w milczeniu wśród niewielkich poletek. Słońce – jak zwykle – wędrowało po zadymionym niebie. Wiatr przeganiał polami i spędzał krztuszące czady z pobliskiej hałdy. Mijali głębokie wądolce, wypełnione zgniłą wodą. Woda była czarna i cuchnąca. Pstrzyły się na niej duże pawie oka rozlanych smarów. W słońcu błyszcząły jak przygaszona tęcza.

–To jest ładne, tatulku!... – wskazywał Kucharyja ojcu tamte cuda na czarnej wodzie.

Ojciec popatrzył, lecz nic nie odpowiadał. Widać znowu się martwił.

Miejskami przechodził przez kamieniste ugorzyska. Nie rosła tam nawet trawa. Chude kozy tylko i wrzaskliwe gęsi wałęsały się po owych bezpańskich wydmuchowiskach, szukając pożywienia. Gromady umorusanych dzieci harcowały i kryły się po wądolcach.

–Hanys!... Hanys!... – wołały na Kucharyję, kiedy go spostrzegły.

Hanys jednakże nie szedł do nich. Jakże tu iść, kiedy trzeba z ojcem wracać. Ojciec

się martwi, więc nie można go opuszczać.

Oto teraz przystanął i patrzy się na wygasłe kominy swojej kopalni. Kominy sterczą pod niebo, rude i okopcone. Na szybowej wieży spoczywają koła, a liny zwieszają się wielkimi łukami. Ogromna sortownia podobna teraz do umarłego stworzenia. Dawniej tętniło w niej życie maszyn, maszyny krzyczały i dygotały z wysiłku, teraz umilkły, rdzewiejąc w swym opuszczeniu. Ciemne okna sortowni szczerzą się do świata jak puste oczodoły końskiego czerepu.

–Chodźmy, tatulku!... Patrzcie, tam jakieś komedianty jadą! – rzekł Hanys, wskazując na drogę.

Kucharczyk spojrział. Istotnie drogą jedzie wóz wędrownych komediantów, za nimi drugi, naładowany po wierzch jakimiś deskami i drągami. Koło wozów kroczą oberwańcy i wielka gromada dzieci.

–Tatulku, chodźmy się tam popatrzeć! To może karuzela!...

Ojciec zgodził się. Poszli więc poprzeczną miedzą na drogę. Tamte wozy stanęły tymczasem przy gospodzie, a naokoło zbierali się ludzie.

–No, serwus, stary, jak się masz? – posłyszał Kucharczyk czyjś głos za sobą.

Obejrzał się i ujrzał jakiegoś wąsatego chłopca z czarną czupryną. Uśmiechał się do niego i dłoń wyciągnął.

–No, już mnie nie znasz? Nie poznajesz Szymiczka?

–Ach, to ty?... Nie poznałbym cię...

–Wierzę!... Widzisz, teraz takiego chleba się chwyciłem! – i wskazał na wozy.

Stary Kucharczyk już teraz wie. To Szymiczek, który kiedyś pracował na tej samej kopalni, co on. Potem wyjechał do Francji. Tam ożenił się z jakąś Francuzką. Tyle tylko wiedział, że włączył się z nią po całej Francji. Francuzka ta była właścicielką karuzeli. Jej poprzedni mąż posiadał tę karuzelę, a kiedy umarł, Szymiczek przejął jego chudy majątek.

–Skąd się tu wzięłeś? – zapytał Szymiczka po przywitaniu się z nim.

–Skąd? Przyjechałem z Francji...

–Z karuzelą?

–Jak widzisz! – i znowu wskazał dłonią na wozy.

–Z żoną?

–Nie, żona mi umarła we Francji. A potem Francuzi mnie wydalili. Musiałem wrócić do kraju. A tu będę klepię. Ale mi przynajmniej milej, bo między swoimi.

–To z karuzelą jeździsz?

–Jak widzisz!

–Sam?...

–Ale gdzież tam! Nie dałbym rady! Mam trzech pomocników. Pozbierałem po drodze, jacyś bezrobotni. Porządni ludzie! A ty? Bez nogi?

–Bez nogi!...

–W kopalni?

–W kopalni! A teraz bez pracy!... A oto mój synek!

–Mówisz, że bez pracy? Hm... Wiesz, jesteśmy kolegami!... Poszedłbyś ze mną?

–Jak to z tobą? Z karuzelą?

–No, cóż dziwnego? Porządne rzemiosło, a mnie właśnie brakuje kogoś, kto by mi grał na katarynie! Miałem jednego takiego, ale zabrali mi go do szpitala! Przeziębił się, gdy były te deszcze w marcu. Zachorował i poszedł do szpitala. Także jakiś bezrobotny. No, poszedłbyś?...

–Jako kataryniarz?

–No, cóż do pioruna? Czy to wstyd być kataryniarzem? To taki sam porządny człowiek jak każdy inny, no nie?...

–No tak!... Ale...

–Żadne ale! Miałbyś lekką pracę, bobyś mi tylko grał. Oto byś korbą kręcił i to wszystko. A nie żyłbyś z cudzej łaski! Zarobek zawsze jakiś będzie! No, pójdiesz ze mną?

–Wiesz, stary... trudno mi teraz powiedzieć...

–To nic! Powiesz mi, gdy się namyślisz! Przenocuję tu do jutra, rano przyjdę do ciebie. Gdzie mieszkasz?

–Za hałdą w starej kolonii.

–Znajdę cię! No, to do widzenia do jutra! Bo muszę iść.

Poszedł, rozpychając ludzi tłoczących się koło wozów.

W nocy stary Kucharczyk znowu nie mógł usnąć. Przewracał się na łóżku i przewracał, a myśli przeróżne wędrowały przez jego głowę. W izbie była ogromna cisza. Synek tylko oddychał równo i głośno. Spał teraz w łóżku siostry. Dotychczas sypiał na ławie. Dzisiaj pierwszy raz spotkała go taka wygoda. Na ścianie tykał stary zegar. Poza tym była cisza.

W izbie stał gęsty mrok, a jeżeli przechylić głowę i spojrzeć w okna, można dojrzeć noc, w jej głębi zaś samotne światła elektrycznych lamp łukowych. Tkwiły w ciemności jak świecące kamuszki gorejące na dnie studni.

I co stary Kucharczyk spojrział na tamte drobne, dalekie światła, żgnęło go w serce niemiłe uczucie. Wszak tamte światła – to znak, że gdzieś ludzie pracują. Toczą się koła na szybowej wieży, tętnią maszyny, krzyczy para, a ludzie się radują. Kucharczyk już nigdy nie będzie się radował. Wszak on nigdy już nie będzie robotnikiem.

Myśli nie dawały mu spokoju.

Zdawało mu się, że stoi na progu i patrzy w ogromne mroki. W mrokach tych czekają go jacyś zbóje na drodze, zapadliska okrutne, maskary jakieś diabelskie, topielce i wszystko, co trwogę nieci w struchlałym sercu.

Oto już nigdy nie będzie robotnikiem!... Żyć będzie odtąd w ciągłym upokorzeniu, że stał się człowiekiem niepotrzebnym, że musi wieść nędzny żywot, z dłonią wyciągniętą po ludzką pomoc. Kiedy pójdzie drogą a zobaczy pracujących ludzi, serce w nim zapłacze z okropnego żalu. Nic go już nie będzie radowało. Praca stanie się dla niego zamkniętym ogrojcem, ukrytym poza wysokimi murami. Będzie dla niego skarbem zaklętym, którego już nigdy nie będzie umiał zdobyć... Stanie się niepotrzebnym człowiekiem...

A jeżeli pójdzie ze Szymiczkiem i będzie mu grywał na karuzeli, zapomni po części o swojej nieszczęsnej doli. Wszak to jest praca, jeżeli ktoś kręci od rana do wieczora skrzypiącą korbą. Mizerna to praca, lecz jednak coś. Ludzie będą się radowali katarynce, będą się zbierali gromadą wielką koło niego, a on będzie grał... Inna to już praca aniżeli ta w kopalni, lecz przynajmniej pozwoli mu zapomnieć o krzywdzie!... Może tam będzie się ktoś pośmiewał z niego.

–Patrzcie, patrzcie!... – będą ludzie wołali. – Oto stary Kucharczyk idzie z kataryną...

–A kiedyś, to on był górnikiem...

–A teraz z kataryną włóczy się po świecie...

–Patrzcie, patrzcie... stary Kucharczyk na psy zeszedł!...

–Cha, cha, cha!...

Co tu uczynić? Mój Boże, co tu uczynić?... Jadwiźce już dobrze. Znalazła miejsce między ludźmi. Nie będzie jej krzywda. Oto zapracuje już na siebie... A przede wszystkim znajdzie zdrowie!... I gdyby się dowiedziała, że jej ojciec poszedł na włóczęgę z katarynką, to kto wie, co by uczyniła!... Jeżeli więc pójdzie, Jadwiźka nie powinna o tym wiedzieć!...

Ale co uczynić z Hanyskiem?...

Świt przecierał się już na niebie, a do izby jęło sływać szare światło. Kucharczyk wstał przeto i sięgnął po swoją nogę drewnianą. Stała oparta o łóżko. Kiedy ją przypinał do bioder, znowu ujrzał tę swoją nędzę.

Wyszedł cichaczem na próg i usiadł pod ścianą.

Niebo powlekało się jasnością, gdzieś daleko spoza dymów przychodziło słońce. W brudnej mgłę, ważące się nad czarną ziemią, czerniły się sylwetki kominów kopalni, a ptaki jakieś budziły się i sennie kwiliły. W miarę jak słońce rozpalało pierwsze chmury na niebie, a mroki topniały na czarnej ziemi, Kucharczyk stopniowo uciszał się w sobie. A gdy w końcu słońce wytoczyło się spoza ziemi i zatopiło cały świat blaskiem, Kucharczyk już wszystko postanowił.

Niezdługo przyszedł Szymiczek. Kucharczyk widział go idącego drogą. Ziewał szeroko i przeciągał się raz po raz. Stąpał mocno.

–No, dzień dobry, kolego! – zawołał, kiedy dojrzał Kucharczyka pod ścianą.

Kucharczyk spojrzał z ulgą w jego otwartą, szeroką twarz.

–Dzień dobry! – odpowiedział.

–Więc co będzie?

–Siadaj koło mnie.

Szymiczek usiadł. Skrzypnęła ława pod nim.

–Więc co? – zapytał znowu, patrząc na drewnianą nogę Kucharczyka. – Szkoda twojej nogi. To w kopalni, powiadasz?...

–W kopalni... – podjął Kucharczyk i opowiedział mu wszystko. O wszystkim

powiedział. Nawet o tym, że z powodu niego kopalnia "Wolfgang" została zamknięta, że robotnicy nie mają pracy, a on czuje się niepotrzebnym człowiekiem. I że miłsza byłaby mu śmierć niż takie życie... Tylko że te dzieci nie miałyby już potem nikogo...

–Ale głupstwo! – przerwał Szymiczek i uderzył go mocno po ramieniu. – Koń ma głowę jak cebrzyk, to niech się martwi! Powiadasz, że córkę chorą na płuca, masz w Beskidach? Niech tam będzie. Tam wyzdrowieje. A synek... hm... Wiesz co?

–Co?

–Synka weźmiemy z sobą! Jeszcze się zmieści na wozie. A gdy będzie trzeba, pomoże w robocie. Nic mu nie dam, ale głodu nie będzie cierpiał u nas. Ty zaś zarobisz jakiś grosz. Mówię ci, robota jak się patrzy. Ludzie chcą się bawić. Radują się, gdy taką karuzelę postawię i gdy mogą się na niej raz i drugi przewieźć. Tania to radość, ale i taka potrzebna. Ho, ho, ja wiem... Wszak już od siedmiu lat włączę się z karuzelą. Więc pójdziesz, czy nie pójdziesz?

–Czy ja wiem?

–Głupiś!... I tak nie masz z czego żyć! Niezadługo gotowi cię z mieszkania wyrzucić! Gdzież potem pójdziesz? Co?... Z czego będziesz żył? Z tej ludzkiej łaski? Jak jakiś żebrak? Wiesz, takiego łaskawego chleba nie mógłbym przełknąć. Więc idziesz? Mów prędko...

Kucharczyk wahał się jeszcze przez chwilę. Lecz potem wstał i rzekł mocno:

–Idę!

–No widzisz! – rzekł Szymiczek z zadowoleniem.

Poszli pod tamtą gospodę, gdzie na wozach znajdowała się rozłożona karuzela. Szymiczek zawołał na swoich pomocników, by zdjęli z wozu katarynkę. Znieśli ją ostrożnie, postawili pod ścianą. Kataryna była podobna do wielkiego pudła ozdobnie pomalowanego. Z przodu sterczały złożone kolumienki, między kolumienkami pstrzyły się firaneczki, a poniżej było umieszczone zwierciadelko i jakiś obrazek przedstawiający niesłychanie piękny krajobraz. Same róże, jakieś góry drzewa i aniołki.

–No, spróbuj zagrać! – zachęcił Szymiczek Kucharczyka. – Oto tą korbą zacznij kręcić!

Kucharczyk ujął korbę i zaczął kręcić. A w tej samej chwili z wnętrza katarynki popłynęła słodka muzyka. Jakby jakieś małe organy grały. Lamentowały piszczałki, buczały trąby, dzwoniły jakieś srebrzyste dzwonki, huczały bębny, a przeróżne te głosy zlewały się w ogromnie piękną melodię.

Z okolicznych domów jęły się wychylać rozespane twarze, a każda twarz była uśmiechnięta. A w jednym oknie wychyliła się nawet matka z małym dzieckiem. Dziecko klaskało w dłonie i krzyczało ogromnie uradowane.

Kucharczyk widział to wszystko. I wtedy dojrzało w nim postanowienie.

–Będę chodził z kataryną, i skończone! – i także się uśmiechnął.

O tym, jak Kucharyja wyrusza w świat

z małpką

Niesłychana zawierucha powstała w klasie, kiedy Kucharyja oznajmił wszystkim, że idzie w świat z małpką. Chłopcy nie chcieli wierzyć. I aż się za głowy łapali ze zdumienia, a jeden drugiego upewniał, że to może wszystko nieprawda.

–Cygani Kucharyja! Cygani! – wrzeszczeli.

–On sam jest małpką zieloną!

–Nabiera nas!

Kucharyja jednak stał na katedrze z podpartymi bokami i uśmiechał się zadowolony. A kiedy się wszystko uciszyło, musiał znowu opowiadać od początku. Opowiadał więc, że ojciec jego przyłączył się do pana Szymiczka, a ten pan Szymiczek jest z Francji i posiada karuzelę. karuzela posiada czternaście koni z grzywą i ogonami. Konie mają pyski rozdziawione, a zamiast oczu posiadają takie kolorowe szkiełka. Siodła też są i strzemiona także. Konie te mają podniesione przednie kopyta. Poza tym są jeszcze takie wygodne ławki dla tych, którzy by się lękali na konia usiąść. A wszystko to kręci się szybko. Tak szybko, że się w głowie toczy.

–A jeżeli kto spadnie?... – zastanowił się wątył Gołyszny, który się wszystkiego lękał.

–No to leży, prawda, Kucharyja! – wtrącił niedbale Olszak.

–A co z tą małpką? Powiedz nam jeszcze o tej małpce! Czy to żywa małpka? – krzyczeli koledzy.

–Jak mówię! Toć żywa! A nazywa się Bobuś!

–Słuchajcie, koledzy! Bobuś!... Bobuś!... – wydzierali się chłopcy.

–A umie różne komedie.

–Jakie? Jakie?

–Umie tańczyć i umie tak chodzić jak stary człowiek. Ubierze się za takiego pana w cylindrze, weźmie parasol taki mały i chodzi...

Chłopcy po prostu nie chcieli wierzyć. A przede wszystkim było im ogromnie żal, że nie widzieli tej małpki. I każdy zazdrościł Kucharczykowi, że go spotkało takie

niesłychane szczęście.

Najbardziej zazdrościł mu Blattan. Gdy sobie wyobraził, że Kucharyja nie będzie nic innego robił, jak tylko z małpką włóczył się za karuzelą, że będzie mógł się w każdej chwili wozić na karuzeli, to aż płakał z żalu. Że to nie jemu takie szczęście pisane.

–Wiesz, bo jak co, to ucieknę z domu i także przystanę do tej karuzeli!... – szepnął Kucharczykowi do ucha. – Nie musiałbym chodzić do szkoły ani pisać zadania. Wiesz, bo dzisiaj znowu nie mam... Będzie teraz parada, gdy przyjdzie polski!... Mój Boże, bo ucieknę z tobą...

–Toć, a potem ojciec posłałby za tobą pana policjanta Kucza, a pan Kucz wzięłby cię za kark i wiódłby cię przez całą kolonię! Toby dopiero była parada!...

–Wiesz, a ja bym tego Bobusia nauczył odrzynać guziki ludziom! – szeptał z drugiej strony Szczypka.

Kucharyja miał jeszcze chodzić do szkoły, do końca roku szkolnego, a potem dopiero pójdzie z ojcem na tę włóczęgę.

–A gdzie znajdziecie pana Szymiczka z karuzelą? – pytali chłopcy.

–W Bielsku! Już jest wszystko umówione! Pośle nawet bilet kolejowy dla nas, żebyśmy mogli przyjechać!

–Ale po wakacjach wrócisz znowu do szkoły?

–Może już nie!

–Nie mów! Naprawdę? – gorączkował się Blattan.

–Może będę chodził tam do szkoły, gdzie będzie nasza karuzela. Raz tu, a raz tam. Jak już trafi.

–To będziesz szczęśliwy! – wzdychał Blattan.

–Czemu?

–Bo nie będziesz musiał uczyć się wierszyków ani nic! A zadań też nie będziesz musiał pisać!...

O tym wszystkim dowiedział się także "ujec".

Ujca lubili wszyscy chłopcy. Nawet dziewczyny go lubiły. Może nawet jeszcze bardziej niż chłopcy. Po prawdzie to on nazywał się Wojnar, ale chłopcy przewali go ujcem i ujcem już został po wszystkie czasy. A ujec to tyle, co wuj.

Kiedy dzwonek oznajmił, że już godzina ósma, że już czas skończyć z "robieniem piekła" w całej szkole, i kiedy wszystko się uciszyło, a cała szkoła zamieniła się jakby w jakiś ul brzęczący, wtedy wychodził ujec. Mały, zgarbiony, o pomarszczonej gębie, podobnej do zwiędłego jabłka, o dobrych, szarych i mądrych oczach, jak jął człapać po korytarzu. Poprawiał stary, wytarty i zatłuszczony kapelusz na głowie, wycierał nos cichaczem dużym, modrym fartuchem i szedł od drzwi do drzwi i słuchał.

–Aha... tu się uczą rachunków... Już znowu Donocik nie umie... – mrucał do siebie.
– A tu się uczą polskiego!... – mrucał pod następnymi drzwiami. – A tu geografii...

Przechodził w ten sposób wszystkie korytarze i pod wszystkimi drzwiami. Potem opierał się o ścianę i słuchał długo. Wtedy twarz jego rozjaśniała się, w oczach jęły pełgać drobne płomyki, a z wielkiego wzruszenia jął pociągać mocno nosem. Ogromną radość sprawiało mu wsłuchiwanie się w brzęczenie całej szkoły. Uległ złudzeniu, że szkoła to istotnie jakiś olbrzymi ul, w którym pszczoły brzęczą. A kiedy już nasłuchiwał się dowoli, brał miotłę i zaczynał czynić porządki. Zamiatał korytarze, zaglądał do wychodków, czyścił je, wycierał skrzętnie, a bez przerwy nucił jakieś cudzoziemskie piosenki.

W ogóle ujec stale śpiewał przy pracy. Po cichutku, żeby nauce nie przeszkadzać.

–Co to śpiewacie, ujcu? – pytali go chłopcy, którzy spóźnieni pędzili do klasy.

–No, takie piosenki światowe... – mawiał.

Ujec był już stary. Powiadał każdemu, że mu sześćdziesiątka dawno minęła. A że dużo świata zwiedził, przeto znał dobrze geografję i wiele języków. Najbardziej był ujec rozrywany, kiedy miała wypaść powtórka z geografii. Chłopcy biegali do suterenu i prosili, żeby szedł uczyć geografii. Ujec nie odmawiał. Stawała przed mapą w swym niebieskim fartuchu i zaczynał uczyć. Ho, ho!... Bo ujec był mądry!... Ujec był bardzo mądry!... A jak po niemiecku umiał mówić! Nawet sam Weiser czy Stritzki musieliby się przed nim skryć! A po francusku, po angielsku, po czesku także!... Najświetniej kłął po węgiersku!... Nawet po włosku umiał kłąć!... Osztia makako!... Potem umiał liczyć po cygańsku!... Jednura, drugura, rajka, majka, dzińdzi, lińdzi... Najwięcej zaś wszystkim chłopcom imponował, że umie po hebrajsku. Nawet Urbach, co będzie kiedyś rabinem, szukał u niego pomocy.

–Ujcu!... Uliczku mój złoty, pomóżcie mi, bo rabin wsypie mi dwóję!... – prosił.

Ujec brał w zabrudzone, spracowane dłonie jakiś tekst hebrajski i zaczął czytać. Jak prawdziwy Żyd. Od prawej strony na lewą!...

–Skąd wy to wszystko ujcu, umiecie? – dziwili się chłopcy.

–Ho, ho!... – mawiał. – Jeżeli człowiek przeżyje tyle co ja, to wszystko może umieć!

...

Jedynym jego życzeniem było umieć mówić po japońsku lub po chińsku. Udało mu się wycygnąć od jakiegoś japońskiego włóczęgi małą broszurę, pokreśloną literami japońskimi. Japończyk ów, mały i żółty na gębie jak cytryna, przyszedł raz do szkoły z jakimiś małymi bożkami, rzezanymi w kamieniu. Rychło pokumał się z ujem. Rozmawiali po niemiecku. A kiedy Japończyk odchodził, to ujec dał mu zegarek, a Japończyk wręczył mu broszurkę o pergaminowych kartkach.

–To jest modlitewnik japoński!... – mawiał chłopcom pokazując im z daleka cenną broszurę. – Japończyki modlą się z takiej książki do Buddy. To jest taki wielki święty japoński, wiecie?... A chiński też!...

Chłopcy widywali go, jak często ślęczał nad tamtą cudaczną książką i starał się odsylabizować pokręcone znaki pisarskie. W końcu przekonał się, że nie da rady, i modlitewnik japoński schował na dno kuferka. Obiecywał jednak, że gdy tylko otrzyma gramatykę japońską, to się nauczy czytać z tamtej pobożnej książki. Pisał nawet do konsulatu japońskiego w Warszawie w tej sprawie, ale nie otrzymał odpowiedzi. Widocznie mieli dużo roboty, więc nie odpisali. Ale kiedyś odpiszą!...

Dziewczyny lubiły go za to, bo im zawsze mawiał: "Całuję rączki!..." i nazywał je panienkami. Nawet Hanę Buchciankę, która tłukła wszystkich chłopców, a po drzewach łąziła jak wiewiórka, także nazywał panienką.

Ujca znały wszystkie wróble w okolicy. Gdy tylko wyszedł na podwórze, to z wielkim krzykiem zlatywały się do niego. On wtedy stawał na środku podwórza, wydobywał spoza fartucha kawałki chleba, znalezione pod ławami w klasach, drobił je i sypał wróblom. A wróble wrzeszczały, biły się, przepychały do ujca, a który z nich był śmielszy, to nawet z dłoni wydziobywał chleb, jeżeli dłoń tę położył na ziemi.

Poza tym ujec zbierał wszystkie gazety i kawałki zapisanego papieru w całej szkole i wtykał za fartuch. A kiedy na piersiach utworzył mu się taki spory garb z tamtych papierów, niósł je do suterenu i wkładał do wielkiej skrzyni po zapalkach. Potem w niedzielę wybierał świstek po świstku, prostował na desce i odczytywał pilnie.

Największy jednak podziw budził u chłopców tym, że posiadał siedem zegarków. Jedne były małe, drugie większe, a wszystkie szły jak się patrzy. Wisiały w jego szafie u tercjana Byloka, na siedmiu gwoździach. Poprzednio zegarków tych było osiem, lecz jeden przeszachrował z tamtym Japończykiem za pergaminową broszurę buddyjską. Gdy nadeszła niedziela, wybierał jeden zegarek, czyścił go ładnie kredą, potem przypinał do łańcuszka przy kamizelce i szedł do kościoła. Gdy wrócił, zegarek wieszał w szafie, a na kamizelce zostawał tylko łańcuszek.

Wszyscy chłopcy marzyli o tym, żeby móc posiadać przynajmniej jeden taki

zegarek, jakie wisiały w ujcowej szafie na gwoździach. Nawet Raszka, którego ojciec miał samochód, marzył o takim zegarku. Wprawdzie Raszka posiadał mały zegarek, lecz jeżeli go nakręcić, to duża wskazówka toczyła się jak wiatrak. Chłopcy śmiali się z takiego pomyłonego zegarka, a Raszka tłumaczył, że zegarek ma przyspieszone tętno i brakuje mu piątej klepki.

Ujec czasem przynosił wszystkie zegarki na dłoni i pozwalał je chłopcom oglądać. Nie wolno im było jednak nakręcać ani tłuc nimi sąsiada po głowie.

Kucharyja także marzył gorąco o ujcowym zegarku.

–Ujcu, po co wam tyle zegarków? – pytał go chytrze.

–Po co?... Hm, mój Boże – gdy umrę, to ich nie wezmę do grobu... Rozdam je dobrym ludziom...

–A czy między chłopcami w naszej szkole są dobrzy ludzie? – kluczył Kucharyja.

–A są... są!... – zapewniał ujec skwapliwie.

–Toteż dacie kiedyś komuś z nich taki zegarek?

–A dam...

Ujec uśmiechnął się nieznacznie, bo wiedział, do czego zmierza mały Kucharyja. Kiedy się teraz dowiedział, że Kucharyja odchodzi w świat z ojcem, poszedł do swojej szafy, otworzył ją szeroko i długo patrzył na siedem tykających zegarków. Sypał się z nich pomierzwiony szelest, zegarki zaś kołysały się na gwoździach i błyszcząły wyczyszczonym niklem. Potem brał jeden po drugim i oglądał. Ważył je, przytykał do ucha i mruczał. W końcu wybrał zegarek średniej wielkości, z sekundnikiem, a który najgłośniej tykał. Jeszcze raz go zważył, jeszcze raz do ucha przytknął, a potem powiesił na osobnym gwoździu. Następnie zamknął szafę i poszedł na podwórze karmić wróble i sikorki.

Nadszedł ostatni dzień nauki.

Chłopcy poszli do kościoła, a potem wrócili do szkoły. Każdy z nich modlił się szczerze podczas nabożeństwa, pragnąc wymodlić dla siebie dobre świadectwo. Najgoręcej szeptał pacierze Blattan. Kucharyja się także modlił, prosząc Boga nie o dobre świadectwo, lecz o pogodę na jutro.

–Czemu się modliłeś o pogodę? – zapytał go modrooki Raszka, który stał obok niego w kościele.

–Bo jutro jadę w świat...

–No, to ja wiem, ale co ma pogoda wspólnego z twoim wyjazdem w świat?

–Bo gdy będzie deszcz, to źle...

–Że zmokniesz?...

–Ale nie... To będzie znaczyło, że mnie czekać będzie płacz.

–Ale nie pleć, ni! – pocieszył go Raszka. – To nieprawda!

–Mówisz, że nieprawda?

–Mówię ci, że nie! To tylko stare babki wierzą w takie plotki – rzekł z przekonaniem.

Kucharyja uwierzył, bo jeżeli ktoś ma ojca lekarza, a w szafie tyle grubych ksiąg, to zapewne i w tym ma słuszność.

Po rozdaniu świadectw nastął sądny dzień w szkole. Najgłośniej beczał i narzekał Blattan.

–Pójdę się utopić! Utopić się pójdę! – mówił do każdego, krztusząc się łzami.

–A dlaczego? – pytali chłopcy.

–Bo mam same dwóje! Ojciec mi zerżnie skórę! Utopić się pójdę!... Utopić!...

–Bo ja bym poszedł się patrzeć?... – wtrącił Szczypka i w tej samej chwili oderżnął guzik od jego kurtki.

Blattan zapomniał o topieniu się, bo pognął z wielkim krzykiem za Szczypką.

Nazajutrz prawie wszyscy chłopcy przyszli do swego kolegi Kucharczyka, żeby go odprowadzić na dworzec. Raszka powiedział, że prosił ojca, by samochodem odwiózł Kucharyję i jego ojca na dworzec, lecz nie dało się. Bo jego ojciec pojechał na sąsiednią kopalnię, gdzie komuś tam wagoniki zgniotły klatkę piersiową.

Zebrali się wszyscy na miedzy i czekali, skoro wyjdzie Kucharyja z ojcem. Przyszedł także ujec. Doczekali się nareszcie. Lecz ku swemu ogromnemu zdumieniu spostrzegli, że z domu wychodzi także sam pan Szymiczek z małpką na ramieniu.

–Bobuś!... Bobuś!... – wrzaśli chłopcy rozradowani i pobiegli do pana Szymiczka. Kiedy ich jednak małpka zobaczyła, parsknęła ogromnie śmiesznie i skryła się pod marynarką pana Szymiczka. Tylko ogon wyląził spod marynarki.

Szli teraz wszyscy wielką gromadą. Pan Szymiczek trochę się gniewał, że chłopcy czynili takie hałaśliwe zbiegowisko, lecz Kucharyja udobruchał go.

–To są moi koledzy!... powiedział.

Doszli tak aż na stację. Małpka czasem tylko wysunęła pyszczek spod marynarki, lecz natychmiast kryła go z powrotem. Chłopcy wołali na nią, cmokali, lecz małpka nie chciała wyrzeć.

Pan Kozubek, który był portierem na stacji, nie wpuścił chłopców na peron.

–Nie macie peronówek!... – krzyknął.

–Wynoście się, pókim dobry!...

Chłopcy powyłazili więc na płot i patrzyli, jak małpka wychyla łebek spod marynarki i rozgląda się ciekawie po świecie. I znów wołali na nią, cmokali, świstali, lecz małpka ani na nich nie spojrzała. Kucharyja zaś pociągnął nosem, bo mu było żal opuszczać tyłu kolegów. Uspokoił się dopiero, gdy Bobuś wylazł spod Szymiczkowej marynarki i wskoczył na jego ramię.

–Ona jest podobna do pana doktora Nowaka! – wrzeszczał Szczypka. – Popatrzcie się, chłopcy! Jakby pana doktora Nowaka człowiek widział!

Chłopcy śmiali się okropnie i tak hałasowali, że w końcu przepędził ich pan Kozubek. A gdy już pociąg nadszedł, do Hanysa podszedł ujec i wetknął mu do garści zegarek.

–Co to? Co to? – zdziwił się Kucharyja, nie wierząc własnym oczom.

–Weź se, Kucharyja, weź!... Szczęście ci przyniesie!... – szeplecił stary ujec, zaciskając mu garść z zegarkiem. – Może już się nie zobaczymy! Będziesz miał na pamiątkę!

Chłopcy to widzieli. Krzyczeli przeto za płotem i w dłonie klaskali, ujec zaś ocierał łzy na zmarszczonej twarzy, a Kucharyja wciąż jeszcze nie wierzył własnym oczom. Ojciec z panem Szymiczkiem i z małpką stali już w oknie wagonu i wołali, żeby wsiadał... bo pociąg ruszy...

–Wsiadać!... Wsiadać!... – zawołał również pan konduktor i wepchnął chłopca do wagonu. Potem zatrzasnął drzwiczki, podniósł wysoko dłoń i pociąg ruszył.

Chłopcy darli się już teraz wniebogłosy, rzucali czapkami w górę, a na peronie stał ujec i nieznacznie ocierał oczy.

O tym, jak Kucharyja znalazł nowego przyjaciela

Stary Kucharczyk wszystko mądrze obmyślił.

Zaszedł poprzednio do dyrekcji kopalni, żeby się dowiedzieć, co będzie z jego mieszkaniem. Pan zawiadowca siedział za stołem i martwił się, gdyż bębnił palcami po stole.

–No, co słyhać, Kucharczyku? – zapytał nie przestając bębnić.

–Pięknie proszę, panie zawiadowco... bo ja tu przyszedłem...

–W sprawie roboty? Nic z tego!

–Nie... W sprawie mieszkania...

–Aha! No, o cóż wam chodzi?

–Czy mieszkanie...

–Aha, czy mieszkania wam nie odbierzemy, prawda?

–Tak...

–Siedźcie, jak siedzieliście dotychczas... Na razie o tym nie myślimy... My też... – chciał powiedzieć, że też mają serce, ale nie dokończył. Wyglądałoby to, bowiem, że się pragnie chwalić.

–Ale bo ja teraz...

–No co? – zapytał już zniecierpliwiony pan zawiadowca i zaczął jeszcze mocniej bębnić palcami po stole.

–...czy mógłbym to mieszkanie komu odstąpić?

–Nie rozumiem!...

Tutaj stary Kucharczyk bez nogi wszystko powiedział, o co chodzi. Że wybiera się na zarobek ze swoim dawnym kolegą, Szymiczkiem, że będzie grywał na katarynie aż do późnej jesieni, że jego synek Hanys także pójdzie i że będzie z małpką pokazywał różne sztuczki, a że do mieszkania przyjąłby swojego kolegę, starego Orszulika, również bezrobotnego, lecz z szybu "Maria Ludwika", a który nie ma gdzie

mieszkać... Nie ten szyb, lecz Orszulik...

–Ależ tyle przecież rozumiem!... – zachnął się pan zawiadowca i przestał bębnić palcami. – No dobrze, dobrze... Przyjmijcie do mieszkania i swoją ciotkę... dziesięć ciotek... nic mnie to nie obchodzi... No, jeszcze co?...

–Już nic, proszę pięknie, panie zawiadowco...

–No to z Bogiem! Z Bogiem! – rzekł pan zawiadowca, otrząsając palcami na znak, żeby sobie już poszedł.

Stary Orszulik czekał przed kancelarią.

–No i co? Pozwolił? – jął dopytywać Kucharczyka.

–Ale pozwolił, pozwolił!

–No, to porządny chłop!

–...będziecie więc siedzieli w moim mieszkaniu... Tylko mi nie przepijcie mebli lub czego...

–Hale!... Dyć przecież!... – zachnął się Orszulik, urażony nieco na honorze.

–Przecież już nie miałem gorzały ze dwa tygodnie w ustach!...

–Lepiej byłoby, żebyście jej wcale nie mieli już w ustach... No, więc będziecie siedzieć na moich śmieciach, aż wrócę z początkiem zimy... A potem...

–Co potem?... – zląkł się już z góry Orszulik o czerwonym nosie.

–No, a potem zobaczymy! Nie damy się zjeść biedzie! A z czego będziecie żyli podczas mojej nieobecności?

–Hm... będę chodził na hałdę zbierać węgiel! Co uzbieram, to sprzedam! A w bieda-szybie też spróbuję! O to przyłączę się do którejś gromady... Może mnie przyjmą... Przynajmniej będę węgle osiewać. Też nie dam się zjeść biedzie!

W mieszkaniu pozostał więc stary Orszulik o czerwonym nosie. Nie odprowadził Kucharczyka i jego synka na stację, bo wybrał się na hałdę z taczkami. Kiedy odchodził, pożegnał się z nimi, powiedział, żeby ich Pan Bóg miewał w Swej opiece, a że nic nie przepije, boby go Pan Bóg skarał, amen! I poszedł, popychając przed sobą taczki.

Potem przyszedł pan Szymiczek z małpką.

–Umyślnie po was przyjechałem! – powiedział. – Ale małąkę wzięłem, bo jej strzegę jak oka w głowie. Strasznie mądra małąka! Prawda, Bobuś?

Małąka rozdziawiła szeroko gębę, podrapała się po zadzie, a potem stanęła jak żołnierz na baczność i zasalutowała na znak, że jest mądrą małąką. A potem jeszcze jednym susem skoczyła panu Szymiczkowi na piersi, ujęła go przednimi łapkami za szyję i uradowana jęła piszczeć jak mysz.

–No, nie jest to mądre stworzenie?... – chwalił ją pan Szymiczek i pogłaskał po głowie. A małąka, jeszcze bardziej uradowana i wdzięczna za pieśczętę, wsunęła mu łapkę w czarne kudły, pogmerała paluszkami i wydobyła pchłę tak na niby. Potem udawała, że pchłę zjada i że jej bardzo smakuje.

Wszyscy ogromnie się śmiali, a małąka znowu piszczała jak myszka.

Potem pojechali do Bielska.

Mijali przeróżne stacje, ludzie wciąż się zmieniali w wagonie, a wszyscy nie mogli się nadziwić zmyślności Bobusia. Kiedy wreszcie pociąg dojechał do Bielska, było już południe, w kieszeni pana Szymiczka znajdowały się zaś trzy złote i coś groszy. Pieniądze te zarobiła małąka. Oto w czasie jazdy ściągnęła kapelusz z głowy panu Szymiczkowi, włożyła go sobie na bakier, potem porwała jego parasol i jęła wędrować po wagonie. Od ławy do ławy. Pasażerowie zaśmiewali się do łez, cmokali z zachwytu, klaskali w dłonie i znowu śmiali się do rozpuku. Nawet pan konduktor, który w pierwszej chwili zmarszczył się na znak, że nie wolno takich rzeczy robić w pociągu, także zaczął buczeć grubym basem i za brzuch się trzymał. Bobuś zaś raz po raz ściągał kapelusz ze swojej małej głowy i, trzymając go w łapkach, obchodził każdego pasażera, strojąc przed nim grymasy. Do kapelusza sypały się miedziaki i dziesięciogroszówki. Jakiś pan wrzucił nawet pięćdziesiąt groszy, bo mówił, że już od roku tak bardzo się nie uśmieł, a teraz go aż brzuch boli z tego śmiechu. A że taki śmiech dobrze robi na trawienie, dlatego wrzucił pięćdziesiąt groszy do kapelusza.

W Dziedzicach małąka już nie chciała pokazywać swych sztuczek. Była zmęczona. Wskoczyła więc na ławę między pana Szymiczka i Hanysa i usnęła jak małe dziecko. Pociąg turkotał, kołysał się, a małąka uśpiona chrapała i chrapała, przytulona do pana Szymiczka. Pan Szymiczek zaś głaskał ją leciutko po futerku i powtarzał raz po raz:

–Mój złoty Bobuś!... Moja małąpeczka... Moja...

A potem rzekł jeszcze do Kucharczyka:

–Bo widzisz, stary... Tak lubię tę małąkę, jakby to dziecko było! Chociaż to jest zwierzę, jednak jest mi milsze niż niejeden człowiek. Nieraz człowiek może mnie zdradzić, a takie zwierzątko jest mi tak wierne, jak mało kto na świecie... Już dwa

razy zaufałem ludziom i dwa razy mnie zawiedli! Ale to było we Francji. Raz okradł mnie jeden taki fałszywy przyjaciel, a ten drugi nożem pchnął! Ale to już dawno... A jednego razu ten mój Bobuś uratował mi życie...

–Życie ci uratował? – zdziwił się Kucharczyk z Hanysem. A sąsiedzi, siedzący po drugiej stronie na ławie, aż dłonie złożyli w podziw.

–Tak! Bo kiedy raz spałem, to się od piecyka zatliła drewniana ściana mojego wozu! I kto wie, co by się stało, gdyby nie ten mój Bobuś

–Ale wiecie, ludeczkowie złoci! – wołali pasażerowie. – No, powiedzcie, jak to było! ...

–Oto Bobuś tak długo mną szarpał, aż się zbudziłem! A już była ostatnia chwila! Ściana już się paliła! Byłbym został...

–To tak twardo spaliście?... – zauważył któryś z pasażerów.

–Tak...wróciłem pijany do domu... Bo wiecie, wtedy jeszcze nie gardziłem gorzałą! Ale kiedy zbudzony ujrzałem, co się dzieje, w tym okamgnieniu wytrzeźwiałem...

–A małpka?

–Małpka teraz dopiero wyskoczyła oknem! A mogła to przecież uczynić, a mnie zostawić śpiącego. Od tego czasu już nie piję gorzały!

Nastało milczenie, bo wszyscy podziwiali w myślach mądrość i przywiązanie małpki do człowieka.

–A było już tak źle ze mną, że chciałem małpkę sprzedać. Był taki Francuz jeden, co powiada: "Mesje, sprzedaj małpkę, dam ci tysiąc franków!..."

–Jej, tyle pieniędzy! – zawołał ktoś z sąsiadów.

–...a ja na to: "Mesje, figa, nie małpka!..." A on mi na to: "Mesje, dwa tysiące franków!..."

–Jezusku na świecie! – zawołał ktoś drugi z gromady.

–...a ja wtedy nie wiedziałem, co powiedzieć. Tyle wynosił dług, za który mi Francuzy po piętach deptały! A Bobuś jakby rozumiał, o co chodzi. Wskoczył mi na piersi i pyszczek przytyka do ucha i coś piszczy. A trzyma mnie za szyję tak mocno, że by mnie udusił. I wciąż mi do ucha piszczy, a potem tak jakby płakał. Wtedy ja powiadam: "Mesje, dwie figi, nie małpka!..." I małpki nie sprzedałem! A dobrze zrobiłem. Bo to był mój jedyny przyjaciel między Francuzami. O, jeszcze był jeden

przyjaciel. Taki ulicznik w Paryżu, lecz ten umarł z powodu zapalenia płuc. A potem był jeden ksiądz francuski, lecz ten wyjechał do Chin, nawracać tamtych kitajców na wiarę chrześcijańską. A Bobuś mój został! Mój złoty Bobuś!... – i ją znowu głaskać skuloną małpkę.

Ludzie nie mogli się wszystkiemu nadziwić i wciąż by jeszcze domagali się, żeby pan Szymiczek opowiadał o swojej małpce, lecz pociąg już przyjechał do Bielska i trzeba było wysiadać.

Najbardziej dziwił się Kucharyja opowiadaniu o małpce. I poczuł do niej tyle tkliwości, że byłby ją wziął na ręce i ucałował w śmieszłą mordkę.

W Bielsku na Blichu stała karuzela pana Szymiczka. Okryta była szczelnie płótnem. Chłopcy obstąpili ją wielkim kołem i zaglądali ciekawie pod płótno. A potem krzyczeli, że są konie i ławki. I że jedne konie są białe, a drugie czarne. I że wszystkich koni jest czternaście... Potem jednak rozpryśli się jak stadko wróbli, bo z domku na kołach, co opodal stał, wyszedł kudłaty pomocnik pana Szymiczka i zaczął na nich krzyczeć. Niedaleko rozciągało się jakieś ugorzysko. Pasły się na nim cztery konie pana Szymiczka, a dwaj jego pomocnicy leżeli na brzuchach i grali w karty.

–No to nas teraz będzie siedmiu! – rzekł pan Szymiczek. – Bo i Bobusia liczę, chociaż on najmniej zje.

–Nie, proszę pana, jedenastu – zawołał Hanys.

–Dlaczego?

–No, bo jeszcze cztery konie.

–A prawda!...

Pan Szymiczek zaprowadził Kucharczyka i Hanysa do swego domku na kołach. Zdziwili się obaj, kiedy weszli do środka. Bo z zewnątrz wydawał się ów domek tak mały, że aż dziwy. A kiedy do środka wstąpili, to wszystko jakby się rozprzestrzeniło. Hanys chciał powiedzieć, że to taki jakoby wóz Drzymały, o którym prawil pan nauczyciel w szkole. Lecz nic nie powiedział, bo wszystko ogromnie go dziwiło.

Tuż koło drzwi rozsiadła się mała kuchenka. Nad kuchenką wisiały garnki i patelnia, a z boku zielenił się niewielki kredens, gdzie za białymi firankami stały rzędem poustawiane miski, talerze i garnki. Niedużo tego było, lecz wypełniały kredens po firanki.

–To moja kuchnia! – objaśnił pan Szymiczek. – Widzicie?...

Niepotrzebnie tłumaczył, boć przecież każdy widział. Nawet Bobuś, co zsunął się z

ramion pana Szymiczka, a teraz chodził krok w krok za nim i trzymał go za nogawkę, także patrzył z poważną miną na wskazywane przedmioty. Jakby wszystko rozumiał.

Potem jeszcze obejrzeni kanapę i łóżko. Łóżko zajmowało sporo miejsca w wozie. Było zasłane dużymi, pękatymi pierzynami. Z boku opierał się o ścianę stolik, nakryty wzorzystym obrusem. Na obrusie były wyhaftowane balony, szybujące w chmurach. To było bardzo piękne, bo balony były różowe, a chmury także były różowe. Poza tym na stoliku stał jeszcze gliniany wazon z kwiatami.

Pan Szymiczek podniósł wazon, spojrzął na kwiaty i jakby na chwilę zapomniał o wszystkich obecnych. Palcami gładził płatki białych i żółtawych goździków. Rychło się jednak ocknął, postawił kwiaty na stole, uśmiechnął się nieznacznie.

–To mój salon i sypialnia! – powiedział niezręcznie. Robiło to wrażenie, że stara się odwrócić uwagę obecnych od tamtych kwiatów. Hanys jednak już wiedział. Bo oto raz powiedział pan nauczyciel, że kto miłuje kwiaty, ten każdego miłuje. Że to dobry człowiek.

–A gdzie małpka śpi? – zapytał teraz pana Szymiczka.

–Bobuś? – Mój Bobuś śpi oto... – rzekł pan Szymiczek, schylił się, wyciągnął spod łóżka sporą skrzynię po kostkowym cukrze i dłonią plasnął o małą poduszkę.

Małpka pisnęła uradowana, wywróciła koziółka i już wpakowała się do swojego łóżka.

–O, jeszcze nie! – zwrócił się do niej pan Szymiczek.

Małpka zrozumiała. Wydłużyła dolną wargę, wykrzywiła zabawnie pyszczek, zamrugła i wyszła ze skrzyni, ociągając się niechętnie.

–Dopiero wieczorem! Po szychcie! Wiesz?

Małpka podrapała się po grzbiecie, kołysząc się w biodrach i rozstawiając szeroko stopy, wskoczyła na stół i usiadła jak dorosły człowiek. Potem podparła głowę prawą łapką, lewą zaś zaczęła bębnić po stole. Zapatrzyła się gdzieś w okno.

–Cóż to robi? – zdziwił się Hanys.

–Hm – martwi się! To się ode mnie nauczyła.

–Można ją pogłaskać?

–Spróbuj!

Hanys już dawno pragnął pogłaskać Bobusia. Lękał się jednak trochę. Bo oto na

lekcji geografii mówił pan nauczyciel, że bywają małpki, które są złośliwe. Nie wszystkie, ale są takie. Nawet o niektórych ludziach zwykło się mówić, że ich cechuje małpia złośliwość.

–A nie ugryzie?

–Ale idź, idź! Mój Bobuś nie gryzie! Najwyżej drapie, i tylko wtedy, gdy się broni.

Hanys wyciągnął dłoń i z lekka dotknął małpkę po głowie. Małpka zamrugowała szybko i przestała się martwić. Spojrzała bystro w oczy Hanysa. Potem ujęła jego dłoń, położyła sobie na głowie, przytrzymała łapkami i zaczęła się zabawnie kiwać.

–Co to robi? – zdziwił się znowu Hanys.

–Widzisz! Daje ci do zrozumienia, że cię lubi.

–To w taki sposób?

–W taki... Teraz już jesteście przyjaciółmi.

Ojciec Hanysa wciąż milczał. Przypatrywał się tylko małpce i synkowi. Coś ważył w głowie. Pan Szymiczek zaś powiedział, że teraz już pójdą na dwór. Poszli. A małpka szybko wskoczyła na piersi Hanysa, przytknęła swoją główkę do jego głowy i zaczęła pisać.

–Widzisz? Teraz ci powiada, że cię lubi! – objaśnił jeszcze z progu pan Szymiczek.

Hanys przygarnął małpkę do piersi i wyszedł.

Przed karuzelą zbierało się coraz więcej dzieci. Nawet kilku robotników stało i przypatrywało się ciekawie. Chłopcy wciąż zaglądali pod płótno. Chwilami spadał wiatr, a wtedy płótno wydymało się jak wielki, szary pęcherz.

–A to będą teraz wasi towarzysze! – rzekł pan Szymiczek i wskazał dłonią na kudłatego pomocnika i tamtych dwóch przy koniach na łące. Kudłaty pomocnik odpędzał dzieci biczem, smagając je po bosych stopach.

–Józef! Hej, Józef! – zawołał pan Szymiczek. – A daj im spokój!...

Kudłaty Józef spojrzał spode łba na pana Szymiczka, mruknął coś niewyraźnie i zniknął za węglem wozu. Spłoszone dzieci zaś jęły powoli wracać do karuzeli. Bały się podstępny. A nuż wyskoczy tamten kudłaty, ryży człowiek i uderzy znienacka batem!... Już to czyni od początku, jak tylko zaczęły się zbierać przed karuzelą.

–To bezrobotny! – objaśnił pan Szymiczek. – Brzydki i niemły. Trochę złośliwy. Nawet nie wiem, jak się naprawdę nazywa. Powiada, że Józef Niedoba i że był

górnikiem. Wziąłem go, bo prosił o pracę. Dobry robotnik, tylko mruk. Nie cierpi dzieci ani Bobusia.

–A tamci dwaj? – zapytał Kucharczyk.

–A ci dwaj... To są bezrobotni. Jeden, ten mniejszy, wrócił z zakładu poprawczego w Cieszynie. Za kradzieże go tam oddano. Matkę ma chorą, kradł węgle na kopalni, sprzedawał pokątnym handlarzom. Teraz wrócił, ja go wzięłem. Trzyma się. Owszem, nie mogę nic powiedzieć. A ten drugi zaś, to monter z huty Batorego. Także bezrobotny. Od roku bez pracy. Szedł po drodze, wlaź do lasku, odpiął pasek... Od spodni... Leżałem za krzakami w trawie i wszystko widziałem. Myślałem, że chce iść na wielką stronę. Postanowiłem więc wstać i odejść. Ale patrzę się, a ten robi z paska pętlę. Myślę sobie... źle! Patrzę się, a on pasek przerzuca przez gałąź... Taką białą brzoźkę wybrał sobie!... Przerzuca pasek i łeb wtyka do pętli... Aha, myślę... Temu już życie sprzykrzyło się. Podchodzę do niego, a kiedy już miał na pętli zawisnąć, mówię: "A cóż ty robisz?..." A on patrzy na mnie i nic. Więc ja znowu: "Cóż ty robisz?... Wieszasz się?..." Wtedy on mi na to, żeby mu dać spokój... Podszedłem do niego jeszcze bliżej... No i nic... Synek spłakał się i poszedł ze mną... Teraz już nie myśli o wieszaniu się.

–A dlaczego chciał się powiesić? – zapytał zdziwiony Hanys, przygarniając małą do siebie.

Pan Szymiczek uśmiechnął się gorzko.

–Hm, dlaczego... Bo był bezrobotny... Jeżeli ktoś jest bez pracy, a nie może jej nigdzie otrzymać, to może zwątpić we wszystko. Taki człowiek czuje się niepotrzebnym na świecie. Jest bezradny... Straci wiarę w siebie, w ludzi, we wszystko. Nawet w Boga... To jest najgorsze... Wtedy już wszystko skończone... Ale ty tego jeszcze nie rozumiesz! Jeżeli chcesz, to idź z Bobusiem do tamtych dzieci. Popatrz, jak się gapią! Niech się uradują. Lecz niech jej nikt nie bierze do rąk! Uważaj!...

Hanys poszedł. A kiedy już odchodził, posłyszał, że ojciec znowu wszczyna rozmowę o tym bezrobotnym człowieku, któremu się wydaje, że jest człowiekiem niepotrzebnym i skończonym.

"Aha, to teraz o sobie mówi..." – pomyślał. Nieraz bowiem słuchał narzekań ojca, że czuje się niepotrzebnym człowiekiem.

Chłopcy powitali Hanysa wielkim krzykiem. Skakali, klaskali w dłonie, cmokali na małą, lecz lękali się zbliżyć, bo oto niedaleko kręcił się kudłaty Józef.

–No, chodźcie bliżej!... Bobuś was nie ugryzie!... – zachęcał ich Hanys.

Chłopcy zbliżyli się nieco. Bardzo jednak nie, bo wciąż lękali się kudłatego Józefa.

Kiedy Hanys wprowadził chłopców w radosne osłupienie widokiem zmyślnej małpki, pan Szymiczek poszedł z jego ojcem na łąkę do koni.

Hanys widział, że ojciec stąpa niezdarnie, że powłóczy za sobą drewnianą nogą. I wtedy znowu przypomniał sobie powiedzenie jego i pana Szymiczka o niepotrzebnym człowieku. I tak mu w tej chwili było, jakby mu ktoś nasypał drobnego szkła w serce. Równocześnie wyczuł ogromną wdzięczność dla pana Szymiczka. Gdyby nie on, toby ojciec nie wiedział, co począć... Może by to samo chciał uczynić, co tamten monter z huty Batorego... Jezusku na świecie!...

–Ty, komediant!... – posłyszał wołanie chłopców. – Pokaż nam jaką sztukę z tą twoją małpką!...

Hanys już zapomniał o wszystkim. Chciał jeszcze myśleć o Jadwiźce i zastanowił się na chwilę, jak jej się tam powodzi pod Baranią w Beskidach, ale tamci chłopcy już teraz wciąż wołali:

–Hej, komediant!... Mogę twoją małpkę pogłaskać?...

–A kiedy ściągniecie płótno z karuzeli?

–Bo my chcemy się przewieźć na waszej karuzeli!...

–A ja na koniu!... – jął się wydzierać jakiś mały, umorusany chłopiec.

–A ja też!... Ja też!...

–A ile kosztuje takie raz przejechać się na koniu?

Hanys nie wiedział, "ile kosztuje takie raz przejechać się na koniu". Nie chciał się jednak zdradzić, że nie wie. Bo co by tamci powiedzieli? Wyśmieliby się z niego i tyle byłoby.

–A macie pieniądze? – zaczął wymijająco.

–To się wie, że mamy!... – wrzaśli chłopcy.

–Myślisz, że nie mamy?

–No, to się zaraz dowiecie!...

Zapomnieli jednak o karuzeli, bo Hanys wszedł w ich gromadę. Powstał ogromny wrzask. Każdy dopychał się do małpki, starał się ją pogłaskać, wciskano jej bułki do garści, a jakaś czarnooka dziewczyna wetknęła jej do łapki kęs czekolady. Zaśmiewali

się teraz do łez, bo małpka trzymała czekoladę, gryzła i spluwała na chłopców. Ktoś ją nawet za ogon pociągnął. Wtedy małpka rzuciła czekoladę w psotnika.

Powstał teraz taki ogromny wrzask, że przestraszona małpka skryła się pod Hanysową kurtką. Przyszedł pan Szymiczek, a spostrzegłszy, że jej znowu wtykają pod kurtkę kawałki chleba i czekoladę, zawołał:

–Halo!... Hanys!... Nie dawać małpce jeść!... Nie pozwalaj, żeby ją karmili!...

–Czemu? Czemu? – pytali chłopcy.

–Boby ją brzuch bolał! – odparł Hanys z powagą, chociaż sam dobrze nie wiedział, dlaczego pan Szymiczek zakazuje karmić małpkę. – Myślicie, że małpka to tak jak wy?... Ona jada tylko same dobre rzeczy!... Pierniki, cukierki... Prawda, Bobuś?...

Bobuś wyskoczył spod kurtki na ramię Hanysa i zaczął mu gmerać w czuprynie. Dzieci jęły znowu krzyczeć z radości, klaskać w dłonie, cmokać na małpkę. Potem jednak pan Szymiczek odwołał Hanysa i kazał mu wejść do karuzeli. Przyszli tamci trzej pomocnicy, zdjęli płótno i teraz dopiero karuzela przedstawiła się dzieciom w całej okazałości. Czarne i białe konie z podniesionymi kopytami, z rozdziawionymi pyskami, zdawały się pędzić na złamanie karku. Kolaski miękko wyściełane zapraszały do spróbowania, jak to się wygodnie pojedzie. Czerwone kotary, zwisające nad pomostem złotymi frędzlami, czarowały oczy. W środku, naokoło słupa, były rozwieszane jakieś obrazy, malowane na płótnie, wszędzie zaś błyszcząły blaszki i szkiełka, migotały w słońcu, a najbardziej pyszniła się katarynka z czerwonymi firaneczkami, z jakimś obrazkiem, złocona i srebrzona szcudrze. Wszystko to budziło tak wielki zachwyt, że nikt nie mógł się napatrzeć do syta.

Tamci trzej pomocnicy wydrapali się po chwiejnej drabince na górny pomost. Pan Szymiczek, który był poszedł do swojego wozu, wrócił teraz przebrany za Turka. Wszyscy zebrani krzyknęli z podziwu. Pan Szymiczek zaś w czerwonym fezie, w czerwonych, bufiastych spodniach i w czerwonej kamizeli, bogato złoconej, stanął na pomoście i zaczął wołać:

–Zaczynamy, szanowni państwo!... Zaczynamy!... Pięć groszy od dzieci, dziesięć groszy od dorosłych!... Wsiadać, panowie, wsiadać, moje damy!... Wsiadać!... Jedziemy do Ameryki po dwa kilo papryki... Do Warszawy po funt kawy!... Do Afryki, ryki... ryki... Wsiadać, panowie, wsiadać!... Już to idzie, już to gra!...

Nie trzeba było zachęcać, boć wszyscy tak bardzo cisnęli się do karuzeli, że brakowało miejsca na koniach i w kolaskach, i raz po raz wybuchały głośnie sprzeczki. Pan Szymiczek rychło jednak pospędzał wszystkich, którzy już się nie mogli zmieścić na karuzeli, potem odebrał od każdego pieniądze, zadzwonił w spory dzwon i skinął na Kucharczyka. Wtedy Kucharczyk odsapnął i rozpoczął kręcić korbą

u katarynki. Katarynka zaczęła grać ogromnie pięknie, karuzela zaś jęła się toczyć...

Zdumiony Hanys siedział obok katarynki i patrzył na ojca kręcącego korbą, patrzył na tamtych trzech pomocników, drepczących po górnym pomoście, a popychających poprzeczne drągi nakoło grubego słupa. A co spojrział na migające koło niego konie, na kolaski, wypełnione piszczącymi dziewczynami, na rozradowane twarze, na błyski szkiełek i dzwoniących blaszek, przypuszczał, że to wszystko sen jakiś dziwny...

Małpka zaś siedziała na Hanysowym ramieniu i stroiła grymasy do widzów.

O tym, jak karuzela wędrowała po

świecie

Rudy, kudłaty Józef, monter z huty Batorego, i ten trzeci, co powrócił z zakładu poprawczego w Cieszynie, sypiali na karuzeli. Wieczorem, kiedy już publiczność jęła się rozchodzić do domów, pan Szymiczek dawał znak, a wtedy gaszono lampy acetylenowe, zawieszane na drągach naokoło karuzeli. Potem trzech pomocnicy naciągali na karuzelę ogromne szare płótno i karuzela szła spać. Następnie pod płótno wchodzili pomocnicy, wyciągali sienniki i rozciągali się na pomoście. Sienniki były wypchane słomą. Kudłaty Józef miał dwie poduszki, monter z huty Batorego także dwie i prześcieradło, a ten trzeci pomocnik nie miał poduszki. Zwijął tylko kurtkę pod głowę, nakrywał się kocem i zasypiał.

Pan Szymiczek sypiał w łóżku w tamtej swojej budzie na kołach. Na kanapie kładł się Kucharczyk, a Hanys z małpką wybrał sobie miejsce koło kanapy. Rozścielał na podłodze jakieś grube maty, nakrywał prześcieradłem, zwijał poduszkę, kładł się i zasypiał. Małpka zaś chrapała skulona w skrzyni obok Hanysa. Czasem wychodziła ze skrzyni i pchała się do Hanysa. Hanys pozwalał jej sypiać obok siebie. Wówczas małpka obejmowała go za szyję i dmuchała mu przez spłaszczony nosek do ucha.

Hanys obejmował ją ramieniem. I wtedy zawsze wyczuwał, jak w drobnym ciałku małpki dygoce małe serce.

Małpka tak bardzo przywiązała się teraz do Hanysa, że kaprysiła, jeżeli ją zostawiano zamkniętą w wozie. Tupała nogami, wycierała oczy, tłukła się pięściami po głowie, piszczała żałościwie, że w końcu pan Szymiczek pozwalał, by poszła z Hanysiem do miasta czy na przechadzkę. Było to trochę niebezpieczne, bo gdy tylko Hanys pojawił się na ulicy, zaraz zbiegali się ludzie wielką gromadą, a pan policjant, stojący na skrzyżowaniu ulic, gniewał się bardzo.

–Zbiegowisko czyni ten chłopiec! – tłumaczył panu Szymiczkowi. – Ruch tamuje na ulicy!

Pan Szymiczek postanowił przeto, że Hanys nie będzie już nigdy chodził z małpką do miasta.

–Jeszcze ją ktoś skrzywdzić może – mawiał zaniepokojony.

Hanys zżył się rychło z nowym otoczeniem. Zaprzyjaźnił się z monterem z huty Batorego i z tamtym trzecim pomocnikiem, co wrócił był z zakładu poprawczego. Monter nazywał się Ryszard Molin, a ten trzeci pomocnik – Karol Niebrój. Ryszard miał czarne oczy i śliczną czarną czuprynę. Karol zaś był piegowaty, a jasne włosy

układały mu się w drobne pukle. Karol był bardzo dumny ze swojej fryzury. Często wyciągał z kieszeni stłuczone zwierciadełko, pluł na nie, wycierał o spodnie, a potem przeglądał się długo i gładził palcami włosy. Martwił się tylko, że ma piegi na nosie i koło nosa.

–Ja wiem... Gdybym je posmarował sokiem z ogórka, toby znikły! – mawiał zawsze.

Rudy Józef patrzył na niego spode łba, prychał nieznacznie i mruczał:

–Posmaruj je sokiem z fajki, to ci znikną!...

Wtedy piegowaty Karol gniewał się bardzo. Bo kiedy mu tak po raz pierwszy poradził rudy i kudłaty Józef, poprosił jakiegoś robotnika palącego fajkę przy karuzeli, by mu wylał sok z fajki do flaszeczki. Robotnik odkręcił rurkę i wylał. Nie było tego dużo. Sok był ciemny i gęsty, a cuchnął, że aż w nosie wierciło. Potem Karol posmarował na noc tamte piegi sokiem z fajki. Wtedy koledzy wypędzili go spod karuzeli, bo nie mogli oddychać, gdyż tak bardzo cuchnął. Piegi zaś nie zeszły z nosa, lecz przeciwnie, nos przez kilka dni był zaczerwieniony.

Rudy Józef był złośliwy. Radował się bardzo, jeżeli mógł komuś dokuczyć. Najbardziej zaś radował się, gdy mógł wyrządzić krzywdę małpce. Ulżyło mu, gdy ją za ogon pociągnął lub gdy ją mógł kopnąć. Czynił to jednak tylko wtedy, gdy nikogo nie było w pobliżu. Bo kiedy raz ją kopnął, dostrzegł to pan Szymiczek. Wtedy powstało okropne piekło. Pan Szymiczek kłął po francusku i krzyczał, że na zбитy łeb wywali rudego Józefa, jeżeli jeszcze raz skrzywdzi małpkę.

Rudy Józef skurczył się i łypał wystraszonymi oczami. Potem pogroził małpce, ona zaś cisnęła w niego bryłą.

–Strzeż się, synku, tego rudego Józefa! – ostrzegł go zaraz z początku Ryszard.

–Czemu?...

–Bo to człowiek... no, taki trochę dzikus!

–...i złodziej! – mruknął piegowaty Karol.

–Czy ci co ukradł?...

–Nie... ale złapałem go, jak mi myszkował w kieszeni marynarki, kiedy spałem. Miałem marynarkę pod głową, a on szukał mi w niej po kieszeniach! Ale zbudziłem się i miał za swoje...

–Zbiłeś go?

–Yhy!

–Przecież jest od ciebie większy.

–Ale z niego tchórz! Boi się własnego cienia!

–To się gniewacie jeden na drugiego?

–Teraz już nie... Ale unikam go, gdzie się tylko da.

Hanys pomacał się po kieszonce kamizelki. Pod palcami wyczuł ogromny kształt zegarka.

–Co tam masz? – zapytał Karol.

–Zegarek od ujca...

–Pokaż!

Hanys pokazał, a Karol oglądał go z miną znawcy. Chwalił, cmokał, ważył na dłoni, a potem powiedział, że to zegarek dobry, że to bardzo dobry zegarek. I srebrny. Wart kilkanaście porządnych złotych.

–A uważaj, żeby ci go nie ukradł rudy Józef!... – ostrzegł go jeszcze.

Mijały dni i mijały.

Hanys zarabiał sporo z Bobusiem. Małpka ubierała się w spodeńki i w obszerny frak z czerwonym kwiatem w dziurce od guzika. Na głowę wkładała małą czapeczkę, podobną do czapki pana Szymiczka. Potem jeszcze wciskała na głowę okulary bez szkieł, brała książkę i udawała, że czyta. Ruszała wargami, kiwała głową, drapała się po niej i przewracała kartki w książce. Zebrane dzieci zaś czyniły radosny zgiełk na ów widok, krzyczały bardzo i zaśmiewały się. A małpka jeszcze bardziej udawała uczonego człowieka.

Potem brała parasol i cylinder i ruszała między dzieci. Stąpała szeroko, kołysała się w biodrach, kłaniała nisko każdemu i wyciągała cylinder. Do cylindra sypały się miedziaki. Kiedy wszystkich obeszała, a miedziaki wsypała Hanysowi do kieszeni, rozwijała parasol, kładła cylinder na głowę, do pyszczka wsuwała kawałek kołka, co miało udawać papieros, i jęła się przechadzać.

A kiedy dzieci napatrzyły się do syta i naśmiały do woli, wtedy Hanys pomagał przebrać się małpce za żołnierza. Potem małpka wyprawiała nowe komedie. Ubrana w czerwone spodeńki i w niebieską kurtkę, w czapce żołnierskiej na głowie i z maluchnym karabinem, rozpoczynała musztrę.

–Na ramię broń!... Do nogi broń!... Spocznij!... Baczość!... – wołał Hanys, a małopka czyniła wszystko z ogromnie śmieszną przesadą i powagą. I wtedy znowu wybuchały ogromne krzyki i śmiechy. A nowe miedziaki sypały się do podstawionej czapki.

–Jeszcze!... Jeszcze!... – wołały dzieci, nie mogąc się temu wszystkiemu napatrzeć.

Lecz małopka już co innego zamierzała uczynić. Oto zniknęła z Hanysem w wozie, a za chwilę wracała do dzieci. Na plecach niosła małą katarynkę, przebrana już za wędrownego kataryniarza z dużymi, kolorowymi łatami na grzbiecie i na spodniach. Katarynkę stawiała na krzyżulcach, ujmowała maluchną korbę i zaczynała grać. Katarynka raczej kwiczała, aniżeli grała, lecz i to było tak bardzo piękne i zabawne, że dzieci znowu zaśmiewały się do łez, dziewczyny piszczały z radości, a chłopcy prali dłońmi o uda i skakali.

Trwało to zwykle najwyżej godzinę. Potem zmęczona małopka wracała do wozu, a pan Szymiczek odbierał od Hanysa pieniądze, wysypywał do małej żelaznej skrzynki, ukrytej pod poduszką w łóżku, a następnie wychodził przebrany za Turka, i rozpoczynała się karuzela.

Trzej pomocnicy zwijali płótno z karuzeli, Kucharczyk stawał za katarynką, a pan Szymiczek miał przemowę do zebranych dzieci i dorosłych o Ameryce, gdzie rośnie papryka, i o Warszawie, dokąd pojedzie się za pięć groszy po funt kawy. Potem zaczynała się zabawa.

Karuzela kręciła się zawzięcie, po górnym pomoście dreptali pomocnicy i popychali poprzeczne drągi, pan Szymiczek wołał wciąż na ludzi, dzwonił, a chłopcy puszyli się na koniach, cmokali na nie, tłukli bosymi piętami, dziewczyny zaś piszczały w kolaskach. A Kucharczyk grał.

Hanys siedział z małopką koło katarynki i słuchał.

Muzyka ta była bardzo piękna. Były jakieś trąby, były bębrenki i "czinele", jak mawiał pan Szymiczek. Piszczalki piszczały cienko i żałośnie, trąby buczały mosiężnymi głosami, czinele dzwoniły rytmicznie, a bębrenki dudniły. Katarynkowa melodia tańczyła posuwicie, złościła się w słońcu, srebrzyła w świetle acetylenowych lamp, czasem rzewnie zakwiliła, czasem zaryczała stłumionymi basami, chwilami zaś wystukiwała melodyjny rytm, że aż stopy podrywało do marszu. A karuzela kręciła się jak wrzeciono. Kiedy melodia się kończyła, pan Szymiczek jął dzwonić, tamci trzej pomocnicy zapierali się stopami w deski pomostu, przechylali mocno do tyłu, wstrzymując bieg karuzeli, i karuzela stawała.

Tylko na to czekali zebrani ludzie. W mig wsiadali na konie, wpychali się do kolasek, grzebali palcami w kieszeniach, wybierali miedziaki, sypali do dłoni pana Szymiczka i

radowali się, że już, ale to już zaczną wirować tak szybko, że aż dech będzie im zapierało w piersiach.

W ciągu czterech tygodni przewędrowali z karuzelą szmat Śląska. Pan Szymiczek wyjeżdżał naprzód, wyszukiwał jakieś miasteczko czy większą wieś, potem wracał, a nazajutrz wszyscy zabierali się do pracy. Rozbierano karuzelę, zwijano płótna, układano na wozie i ruszano w świat.

Pozostawał po nich wielki wydeptany krąg na ziemi, jedyny ślad karuzeli.

Pod koniec czwartego tygodnia pan Szymiczek postanowił pojechać do Cieszyna. Ponieważ zapowiadał się tam huczny odpust na święto Matki Boskiej Porcjunkuli, przeto spodziewał się sutego zarobku.

–Ludzie zjadą się ze wszystkich stron! – mówił. – Chodzi tylko o to, żeby nas kto nie ubiegł!

Pojechał i wrócił.

–Dobrze idzie! – powiedział. – Będziemy sami z naszą karuzelą! Dzisiaj jest czwarte, wyjedziemy jutro, w piątek, a w sobotę zaczyna się odpust! No, chwytajmy się roboty.

Nazajutrz wyruszyli w drogę. Mijali wzgórza, mijali doliny, przechodzący ludzie patrzyli za nimi życzliwie, a Hanys kroczył koło wozu z małpką na ramieniu i nie mógł się nadziwić pięknej okolicy.

W Cieszynie stanęli niedaleko klasztoru Braci Miłosierdzia. Dzieci cieszyńskie w mig dowiedziały się o przybyciu karuzeli z małpką, toteż od wczesnego rana gromadziły się koło wozu i przypatrywały się pilnie, skoro karuzela stanie w całej swej okazałości. A kiedy w końcu stanęła, nie mogły się doczekać rozpoczęcia zabawy.

Hanys zaś nie mógł się opędnąć natarczywym prośbom, by im pokazać małpkę.

–Ale pokażę! Pokażę! – tłumaczył. – Tylko poczekajcie, aż postawimy karuzelę!...

–Przecież karuzela już postawiona! – wołały dzieci.

–Ale jeszcze trzeba ją ozdobić!

–To niech ci drudzy ozdabiają, a ty pokaż małpkę!

–No, to idź, a pokaż im tę małpkę! – powiedział w końcu pan Szymiczek, kręcąc się spocony koło karuzeli.

I powtórzyło się to samo, co w Bielsku, Dziedzicach, Skoczowie, Strumieniu i

wszędzie, gdzie tylko się pojawili. Dzieci czyniły taki radosny zgiełk, tak bardzo krzyczały, że się aż ludzie zbiegali, ciekawi, co to się dzieje. A kiedy się dowiedzieli, że to małpka pokazuje sztuczki, przystawali za dziećmi i także się śmiali do rozpuku.

Hanys podczas tej zabawy zauważył w tłumie dzieci dziewczynkę, która była smutna. Nie śmiała się wcale, tylko oczy jej błyszczały przygaszoną radością. Oczy miała szare, a ubrana była biednie. Stała na uboczu, bo reszta dzieci odpychała ją przeciskając się do małpki.

–Ty, czemu się nie śmiejesz? – zapytał ją w końcu zdziwiony Hanys. Nie mógł bowiem pojąć, jak można patrzeć na jego małpkę, a nie śmiać się.

Dziewczyna cofnęła się jakby wylękniona.

–To jest Zosia!... To jest Zosia!... – jęły wołać dzieci.

–Ty jesteś Zosia? – zapytał ją Hanys.

–Tak...

–Ile masz lat?

–Dwanaście...

–Dwanaście? – zdziwił się Hanys. – A tak wyglądasz, jakbyś miała osiem lat!

–Bo ona jest chora! Ona umrze! – jęli znowu wołać chłopcy.

–Umrzesz? – zapytał ją Hanys.

–Tak...

–A dlaczego?

–No... bo jestem chora...

–Eh, nie bądź głupia! Nie umieraj! – starał się ją pocieszyć, bo mu było żal dziewczyny.

–Muszę...

–Eh, idź, idź! Nie pleć!

Tymczasem małpka podeszła do chorej dziewczyny i jęła się jej ciekawie przypatrywać. Dziewczyna pogłaskała ją po głowie. Wtedy małpka wskoczyła na ramię Hanysa i teraz ona pogłaskała dziewczynę po twarzy. I rzecz dziwna!...

Dziewczyna się rozplakała.

–Czemu płaczesz? – zdziwił się znowu Hanys, bo nie mógł zrozumieć, jak można płakać z takiej przyczyny. Stoi smutna i płacze cichutko. Tyle tylko, że łzy kapią jej na sukienkę.

–Ona płacze, bo jest sierotą! – rzekła do Hanysa jakaś starsza dziewczyna.

–Dlatego płaczesz, żeś sierota? – zapytał Hanys.

–Tak... – szepnęła Zosia.

–Wiesz... – odezwała się znów tamta starsza dziewczyna. – Bo jej nikt nie pogłaszcze w domu, a teraz ją małpka pogłaskała...

Chłopcy wybuchnęli śmiechem, lecz Hanys już wszystko rozumiał. Nasrożył się przeto i krzyknął:

–Cicho, cielęta!... Co się śmiejecie z sieroty?

"A, prawda!... Bo to sierota!" – pomyślał każdy i przestał się śmiać. Lecz tamto przezwanie ich cielętami ubodło ich do żywego.

–Ty, jak chcesz, to ci dam w gębę!... – zaperzył się jakiś chłopiec o zuchwałych oczach. – Powiedz, czy chcesz?... Bo jak nie powiesz, to cię strzelę, ile wlezie!... Ty, komediancie!... Cielętami nas tu będzie nazywał!... Popatrzmy się!...

Przysunął się do Hanysa zaperzony jak kogut, I byłby może uderzył go pięścią, lecz małpka pogniewała się teraz. Zanim się tamten chłopiec spostrzegł, wyciągnęła łapkę i ujęła go mocno za czuprynę i zaczęła go tak mocno szarpać, że zaskoczony napastnik przeraził się niespodziewanego ataku. Jął się wydzierać, krzyczeć, szamotać z małpką, a małpka skoczyła mu teraz na piersi, pluła na twarz i darła obiema łapkami za włosy.

–Bobuś!... Bobuś!... – krzyknął na nią Hanys.

Małpka opamiętała się w swym gniewie. Przeskoczyła na ramię Hanysa i przytuliła się do niego, piszcząc z zadowolenia. Wszystkie dzieci teraz dopiero pojęły, co to się stało. I uczyniły taki harmider, że aż pan Szymiczek z Kucharczykiem przybiegli. Tamten poturbowany chłopiec zaś porwał duży kamień i zamierzył się na Hanysa i jego małpkę. Lecz w tej samej chwili Zosia krzyknęła okropnie i skoczyła do chłopca. Ujęła go za ramię, by przeszkodzić uderzeniu. Wytrącony kamień poleciał w górę i spadł ostrym kantem na ramię dziewczyny. Dziewczyna już teraz nie krzyknęła, lecz zachwiała się i upadła na bruk. Równocześnie zaś pan Szymiczek roztrącił krąg chłopców, by ratować małpkę i Hanysa. Napastnik dał nura między kolegów i pognał

na przelaj do miasta, za nim zaś popędzili z wielkim wrzaskiem inni chłopcy pragnący go wybić za to, że chciał małpkę uderzyć kamieniem i że trafił kamieniem Zosię.

Przestraszona małpka skoczyła teraz panu Szymiczкови na ramię i jęła mu pisać do ucha w wielkim wzburzeniu. Hanys zaś z ojcem podnieśli Zosię z bruku.

–Boli cię? – jął dopytywać się Hanys.

–Nie... A co się stało z małpką? Nie uderzył jej?...

–Nie... No, powiedz! Boli cię? – i pogłaskał ją po twarzy.

Nie otrzymał jednak odpowiedzi, bo poprzez resztę dzieci przecisnęła się jakaś młoda pani, podeszła do Zosi i jęła do niej przemawiać dobrotliwie.

–Nasza panna doktor Stasia! Panna doktor Stasia! – zaczęły krzyczeć dziewczyny. Panna doktor Stasia odgarnęła czarne włosy z czoła, spojrzała po dzieciach. Wtedy Hanys dojrzał, że ma ciemne oczy, dołek w lewym policzku i że się uśmiecha do wszystkich dziewczyn. Dziewczyny zaś czepiały się jej rąk, skakały koło niej i wciąż krzyczały uradowane:

–Nasza panna doktor Stasia!... Nasza roztomiła pani!...

–Ależ dajcież mi spokój, baki utrapione! – broniła się panna Stasia. Potem przygarnęła do siebie Zosię i poprowadziła ją gdzieś do miasta.

O tym, jak małpka płakała

Przez trzy dni było urwanie głowy. Zdawało się, że karuzela nie wytrzyma, że się rozleci. Tyle bowiem ludzi cisnęło się do niej od rana do wieczora. Po skończonej pracy pomocnicy pana Szymiczka zjadali prędko wieczerzę, kładli się umęczeni na swoje sienniki i zasypiali w okamgnieniu. A Kucharczyk długo rozcierał prawą rękę w przegubie i skarżył się, że go boli bardziej, niżeli mu się to trafiało w kopalni podczas najcięższej pracy.

–Człowiek ukręcił się na tej katarynie, że go wszystkie kości boją! – mrucał.

–No, nie martw się, stary! – pocieszał go pan Szymiczek. – Ale też zarobiliśmy porządny grosz!

Na czwarty dzień skończył się odpust, wszyscy teraz mogli sobie odpocząć. Ludzie jęli się dopiero schodzić pod wieczór.

Minął piąty i szósty dzień.

Dzieci wciąż gromadziły się przed karuzelą, wciąż prosiły Hanysa, by im pokazał jeszcze jakie sztuki z małpką. Hanys wynosił ją przeto na ramieniu i pokazywał wszystko, co małpka umiała. Wieczorem zaś siadał na swoim miejscu obok katarynki, a kiedy ojciec był już zmęczony, zastępował go na chwilę w graniu.

Na siódmy dzień przyszła tamta pani, którą dzieci nazywały panią doktor Stasią. Naokoło karuzeli stały tłumy ludzi, mrok już zapadał, a lampy acetylenowe jarzyły się białym światłem. Karuzela kręciła się jak zwykle, a katarynka jak zwykle buczała, piszczała i trąbiła zawzięcie.

Pan Szymiczek był już trochę zachrypły od ciągłego wołania. Raz w raz zdejmował swój czerwony fez turecki z głowy i ocierał spocone czoło. Potem znowu go wkładał i wołał:

–Już to idzie, już to gra!... Pięć groszy od dzieci, dziesięć groszy od dorosłych!... Proszę, panowie i damy, proszę siadać!... Proszę siadać! Do Ameryki po papryki!... Do Warszawy po funt kawy!... Do Afryki... ryki!... ryki!... Już to idzie, już to gra!...

Ludzie się śmiali, bo pan Szymiczek tak śmiesznie wymawiał tamto "ryki... ryki... do Afryki!...", że aż brzuch bolał od śmiechu. Pan Szymiczek bowiem wydobywał z siebie gruby głos, nadymał się i oczami przewracał jak prawdziwy Turek.

W pewnej chwili, kiedy Kucharczyk skończył swoją katarynkową arię, a karuzela stanęła, ludzie zaś jęli się cisnąć do koni i kolasek, Hanys dojrzał tamtą młodą panią, przezwaną panną doktor Stasią. Była w ciemnej sukience, z białym wyłożonym

kołnierzem, bez beretu. Podobna była do młodej dziewczyny, która pragnie się również przejechać w kolasce na karuzeli. Jej czarna czuprynka, spadająca na wysokie czoło, lśniła w białym świetle acetylenowych lamp.

Zdziwił się jednak, kiedy zauważył, że tamta pani nie wstępuje na karuzelę, lecz rozmawia coś z panem Szymiczkiem. Pan Szymiczek zaś zdjął swoją czapkę turecką z głowy, nachylił się i słuchał uważnie. A tamta pani wciąż mu coś przedkładała żywo i jakby o coś prosiła. A uśmiechała się tak jakoś dziwnie, że człowiek musiałby mieć serce z kamienia, by nie zgodzić się na jej prośbę. Dlatego też Hanys nie dziwił się bardzo, gdy pan Szymiczek zaczął teraz kiwać głową na znak, że się zgadza. A tamta pani aż dłonie złożyła z wielkiego uradowania.

–Halo!... Hanys!... Chodź tutaj! – zawołał na niego pan Szymiczek.

Hanys tylko na to czekał. Skoczył jak młody jeleni, przebiegł pomost karuzeli, stanął przed tamtą panią. Wiedział już, że to naprawdę panna do Stasia. Powiedziały mu to dziewczyny, gromadzące się codziennie przed karuzelą.

–Wy, dziewczyny, powiedzcie mi, kto to jest ta pani, co ją nazywałyście panną doktor Stasią?... – pytał się dziewczyn.

–Hm, głupi! To nie wiesz? – zdziwiły się dziewczyny.

–Gdybym wiedział, tobym nie pytał.

–No, to jest panna doktor Stasia! Nasza szkolna lekarka!... My ją okropnie lubimy!

–Lekarka? A czemu ją lubicie?

–Bo chociaż ona ma tysiąc dwieście dzieci na głowie, to je wszystkie lubi!

–Że ma tysiąc dwieście dzieci na głowie?

–No, bo tyle dzieci chodzi do naszych szkół w Cieszynie. No, nie wiesz?... A ona wszystkie dogląda, czy są zdrowe, a jeżeli które nie jest zdrowe, to je leczy...

–Ale to nic! – wyrwała się druga dziewczyna. – My ją dlatego lubimy ogromnie, że jest ogromnie dobra! Wiesz?...

–Wiem! A jak się nazywa?

–Ale przecież już ci mówiłyśmy, że panna doktor Stasia! Nie?

–Ale jeszcze jak?

–No, nijak już! To wystarczy, nie?...

–A co zrobiła z tamtą Zosią? Wiecie, co wtedy ochroniła moją małą przed tym złym chłopcem, a...

–A wiemy, wiemy! – przerwały mu dziewczyny. – No, to nie wiesz?

–Znowu, czy nie wiem!... – oburzył się Hanys. – Przecież wam mówiłem, że gdybym wiedział, tobym się nie pytał!

–Bo to u nas wszystkie dziewczyny i chłopcy też wszyscy wiedzą...

–Co takiego?

–No, że tamta Zosia jest chora, że nie chodzi do szkoły, tylko czasem, że nie ma matki, bo jej umarła...

–...a że jej ojciec jest bezrobotny! – rozpoczęła trzecia dziewczynka.

–...i mieszka w takiej izbie ciemnej, gdzie woda cieknie po ścianach! – wtrąciła czwarta.

–...a u nich jest głód, bo ojciec nic nie zarobi! – wołała inna.

Teraz już wszystkie jedna przez drugą opowiadały o Zosi i o pannie doktor Stasi. I każda dodawała, że Zosia umrze niezadługo, a panna doktor Stasia odwiedza ją i przynosi jej jeść i wszystko. I lalkę także jej przyniosła, a że lalka miała jedno oko wydłubane, więc panna doktor Stasia poszła do takiego składu, gdzie można kupić oczy, i kazała lalce wprawić jedno oko. Tylko że teraz lalka ma jedno oko niebieskie, a drugie bure, bo innego nie było w składzie. Ale to nic!... I byłyby nadal opowiadały, lecz Hanysowi sprzykrzyło się słuchać, gdyż wciąż zaczynały od początku.

–Ale dobrze, już dobrze! – przerwał im i poszedł do swojej małej.

Kiedy teraz stanął przed panną doktor Stasią, wydawało mu się, że i on należy do tych tysiąca dwustu dzieci, które ona ma na głowie.

"To ja będę teraz tysiąc dwieście pierwszym dzieckiem!..." – pomyślał i uśmiechnął się do niej.

–Wiesz, o co prosiłam pana Szymiczka? – zaczęła.

Hanys potrząsnął głową, że nie wie.

–Czy sobie przypominasz tamtą Zosię, która obroniła twoją małą?

–A pewnie, że przypominam. Ona umrze!

–Ona już umiera!... – rzekła panna doktor Stasia i jej jasny, jakby do dźwięku starego złota podobny głos w tej samej chwili pociemniał, posmutniał. Jej ciemne oczy zaś powlokły się na drobną chwilę szarzystą.

–Umiera?... – zdziwił się Hanys, a tak mu było, jakby coś ścisnęło jego serce.

–Tak!... I dlatego przyszłam do pana Szymiczka i do ciebie. Teraz już bywa nieprzytomna, bo ma podrażnienie opon mózgowych! – rzekła raczej do pana Szymiczka aniżeli do Hanysa.

Pan Szymiczek zaś przeprosił ją i powiedział jeszcze:

–Proszę pani, ja się na wszystko zgadzam! Hanys pójdzie! Lecz przepraszam, bo już karuzela musi się toczyć! Ludzie czekają!

Istotnie wszystkie konie i kolaski były obsadzone dziećmi i młodzieżą.

–Ach, w takim razie przepraszam, panie Szymiczek!... – rzekła panna doktor Stasia z ujmującym uśmiechem. – Przepraszam, że zatrzymywałam! Chodźmy, Hanysku, powiem ci do reszty o wszystkim, o co mi chodzi! A małpka?...

–Tam jest, przy moim ojcu na katarynce!

–Przynieś ją!...

Hanys pobiegł po Bobusia, wziął go na ramie i wrócił do panny Stasi. Karuzela ruszyła i zaczęła się już toczyć, katarynka ryczała i grzmiała, dzieci piszczały i klaskały w dłonie, a panna doktor Stasia poszła z Hanyssem i małpką na drogę.

–Więc teraz ci powiem, o co mi chodzi – zaczęła. – Jak już wspomniałam, tamta biedna Zosia umiera! Trzeba się nam śpieszyć!... Miewa chwile przytomności. I wtedy mnie prosi i prosi, że chciałaby jeszcze raz tę twoją małpkę zobaczyć. Chciałaby ją pogłaskać! Chciałaby ją pogłaskać i jeszcze raz zobaczyć... Wiesz, przed śmiercią!... Bo ona wie, że umrze! No, poszedłbyś ze swoją małpką do tamtej umierającej Zosi?...

–Pójdę, proszę pani!

–No, to dobrze! Śpieszmy się. To niedaleko!

Poszli. Minęli oświetlony rynek, gdzie po jednej jego stronie przechadzali się mieszczanie i dziewczyny z chłopcami. Potem weszli w boczną uliczkę, schodzącą stromo w dolinę. Domy były tu stare. Następnie zapuścili się w uliczkę już ciasną, gdzie świeciła tylko jedna latarnia na rogu. Bruk był tutaj wyboisty. W pewnej chwili panna doktor Stasia pisnęła z lekka i odskoczyła w bok.

–Szczur przebiegł! – rzekła jakby na uniewinnienie.

Hanys przygarnął małą do siebie i rozejrzał się. Nie dojrzał szczura, tylko wyboisty bruk i szare, odrapane ściany jakichś składów bez okien. Poszedł za panną Stasią na koniec ulicy, weszli w jakąś furtkę, wiszącą na jednej zawiasie, stanęli w niewielkim ogrodzie. Ogród kończył się ścianą, spadającą głęboko, a na jej dnie przelewała się woda ze szklanym szumem.

–Uważaj! – ostrzegła panna doktor Stasia, prowadząc go za rękę pod głębią, odgradzoną zmurszałym płotem. Hanys szedł jak urzeczony. Pierwszy raz znajdował się w takim dziwnym miejscu. Nie wiedział, czy się lękać, czy też przystanąć i patrzeć na to wszystkie, pełne tajemniczości.

Panna Stasia prowadziła go po jakichś szczerbatych płytach kamiennych pod cienką ścianę. Z boku jarzyło się małe okienko. Panna Stasia doszła do drzwi, zważyła klamkę, popchnęła. Z otwartych drzwi buchnął zapach pleśni, zgniłej kapusty i wilgoci.

–Uważaj teraz! – rzekła cicho. – Ja cię poprowadzę!...

Hanys ujął jej dłoń. Dłoń była mała i miękka. Prowadziła go śmiało przez gęsty mrok sionki. Hanys raz tylko potknął się o jakiś wystający przedmiot. Przestraszona mała pisnęła i jeszcze mocniej przygarnęła się do jego piersi, a łapki zacisnęła na jego barku.

Potem odchyliły się drzwi do pokoju.

Hanys stanął zdumiony na progu. Izba była mała i niska o sklepionej powale. Na ścianach czerniły się ogromne plamy wilgoci i pleśni. Powietrze było zatęchłe i ciężkie. Na stole paliła się niewielka lampa naftowa. W kącie stało łóżko, a na łóżku leżała blada Zosia. Oczy miała przymknięte. W drugim kącie siedziała ciemna postać. Podniosła się, kiedy panna Stasia z Hanysem weszli do izby.

Hanys spojrzał i znowu się zdumiał. Ujrzał przed sobą starszego mężczyznę o siwych włosach. Oczy jego były zgaszone, jakby bez życia. Koło ust rysowały się dwie zmarszczki, układające się w bolesny grymas. Cała jego postać wyrażała jakby załamanie i wycucie z wszelkich sił.

–Co z Zosią? – szepnęła panna doktor Stasia.

–Śpi!... – odpowiedział tamten człowiek. Hanys zrozumiał, że to ojciec umierającej Zosi. Ojciec nawet nie spojrzał na niego i na małą. Jakby ich nie widział. Usiadł ciężko na dawnym miejscu i ukrył twarz w dłoniach.

Panna doktor Stasia zbliżyła się na palcach do dziewczyny. Schyliła się nad nią,

słuchała oddechu. Lecz nieoczekiwanie Zosia otworzyła oczy. Podniosła powieki jakby małe wieczka drogocennej szkatułki, w której życie pali się ostatkiem gasnącego płomyczka.

–Nie śpisz?... – zapytała cicho panna Stasia.

–Pani!... – szepnęła dziewczyna i próbowała się uśmiechnąć. Lecz skrzywiła się tylko boleśnie. – Proszę... pani... – zaczęła znowu – a jest... małpka?...

–Jest, Zosiu, jest! Popatrz się! – i skinęła na Hanysa.

Hanys podszedł, wziął małpkę w dłonie i posadził na skraju łóżka.

–Mój... Boże... – szepnęła Zosia z wysiłkiem. Chciała podnieść dłoń, by ją pogłaskać, lecz dłoń opadła. Wtedy Hanysowi zdawało się po raz drugi, jakby jego serce ścisnęła jakaś twarda dłoń. Serce zaś jakby napęczniało i podeszło na drobną chwilę pod gardło. Lecz to minęło natychmiast.

Przysunął małpkę do dziewczyny, a panna Stasia podniosła jej dłoń i położyła na głowie małpki. I rzecz dziwna. Małpka jakby zrozumiała, że tu mały człowiek umiera. Jakby ludzkie serce posiadała w swej kosmatej piersi. Ujęła bowiem łapkami jej dłoń, przycisnęła do swojej głowy, przytrzymała i jęła się teraz kiwać i leciuchno piszcząc. Dziewczyna patrzyła na nią, gasnące jej oczy rozgorzały mocniej, a drobne usta skrzywiły się do uśmiechu.

–Małpka!... Moja małpka!... – szeptała z wysiłkiem.

Małpka wciąż się kiwała i piszcziała. Potem zdjęła dłoń dziewczyny ze swojej głowy, podeszła ostrożnie do jej twarzy i jęła patrzeć uważnie. Spojrzała na Hanysa.

–Pogłaskaj!... – szepnął jej Hanys do ucha.

Małpka zdawała się rozumieć. Bo nachyliła się jeszcze niżej, wyciągnęła prawą łapkę i leciuchno pogłaskała dziewczynę po twarzy.

W izbie była cisza. Świerszcz tylko cykał gdzieś w kącie, przez otwarte okienko buchała do izby mocna woń nieznanych kwiatów i daleki szum miasta, a oddech Zosi szeleścił w ciszy jak ciężkie, posuwiste kroki po trawie.

"To śmierć nadchodzi!" – uświadomił sobie Hanys i lęk przebiegł go mrozem.

Dziewczyna uśmiechała się coraz jaśniej. Panna doktor Stasia usiadła obok łóżka na jakimś nadłamanym krześle, nachyliła się do Zosi, podniosła lekko, podtrzymując ją pod plecy.

–Popraw jej poduszkę! – szepnęła do Hanysa.

Hanys poprawił i dziewczyna teraz mogła się oprzeć, na wpół siedząc.

–Proszę... pani... – szepnęła z wysiłkiem.

Panna Stasia nachyliła się, a Zosia coś jej szeptała do ucha. Panna Stasia skinęła głową. Potem wzięła jej lewą ramię i położyła sobie na kark. Równocześnie zaś przygarnęła ją lekko do siebie.

–Zosia prosi, żeby małpka pokazała jej swoje sztuczki – rzekła do Hanysa.

Hanys świsnął leciuchno na małpkę. Małpka zeskoczyła i podeszła do niego. Podała mu łapkę.

–Żołnierza pokaż!... – rzekł do niej. Rozglądnął się. Ujrzał przy piecu kawał drewnienka. Podał je małpce. Małpka obwąchała je i teraz zaczęła udawać żołnierza. Hanys wydawał rozkazy szeptem. Małpka maszerowała zabawnie, kołysała się szeroko, tłukła swoim karabinem o podłogę, brała go na ramię, opuszczała do ziemi, salutowała i znów maszerowała...

W izbie było słyhać coraz cięższy oddech Zosi. Lecz Zosia nie spuszczała oczu z małpki. Jej uśmiech zaś stawał się coraz jaśniejszy i cichszy.

Mijały chwile.

Świerszcz nie ustawał cykać za piecem, szum miasta w dolinie stopniowo milknął, a oddech Zosi szeleścił coraz głośniej. Gdzieś daleko zegar ratuszowy wydzwonił dziesiątą godzinę.

Małpka wyczerpała wszystkie swoje sztuczki. Pokazała już żołnierza i tego mądrego pana z książką, potem innego pana na przechadzce, następnie pajaca fikającego koziołki i stąpającego na rękach, a teraz usiadła na łóżku obok Zosi, sięgała łapką do czarnej czupryni panny Stasi, grzebała, patrzyła pilnie, a potem udawała, że wydobywa pchłę i zjada ją ze smakiem.

Hanys nie chciał pozwolić małpce na taką zabawę, lecz panna doktor Stasia uśmiechnęła się i szepnęła, żeby dał spokój. Wskazała mu oczami na Zosię. Zosia przypatrywała się małpce i wciąż uśmiechała.

Chwilami grymasy małpki były tak ogromnie zabawne, że i panna Stasia, i Hanys nie mogli stłumić śmiechu. A Zosia także śmiała się cichutko. Jedynie ojciec tkwił w mroku i wciąż trzymał twarz ukrytą w dłoniach.

Tymczasem szum miasta całkiem już umilkł. Słyhać teraz było szum przelewającej

się rzeki w głębi nocy. Zosia oddychała coraz trudniej. Lecz wciąż jeszcze uśmiechała się i nie spuszczała oczu z małpki.

–Hanys!... – szepnęła znieńacka panna Stasia dziwnym głosem.

Hanys spojrzał na nią.

–Gromnicę!... – rzuciła krótko i nachyliła się niżej do Zosi. Zosia zaś jeszcze mocniej obłapiła pannę Stasię za szyję. Jakby się czegoś bała w tej chwili.

Hanys podszedł do ojca, trącił go w ramię.

–Co?... Co chcesz?... – zapytał jakby zbudzony.

–Zosia umiera... Gromnicę dajcie!...

Ojciec skinął dłonią na kredens. Był jak nieprzytomny. Hanys otworzył kredens, znalazł gromnicę na wierzchu. Zapalił, przyniósł do łóżka. Panna Stasia włożyła ją w dłoń Zosi, przytrzymała swoją dłonią. Zosia coraz mocniej obejmowała ją lewym ramieniem za szyję. Dyszała ciężko i coraz głośniej. Lecz jeszcze patrzyła i szukała oczami małpki.

Hanys wziął małpkę w dłonie, postawił na stole obok łóżka. Kazał jej udawać błazna cyrkowego. Szepnął jej do ucha, co ma czynić. Małpka zrozumiała. Jęła znowu fikać koziółki, wędrowała po stole na przednich łapkach, udawała niezdarę...

Zosia uśmiechała się wciąż, tylko jej oczy gasły. Hanys dobrze widzi, że powleka je szare szkliwo, a oddech cichnie. Małpka nadal fika koziółki, harcuje, stroi grymasy... W pewnej chwili oddech Zosi ucichł...

A wtedy nachylona panna Stasia zdjęła jej sztywniejące ramię ze swego ramienia, ułożyła na poduszce, wstała, zamknęła jej powieki palcami, uklękła i zaczęła się modlić. Nastąpiła ogromna cisza. I znieńacka z tej ciszy wypłynął okropny szloch tamtego skurczonego człowieka pod ścianą...

Małpka spojrzała zdziwiona po obecnych. Pobiegła do umarłej Zosi, pogłaskała ją po twarzy, a potem stanęła przy łóżku obok panny Stasi, złożyła łapki, w łapkach ukryła swój śmieszny pyszczek i zaczęła cichutko, żałośnie piszczeć...

O tym, jak przepadł zegarek

Hanys wrócił dopiero przed północą do karuzeli. Odprowadził go milczący i ponury ojciec Zosi. Po drodze było małpce zimno. Drżała i tuliła się do Hanysa. Hanys wziął ją przeto pod kurtkę.

I teraz dopiero zauważył, że nie ma na sobie kamizelki. A w kamizelce został zegarek...

Tknęło go przykre przeczucie, gdyż zegarek został w kamizelce obok katarynki, a może rudy Józef...

Ale chyba nie!... Boć przecież ojciec musiał zauważyć, że kamizelka wisi obok jego katarynki. I zapewne zabrał ją do wozu.

Ojciec Zosi wrócił się z rynku do domu. Hanys teraz śpieszył już sam. Zatrzymał go po drodze gruby policjant.

–Halo!... Ty, mały!... Co tam masz pod kurtką?... – zapytał groźnie, przystępując do niego.

–Małpkę!

–Małpkę?... Skąd ją wzięłeś?...

Hanys wytłumaczył mu wszystko. Policjant jednak nie wierzył. Poszedł z nim do karuzeli, zbudził pana Szymiczka i Kucharczyka, a gdy się upewnił, że to naprawdę Hanys i jego małpka, przeprosił i poszedł.

–Proszę się nie gniewać!... – powiedział. – Po ciemku każda krowa czarna!...

Znaczyło to, że w ciemności trudno mu zgadnąć, czy ulicą idzie złodziej, czy porządny człowiek. Zwłaszcza kiedy przemyka chyłkiem i trzyma coś pod kurtką.

Hanys musiał opowiedzieć wszystko ojcu i panu Szymiczkowi. Obydwaj kiwali głowami, a ojciec nawet coś tam wycierał z oka i odwracał się od światła. Pan Szymiczek zaś mrucał:

–Hm... dobrzy są jeszcze ludzie na świecie! To powiadasz, że nasza małpka także się modliła i płakała? – upewniał się wzruszony.

–Tak!... Widziała, że panna Stasia modli się, że twarz ukryła w dłoniach, więc ona to samo uczyniła. a potem słyszała, że ojciec płacze, więc ona też płakała. Piszczala tak żałośnie...

–No, mój Bobuś, mój! – mruzczał pan Szymiczek i głaskał senną małpkę po głowie.

Długo jeszcze wszyscy trzej omawiali to wszystko. Na zegarze wybiła w końcu godzina pierwsza.

–Widzicie... – zakończył rozmowę pan Szymiczek. – Biednej dziewczynie lżej się umierało dzięki naszej małpce!... Ale śpijmy już, bo rano czeka nas robota!...

Zgasił światło, Hanys zaś położył się na podłodze jak zwykle, przygarnął małpkę do siebie i usnął. Zapomniał zupełnie o zegarku w kamizelce.

Nazajutrz, kiedy się zbudził, przypomniał sobie kamizelkę.

–Tatulku, wzięliście kamizelkę wczoraj?

–A wzięłem! Wisiała obok katarynki!

–A był w niej zegarek?

–No, to popatrz się! Kamizelka leży na stole. Zdaje się, że pod moim ubraniem.

A prawda, po co się pytać, kiedy można samemu przekonać się, czy zegarek znajduje się w kamizelce. Wsunął palce do pierwszej kieszeni. Nie ma zegarka!... W drugiej kieszeni będzie! Wsunął palce! Także nie ma!... Jezusku na świecie!... Ale jeszcze trzecia! Wsunął palce. Nie ma!...

–Nie ma zegarka! – wrzasnął przerażony.

–Co ty mówisz? Musi być! Przecież go nie wydobywałem!

–Ale nie ma! Szukajcie!

Ojciec przeszukał i także nie znalazł.

–Ktoś ukradł! – szepnął.

–Ale któż by tam kradł! – odezwał się teraz pan Szymiczek, który przypatrywał się Kucharczykowi i Hanysowi. – Poszukaj, Hanysie, na podłodze, na stole... może wypadł...

Hanys zaczął szukać. Na stole. Na podłodze. Zaglądał pod stół, pod łóżko, pod kanapę. Zegarka nie było.

–Jezusku, nie ma zegarka!... – zakwilił chłopiec.

Poszli teraz wszyscy trzej szukać. Zagląдали do każdego kąta pod karuzelą, zagląдали

do trawy, palcami grabili w niej, lecz zegarka nie było.

Hanys nie mógł się teraz uciszyć. Co sobie przypomniał o zegarku, zaczynał chlipać z żalu.

Zastanawiał się, któż by go mógł ukraść. Wszak Ryszard ostrzegwał go przed rudym Józefem. Dobrze pamięta. Ryszard powiedział wtedy:

–Strzeż się tego rudego Józefa!...

–...bo on kradnie! – dorzucił wtedy piegowaty Karol.

To chyba on ukradł. Tak, nikt inny, tylko on, ten rudy Józef!...

Pan Szymiczek był bardzo zmartwiony. Przywołał wszystkich trzech pomocników i zaczął od razu:

–Mówcie, chłopcy, kto ukradł zegarek? – i spojrzał ostro na każdego.

Wszyscy trzej jęli się wypierać, bić w piersi i tłumaczyć, że nikt nie widział Hanysowego zegarka.

–Bo sprowadzę policję! – zagroził pan Szymiczek.

Tamci powiedzieli, każdy po kolei, że policja może przyjść i przeszukać ich kuferki i ubrania. Nic nie znajdzie, bo nikt nie ukradł zegarka. Wobec tego pan Szymiczek posłał Hanysa po policję. Przyszedł pan policjant i zaczął się dopytywać, jak to było z tym zegarkiem. Obok stali trzej pomocnicy i patrzyli spode łba na pana policjanta i Hanysa. Najsrożej wyglądał rudy Józef.

Potem pan policjant kazał sobie otworzyć kuferki. Przeszukał, przewrócił wszystko w nich do góry nogami, obmacał każdego po kieszeniach i w końcu orzekł, że nic nie może znaleźć.

–A kogo podejrzewasz, żeby ci mógł skraść zegarek? – zapytał Hanysa.

Hanys już miał na końcu języka odpowiedź. Oto powie, że nikt go chyba nie ukradł, jak tylko ten rudy Józef. Wiedział przecież, że posiada zegarek, bo go nawet oglądał. A potem wiedział, że Hanys poszedł z małą do tamtej umierającej dziewczyny. I musiał widzieć kamizelkę, wiszącą obok katarynki. I kiedy nikt nie zauważył, sięgnął do kieszeni i wyciągnął zegarek. A teraz go zapewne gdzieś schował!... Już chciał powiedzieć, co myśli, lecz wstrzymał się w ostatniej chwili.

–No, może powiesz, że ja ci go skradłem? – warknął nachmurzony Józef.

–Ja... nikogo nie podejrzewam!... – wycedził Hanys. Przecież nie mógł inaczej

powiedzieć. Skrzywdziłby Józefa, gdyby go niesłusznie posądził.

–No, co teraz będzie?... – zapytał pan policjant zwracając się do pana Szymiczka.

–Hm... – mruknął pan Szymiczek. – Czy ja wiem?...

–Kogo pan podejrzewa?

Pan Szymiczek spojrzął po twarzach swoich pomocników. Rozłożył potem dłonie i rzekł, że trudno tu kogoś obwiniać o kradzież. Zegarek mógł się także zgubić lub co... Trudno tu coś mówić!

–No, to damy wszystkiemu spokój? – zapytał znowu pan policjant.

–No, czy ja wiem...

–Więc dobrze! Nikogo z obecnych tutaj nie podejrzewa się, przeszukałem wszystko, więc sprawa załatwiona! – i poszedł, zabierając z sobą opis zegarka.

Po jego odejściu jęto się rozbierania karuzeli. Za kilka godzin było wszystko załadowane na wóz. Zjedli jeszcze skromny obiad i ruszyli znowu w świat.

Obok wozu szedł Hanys, trzymając małpkę na ramieniu. Małpka grzebała mu palcami w czuprynie, lecz Hanys nie zważał na jej przymilanie się. Szedł smutny, zamyślony i coraz popłakujący z żalu za zegarkiem. A to był przecież zegarek od samego ujca, a ujec powiedział, że przyniesie mu szczęście!...

–Czy ty, Bobuś, wiesz, że mój zegarek przepadł? – zwrócił się w pewnej chwili do małpki. Małpka wytrzeszczyła na niego okrągłe oczy i zrozumiała, że coś złego przytrafiło się Hanysowi. Objęła go przeto za szyję i jęła mu piszczyć cichutko do ucha.

O tym, jak małpka ginie w Wiśle

Przyszły deszcze jesienne.

Rok szkolny już dawno się rozpoczął, a Hanys teraz prawie co tydzień znajdował się w innej szkole. Gdzie bowiem zatrzymał się pan Szymiczek z karuzelą, tam Hanys chodził do szkoły. Dzieci patrzyły na niego z natrętną ciekawością, boczyli się lub czasem przychlebiały, a wszystkie domagały się, żeby przyszedł do szkoły ze swoją małpką.

Małpka tymczasem siedziała w wozie, otulona kocami, bo jej było zimno. Chwilami tylko, jeżeli słońce wyjrzało spoza chmur, wychodziła na próg wozu i grzała się w słońcu. Lecz gdy tylko słońce utonęło w chmurach, a deszcz jął zacinać, umykała do wozu i kryła się pod kocem.

W ostatnich dniach posmutniała.

Hanys starał się ją rozweselić, podsuwał jej cukierki, za którymi tak bardzo przepadała, a w każdej szkole nakłaniał swoich nowych kolegów, by jej przynosili orzechy i cukier.

–Bo jej teraz zimno i smutno bez słońca! – mawiał.

Deszcze nie ustawały. Wilgotny wicher szalał po świecie. Zacinał z boku, zdzierał liście z drzew, miotał nimi po ziemi, wpadał pod płachtę na karuzeli, wydymał ją i usiłował przewrócić karuzelę. Zarobek był mały, bo w czasie deszczu nikt nie przychodził zabawić się na karuzeli.

Często Hanys wspominał swoją szkołę. Zastanawiał się, co też tam robi wójt Olszak i ten krzykliwy Weiser, i ten Blattan, co z pewnością przez całe wakacje łapał ryby do garści, i ten Szcypka, co guziki odcinał kolegom, i ci wszyscy koledzy, których mu teraz trudno zapomnieć.

Potem ojciec wyjechał z panem Szymiczkiem do Wisły.

–Jedziemy do Jadwiżki na Baranią! – powiedział jednego razu do Hanysa.

–Weźcie mnie z sobą! – prosił Hanys.

–Nie, ty musisz siedzieć w wozie! Któż by pilnował małpki?

–A prawda...

–No, widzisz! A na trzeci dzień wrócimy.

Pojechali więc, a Hanys odprowadził ich na stację kolejową. Potem wrócił do wozu, bo lękał się o małą. Wracając, stanął na moście nad wzburzoną Wisłą. Woda przelewała się ciężkimi, brudnymi kłębami i szumiała głośno. Deszcz wciąż padał.

–Jeżeli nie przestanie padać, to Wisła wystąpi z brzegów! – posłyszał uwagę przechodzących robotników.

Hanys jeszcze nigdy nie widział rzeki, która by wystąpiła z brzegów. Zapragnął przeto, by deszcz istotnie wciąż padał, gdyż wtedy ujrzałby Wisłę zalewającą pola. Pomyślał, że to musi być strasznie piękne i ciekawe.

Wrócił do ogrzanego wozu i zabrał się do pisania zadania o przyimkach. Mała siedziała osowiała na łóżku i patrzyła smutnie w okno. Kiedy Hanys na nią zawołał, ożywała się nieco, mrugała śmiesznie, lecz potem znów zapatrzyła się w okno i smuciła się.

O godzinie dziesiątej pozbiarał Hanys swoje książki, włożył do teczki, pogłaskał małą i poszedł do szkoły. Zamknął drzwi wozu i zaniósł klucz do karuzeli, gdzie na pomoście pod płachtą siedzieli Ryszard i Karol i grali w karty. Rudego Józefa nie było między nimi.

–Gdzie jest Józef? – zapytał Hanys.

–A poszedł! Powiedział, że idzie się przejść – odpowiedział Ryszard.

Hanys oddał im klucz i poszedł.

W klasie było dzisiaj nudno. Dzieci kurczyły się, bo klasa nie była jeszcze opalona, a chłód jesienny przenikał z zewnątrz i gasił radość u wszystkich. Nawet pan nauczyciel był dzisiaj jakiś niechętny. Deszcz bębnił po oknach, a ciężkie, napęczniałe szare chmury wlokły się nisko nad ziemią.

–Wisła przybiera coraz bardziej! – rzekł pan nauczyciel na ostatniej godzinie, patrząc w okno.

Dzieci powstawały i również jęły patrzeć na Wisłę. Można ją było zobaczyć z okien szkoły. Pan nauczyciel nie bronił im patrzeć. Potem jeszcze powiedział, żeby nikt z dzieci nie przybliżał się zbyt do rzeki, bo nietrudno o nieszczęście...

O godzinie pierwszej skończyła się nauka.

Wszyscy chłopcy pobiegli na most, żeby patrzeć na Wisłę. Nawet niektóre dziewczyny także pobiegły za chłopcami. Hanys zaś śpieszył do siebie, bo wiedział, że go tam czeka zziębnięta i smutna mała. Musi ugotować obiad dla siebie i dla niej. Dla siebie będzie miał ciepłe mleko i ziemniaki ze skwarkami, dla małej zaś

będzie ciepłe, słodzone mleko. Tamci dwaj pomocnicy, Ryszard i Karol, gotują sobie obiad na małej kuchence stojącej pod karuzelą.

Szedł z podniesionym kołnierzem, omijając kałuże. Po drodze spotykał ludzi śpieszących nad rzekę. Wiedział, że idą patrzeć na wodę.

Pod karuzelą nie zastał ani Ryszarda, ani Karola. Widocznie także poszli nad rzekę. Ją szukać klucza, lecz go nie znalazł. Nie wiedział, co teraz uczynić. Poszedł w kierunku wozu. Oto spróbuje klamkę podważyć. A jeżeli będą drzwi zamknięte, to przynajmniej zawoła na Bobusia. Uraduje się małpka.

–Bobuś!... Bobuś!... – zawołał, przytykając usta do drzwi.

Za drzwiami nie posłyszał żadnego szelestu. Pomyślał więc, że małpka usnęła. Postanowił pójść szukać Ryszarda i Karola. Wszak znajdzie ich na moście, gdzie już zebrały się tłumy ludzi. Przechodząc koło wozu spostrzegł, że jedno okno jest otwarte. Zdziwił się bardzo. Bo któż by mógł okno otworzyć? Chyba Bobuś? Ale gdzieżby przebywał? Zawrócił pod karuzelę i długo wołał. Nikogo nie było. Naraz pomyślał, że to może Ryszard albo Karol wywabili ją z wozu i zabrali ze sobą! Na taki deszcz! Jezusku święty!... Przecież małpka przeziębii się! Zachoruje!

Wrzucił książki przez okno do wozu i pognął ku rzece. Zabierze małpkę i zwymyśla tego, kto takie głupstwo uczynił! Pędził miedzą wzdłuż rzeki. Rzeka szumiała groźnie, przelewała się i niosła jakieś drzewa i belki. Miejscami przelewała się już z brzegów i zatapiała pola.

Ze wszystkich stron nadchodzili ludzie. Najwięcej ich jednak było na moście. Stali oparci o poręczę, głowa przy głowie, patrzyli w wodę i coś krzyczeli. Naraz dostrzegł, że uczyniło się jakieś zamieszanie. Oto tłum na moście zakotłował, jął się zbijać w gromadę, a z gromady tej wyskoczyła małpka i wspina się teraz po obłym przęśle żelaznym. Ludzie krzyczą, wołają na nią, lecz małpka ucieka. Trzyma coś w dłoni.

–Bobuś!... Bobuś!... – krzyknął Hanys co sił. Lecz małpka go nie słyszy, bo grzmot rzeki zagłuszył jego wołanie.

–Jezusku na świecie!... Do rzeki spadnie!... – kwilił przerażony i pędził co sił.

Już dobiegał do mostu, już roztrącał ludzi, kiedy dojrzał, że małpka wydrapała się na szczyt przęśla. Patrzy niespokojnie na krzyczące mrowie ludzkie. W łapce trzyma zegarek na łańcuszku!...

Ludzie wciąż krzyczą i grożą jej pięściami.

–Zegarek ukradła!... Zegarek ukradła!... – wołają.

–Spadnie!... Spadnie!... – krzyczy rozpaczliwie Hanys i przepycha się przez wrzeszczący tłum.

Już był blisko, już małpka usłyszała jego wołanie, już jęła się opuszczać po przęśle do niego, kiedy z nienacka z tłumy wyleciał spory kamień i trafił ją w głowę. Małpka zapiszczała, zachwiała się i runęła w rzekę.

–Jezus!... – krzyknął okropnym głosem Hanys. I nie zdając sobie sprawy, co czyni, dopadł poręczy, przesadził ją jednym susem i skoczył za nią do wody. W locie widział jeszcze, jak woda przelewa się nad Bobusiem, jak Bobuś usiłuje płynąć, jak go woda porywa i ciska w głębinę.

Rozwarła się woda, zakryła Hanysa!... Zachłysnął się, lecz wypłynął. Nie da się wodzie!... Wszak dobrze umie pływać! Rozgarnia ją ramionami, odbija się nogami, a woda ryczy i skacze mu do gardła. Raz po raz zalewa go zupełnie. Wtedy dławi się nią. Potem znowu wypływa... Widzi małpkę!... Ona go także widzi! Wydiera się do niego... Hanys roztrąca wodę i przybliży się do niej. Jeszcze raz... i jeszcze raz!... Woda podbija mu ramiona, odrzuca, przewala, na dno ściągnąć usiłuje!... Serce Hanysa wali jak sto młotów... ramiona mdleją... tchu już brakuje!... Coraz częściej zanurza się w topieli. Znow z niej wypłynie i znow przybliży się do małpki!... Jeszcze jeden rzut ramionami... Wyciągnął ramię... Ujął małpkę za dłoń!...

Teraz do brzegu!

Lecz małpka uczepliła się go, ujęła za kark i piszczy... z rozbitej główki cieknie krew. Małpka wciąga go do wody... Tamuje ruchy... Jak przez mgłę widzi Hanys jakichś ludzi, biegnących brzegiem rzeki... Coś krzyczą... Okropnie krzyczą!... Małpka wciąż piszczy i czepia się kurczowo jego ramion... W jednej łapce trzyma łańcuszek, a na łańcuszku jego zegarek!...

Nadbiegła wielka fala, zakryła ich sobą.

Hanys dławi się wodą!... Próbuje wypłynąć!... Nie może!... Tyle tylko pojmuje, że ogromny szum bije w niego, przewraca i spycha w ciemności.

–Jezus!... – chciał krzyknąć.

Lecz czarna woda wdarła się do gardła i stłumiła krzyk.

O tym, jak ciemne oczy budzą Hanysa

Hanys otworzył z wysiłkiem oczy. Z takim wysiłkiem, jakby zalepione były ołowiem. Przez chwilę łypał nimi ciężko. Potem spojrzął zdumiony. Olśniło go światło. To słońce świeci mu wprost w oczy. Ktoś tam wstaje i zasłania okno prześcieradłem. Teraz wraca i poprawia mu poduszki pod głową. Miękkie dłonie dotykają skroni, lekko unoszą, a potem te same dłonie głaskają go po głowie.

–Któż też to może być? – dziwi się Hanys.

Próbuje znowu otworzyć oczy.

I zdumiał się ogromnie. Bo oto widzi nad sobą czyjeś ciemne oczy. Ciemne oczy płoną małymi kropelkami światła.

"Czyjeż to oczy?" – pomyślał znowu. Wnet jednak zapomniał o nich, bo teraz przypomina sobie, co się z nim działo. Oto gdzieś huczy ogromna woda... W jego głowie tak huczy, czy co?... Szumi jak sto wiatraków!... Aha, to była woda!... Taka wielka woda!... Woda była żółtawa, spieniona i wzburzona. Ryczała okropnie i dławiała!... Wdzierała mu się do gardła i dusiła płuca. Płuca pękały i bolały, jakby rozpalone szkło w nich było... Co się to działo?...

–Co to... było? – zapytał. Zdziwił się, że mu tak trudno wypowiedzieć tych kilka słów.

–Cicho, Hanysku!... Już dobrze... – słyszy czyjś ciepły głos. Głos jest miękki i podobny do dźwięku starego złota. Przecież on już taki głos gdzieś słyszał. Któż to może być?...

–Kto tu?... – zapytał znowu i znowu podniósł powieki.

Ujrzał czarne i jakby aksamitne oczy, płonące nad nim drobinkami słońca. Nad oczami czerni się czuprynka, czerwone usta są rozchylone w lekkim uśmiechu, a na lewym policzku poznaje tamten dołek.

–Panna... doktor... Stasia... – wyszeptał zdziwiony. Wszak już teraz przypomina sobie wszystko. Lecz skąd się tu wzięła? A gdzie jest małpka?

–A gdzie jest... małpka?... – zapytał znowu.

–Eh... leż teraz spokojnie, Hanysku!... – odpowiada mu tamten głos, a miękka dłoń kładzie się na jego oczy.

Kiedy się po raz drugi ocknął, dojrzał słoneczną plamę na przeciwległej ścianie.

Plama tkwiła na białej ścianie i była podobna do koloru wypieczonego chleba. Hanys wywnioskował stąd, że to już chyba słońce zachodzi.

Tak długo spał?... Przez chwilę zgarniał myśli, żeby wszystko sobie przypomnieć. Nie może. Przechylił głowę i spojrzał w bok. Ujrzał siedzącego za stołem rudego Józefa. Skąd się tu rudy Józef wziął?... Przecież jego nie było, a była panna doktor Stasia.

–Józef!... – szepnął, bo nie mógł głośniejsze zawołać.

Rudy Józef odwrócił się raptownie i roześmiał zadowolony.

–No, już się obudził? – zapytał chrapliwie.

–Co to było?... – szepnął znowu.

–Ha, co było! Żle było, ale teraz już dobrze!

–Gdzie jest panna Stasia?...

–Ho, ho, poszła!

–Dokąd?

–No, do Cieszyna! Myślisz, że nie ma nic innego do roboty, jak tu siedzieć? Mnie kazała czuwać przy tobie! Ale nie pytaj się tyle, bo nie wolno! Zakazała! Wszystko ci opowiem! Chcesz?

–Chcę!...

–Mówi się: proszę!

–Proszę!...

–Tóż słuchaj, a nic się nie pytaj, bo nie wolno! Tamta pani doktorka zakazała! Słuchasz?

–Tak... mów!...

–Tóż to było tak! Ojciec z panem Szymiczkiem pojechali do Wisły czy gdzieś tam. Ty zresztą wiesz. Jutro wróć! A tyś został w domu. Ale wiesz, jak to tak wszystko mówię od początku, bo ta pani doktorka tak mi nakazała! Morowa pani! Cóż mam robić? Słuchasz?

–Słucham... A gdzie jest małpka?...

–Ho, ho!... ale muszę od początku, bo tak ta pani doktorka kazała! Tóż to było tak! A oto masz zegarek!...

Hanys wyczuł w dłoni zegarek. Zdziwił się ogromnie i już chciał się znowu o coś zapytać, lecz rudy Józef krzyknął:

–Cicho bądź, bo ta pani doktorka zakazała! Ho, ho!... Człowiek musi teraz baby słuchać! Tóż już masz zegarek. A to było tak! Wiesz, kto go ukradł? Widzisz, nie wiesz! Tyś myślał, że ja!... Cicho!... Nie wolno mówić! Ja wiem, żeś ty mnie posądzał o kradzież zegarka. Ale to było tak! Ojciec twój z panem Szymiczkiem pojechali gdzieś do Wisły. Jutro wrócą. Jak już powiedziałem. A tyś został sam w domu... Nie wiem, czy taką budę na kołach można nazywać domem? Ale cicho bądź! O czym to mówiłem?... Aha! A ja poszedłem na świat się popatrzeć. Gdy wracałem tak jakoś po godzinie pierwszej, to ludzie zbierali się na moście. Bo miała być powódź! Ja też szedłem się popatrzeć. Ryszard też poszedł. A ten piegowaty Karol też. Ale przedtem wywołał małą z budy, bo chciał zarobić jakiś grosz między ludźmi na moście. Małka wyszła przez okno, lecz potem nie chciała iść z nim na most. Bo jej było zimno. Wtedy on ją zbił!... A potem wziął ją pod marynarkę i poszedł. Mnie to wszystko mówili ludzie. Bo piegowatego Karola już nie ma u nas. Na posterunku policji siedzi za ten zegarek. Nie śpisz?

–Nie... Mów dalej!...

–Przecież mówię, nie?... Więc Karol wziął małą na most między ludzi, a kiedy już był na moście, chciał ją wyciągnąć spod marynarki, żeby pokazywać komedie. Ale małą przez ten czas, jak siedziała pod jego marynarką, odpięła mu łańcuszek z zegarkiem!... Wiesz, od kamizelki. A gdy ją spod marynarki wyjął, wiesz, tę małą!... Śpisz?...

–Nie!... Opowiadaj...

–Przecież opowiadam! Na czym to skończyłem?... Już wiem, jak małą wyszła spod jego marynarki... Wiesz, spod marynarki tego piegowatego Karola. To małą fik od razu na przęsło! A w dłoni trzymała twój zegarek, co ci go ukradł Karol! Ona go wyjęła z kieszeni jego kamizelki. Tyś wtedy pędził do mostka i coś krzyczałeś. Ja cię widziałem. Ja wszystko widziałem. I zegarek twój poznałem. Więc mówię do Karola: "Ty farnoński złodzieju! Zegarek ukradłeś!..." A on na to porwał kamień i śmignął za małą! A ja mówię: "Ty, faronie farnoński, bo ja cię śmignę!..." A ludzie, jako ludzie! Czasem ludzie są głupi jak barany! Strasznie krzyczeli i grozili Bobusiowi. A tyś już był na moście i wrzeszczałeś, żeby dać spokój... że wpadnie do wody... Śpisz?...

–Nie...

–I dobrze! A gdy już byłeś blisko, tamten chachar piegowaty połękał się, że poznasz swój zegarek, co go małpka zabrała z jego kamizelki. I wziął znowu kamień i śmignął! Trafiona małpka spadła z zegarkiem do rzeki! A ty chlup za nią do wody!... farona, to było! Ludzie krzyczeli i krzyczeli, i gonili koło rzeki jak oparzeni. Ho, ho!... A tyś jest morowy synek!... Gdzieś się tak nauczył pływać? Śpisz?...

–Nie...

–Chciałem zdzielić przez pysk tego piegowatego złodzieja, ale tyś się już topił. Tóż myślę sobie, że z tobą! Tóż ja chlup za tobą do wody! No i to wszystko!...

–To tyś mnie z wody wyciągnął?... – zapytał zdziwiony Hanys.

–Yhy! To nie było nic takiego!

Nastało dłuższe milczenie. Hanys coś myślał. Dyszał ciężko. Potem wyciągnął rękę do rudego Józefa.

Rudy Józef zachnął się i cofnął od łóżka.

–Ale idź, idź, głupi! Nie dziękuj! Dyć to nie było nic takiego! Ale posłuchaj! Posłuchasz?...

–Tak! – szepnął Hanys.

–Tóż wydobyłem cię z wody i dobrze. A już byłeś kaput! Małpka też była kaput! A tak trzymała się ciebie za kark, że trzeba było mocą rozpleść jej złożone palce. A zegarek trzymała fest w łapce. No, a potem już wiesz, nie?

–Nie wiem...

–No, byłeś kaput i myślałem, że wszystko było na darmo! Wody się nałykałem, że jeszcze teraz mi się odrzyguje. A brzuch mnie boli z tej wody! Ale przyszła ta doktorka i odratowała cię. Tak długo gajdowała z tobą, ramionami twoimi rozkładała, że w końcu było dobrze. A małpka...

–A małpka?... – zapytał niespokojnie Hanys.

–Oto leży! Nie dało się jej odratować! Bo ten pieron kamieniem jej głowę rozwalił i małpka utopiła się wcześniej. Oto jest! – to mówiąc, podniósł jej łóżko, zrobione ze skrzyni po cukrze. Na jej dnie, na posłaniu z gałganów leżała sztywna małpka.

Hanys dotknął dłonią jej zimnego ciała.

–Ale nie becz, nie! Jak stara baba! Któż to widział beczeć o małpkę? Idź, idź!... Cicho już bądź!...

Kiedy się Hanys uspokoił, rudy Józef jeszcze powiedział, że panna doktor Stasia wracała samochodem z Katowic i właśnie była świadkiem, jak on wyciągnął go z wody.

–No, zwykły przypadek. A człowiek by powiedział, że jakieś zrządenie czy jak... Bo gdyby nie ona, nikt by nie wiedział, co z tobą począć! Byłbyś już teraz kaput! Ho, ho! ... Wracała z Katowic z jakimś panem. Może to jej narzeczony.

Mnie to zresztą nic nie obchodzi! Grunt, że morowa jakaś niewiasta! Tamten samochód pojechał, a ona została. A powiedziała, że jutro zaś przyjedzie. I jeszcze mówiła, że tam był kiedyś z małpką przy jakiejś Zosi, co umierała. Że ci jest winna wdzięczność czy jak... Ja tam dobrze tego nie wiem. Tylko tyle wiem, że to dobra jakaś pani. Ona ma serce w tych ciemnych oczach. Gdyby mnie tak chciała!... Hm, cóż tu głupio pleść? Gdzieżby mnie tam chciała, takiego rudego Józefa! Ho, ho!... A śpij już, bo miałaś spać, i skończone! Bo jak jutro ta pani przyjedzie, to mnie zwymyśla, co się zmieści! No nie?... Śpij, bo będę zły!...

Nastało znowu milczenie. Hanys błędził oczami po tamtej znikającej plamie słonecznej. Nic nie może zrozumieć. Małpka utopiona, rudy Józef ratuje go z rzeki, piegowaty Karol był złodziejem... On to ukradł jego zegarek! A Hanys myślał, że rudy Józef... A potem tamta panna doktor Stasia! Ale małpka!... Chryste Boże, małpka!... Małpki już nie ma!...

Zagryzł usta, zacisnął powieki. Łzy jednak przesączały się przez rzęsy. Otarł je ukradkiem. Już jest dobrze. Tylko taki okropny żal... Tak bardzo okropny!... Mój Boże święty!

–Już zaś beczysz? – ocucił go chrapliwy głos rudego Józefa.

–Józef!...

–Co takiego?

–Podaj mi jeszcze raz małpkę!...

Józef zawahał się, lecz potem schylił się, wziął ją ze skrzyni i podał Hanysowi.

–Ty, ale jak będziesz beczał, to ci ją wyrzucę przez okno! – zagroził. Hanys nie słuchał jego pogroźek. Tulił do siebie sztywne, kosmate ciało małpki i chlpał głośno, i pociągał nosem. Gładził ją po futerku, głaskał po głowie, szeptał jakieś pieszczotliwe słowa, a małpka leżała skurczona na jego nogach, z rozciętą główką, zamkniętymi oczami. Wydawała się w tej chwili tak bardzo podobna do małego, skrzywdzonego dziecka.

–Ty, Hanys, już dość tego, bo się uwalasz krwią. Widzisz, jakie masz łapy? Małpka

ma głowę rozbitą, krew jeszcze cieknie, a ty pościel brudzisz! Już idź spać, do faronajednego!

Hanys oddał mu ciało Bobusia.

Potem długo myślał i myślał o wszystkim. A potem znowu usnął.

W nocy zbudził się kilka razy. I zawsze widział, że na ścianie pali się małe światło, a Józef siedzi za stołem i kiwa się niezdarnie. Lecz gdy tylko Hanys otworzył oczy, on już się budził i schylał nad nim.

–Śpij, bąku jeden! Śpij!... – mrucał, nakrywając go kocem.

Potem podawał Hanysowi szklankę z wodą i znowu siadał za stołem, by się kiwać, morzony nadchodzącym snem.

Nad ranem Hanys przebudził się. Głowę miał ciężką i rozpaloną. Ujrzał, że światło jeszcze się pali, a rudy Józef położył głowę na stole i chrapie. Jego podkudłacona czupryna podobna była do kępki rudej, zeschłej trawy.

"Dobry człowiek!" – pomyślał i zasnął.

Skrzypnęły drzwi, jakieś szepty rozleciały się po izbie. Hanys otworzył oczy. I wtedy aż krzyknął z radości. Bo oto znowu widział nad sobą tamte ciemne, aksamitne oczy z okruchami słońca. Oczy patrzą pilnie, lekko nachmurzone i jakby skupione.

–Hanys!... – posłyszał ciepły szept dziewczyny.

–Panna Stasia!... – odpowiedział Hanys i wyciągnął ramiona. Zdawało mu się w tej chwili, że wyciąga ramiona do swojej matki. Dziewczyna przygarnia go do siebie i gładzi po twarzy. Matka też tak kiedyś czyniła. Lecz to już dawno. Tak bardzo dawno!... I też miała takie ciemne, aksamitne oczy z okruchami słońca w ich głębi...

–Ona ma serce w tych ciemnych oczach!... – przypomniał sobie słowa rudego Józefa.

I uwierzył jego słowom.

O tym, jak listy przychodziły i co z

tego wynikło

Po dzwonku o godzinie ósmej skończyło się "piekło", jak mawiał wójt Olszak.

Jeszcze tam gdzieś trzasnęły drzwi, jeszcze dało się słyszeć szybkie, wystraszone kroki któregoś ze spóźnionych uczniów, a wójt Olszak krzychał na całe gardło:

–Cicho już!... Ty, Jastrzębski, co jeszcze łazisz z tym metrem? Czy nie słyszałeś dzwonka? Bylok, bo zobaczysz!...

Niezdługo na korytarzu pojawił się ujec. Czynił to niezmiennie od kilku lat. Człapał od drzwi do drzwi, chwilkę słuchał, mały, zasuszony, usmarowany na twarzy, nieogolony, w długim, modrym fartuchu. Na uszy miał wciągnięty głęboki, wielki kapelusz, a pod pachą trzymał miotłę.

Dzisiaj również zaczął wędrować od drzwi do drzwi. Pod każdymi mrucał do siebie:

–Aha, tu są rachunki... Metza dzisiaj nie umie, bo stęka przy tablicy!... Nie ma szczęścia ani do rachunków, ani do gołębi!... Gołębie mu pozdychały, bo chłopcy mówią, że je karmił marchewką... A teraz mu został jeden gołąb zezowaty i garbaty... He, he, he!... A tu jest gramatyka... Tu zaś fizyka... Pan nauczyciel się gniewa, bo Sojka nie umie... Tu geografia... Park Narodowy Yellowstone... Hm, a tu historia...

Ujec mrucał, szedł od drzwi do drzwi, słuchał chwilkę i uśmiechał się. Bo on to wszystko wiedział, czego się tamci uczą... Ho, ho!... Jeżeli ma się sześćdziesiątkę na karku, to można wiele umieć...

Potem zaczął zamykać korytarze. Zbierał papierki i wsuwał za fartuch na piersiach, zaglądał do ustępów, sprzątał, wycierał, a wciąż śpiewał półgłosem. Już pozamykał i wyczyścił posadzkę na drugim piętrze, już doszedł do połowy pierwszego piętra, kiedy posłyszał czyjeś kroki na schodach.

–Aha, listonosz idzie!... – mruknął i podreptał do klatki schodowej. – Co jest, panie Klajman?... Listy, listy?...

–A są listy... Do pana kierownika, do panów nauczycieli. Gdzie tu uczy pan nauczyciel Urbańczyk? Ma list polecony z Urzędu Wojewódzkiego...

–A tu, proszę! – wskazał ujec na klasę piątą.

Pan Klajman z wielką, pękatą torbą na brzuchu, w ceratowej pelerynce, z jakimś

krzyżem na brązowej bluzie, ociekający od deszczu, zapukał do klasy piątej, wręczył list, wziął pokwitowanie i poszedł do pana kierownika. Ujec zaś czekał, co dalej będzie. Nie próżnował jednak, lecz zamiatał korytarz.

–To już wszystko, panie Klajman? – zapytał, kiedy listonosz wyszedł. – Już nic nie ma więcej?

–A jest jeszcze... List do chłopców w klasie szóstej. Do rąk wójta Olszaka, jak tu jest napisane...

–A to w klasie szóstej. Jest w szkole. A skąd ten list, skąd?... Czy z zagranicy?

Bo ujec zbierał znaczki pocztowe. Już miał ich pełny album. Myślał więc, że jeżeli to list z zagranicy, to wycygani znaczki listowe od Olszaka.

Listonosz obejrzał list, pokazał ujcowi.

–To ze szpitala cieszyńskiego. Oto pieczętka! – wskazał na kopertę. – "Szpital krajowy w Cieszynie..."

–Ze szpitala?...

–...od Jana Kucharczyka.

–Mój Boże, to on w szpitalu? No gdzież się tam wziął? – zdziwił się niemile ujec.

Pan Klajman nie miał jednak czasu gawędzić z ujcem. Przecież torba z listami jest tak pękata i tak ciężka, że ledwie można ją na brzuchu unieść. A ludzie czekają na listy!

–Już nie pójde na drugie piętro – rzekł. – Oszczędzę sobie schodów! Możecie go, ujc, oddać Olszakowi?...

–Ależ proszę... proszę!...

Listonosz jął zstępować po schodach, otulając się ceratową pelerynką, bo deszcz wciąż zalewał okna, ujec zaś włożył list za fartuch. Wyczuwał niepokój, że Kucharyja pisze listy ze szpitala.

–Cóż się synkowi stało, co?... martwił się, głośno pociągając przez nos.

Na przerwie stanął w progu szóstej klasy, opędzając się przed chłopcami.

–Jest Olszak? A jest!... Oto masz list od Kucharczyka! Pisze ze szpitala...

–Kucharyja!... Nasz Kucharyja pisze!! – zaczęli chłopcy wrzeszczeć i pchać się do

uszcześliwionego wójta Olszaka.

Ujec już nie słuchał, co tam chłopcy krzyczeli i co czytał wójt Olszak, bo trzeba mu było pójść od kotłowni. Wszak od kilku dni już taki ziąb gryzł dzieci po kościach, że pan kierownik powiedział:

–Nie ma rady!... Trzeba będzie palić pod kotłem!...

Ujec palił więc od kilku dni pod kotłem, a po klasach rozchodziło się ciepło rurami. Chłopcy zaś na przerwach grzali się o metalowe sito, zakrywając rury z ciepłem.

Po godzinie pierwszej skończyła się nauka.

Ujec czatował już na wójta Olszaka. Biegł on z drugiego piętra z kolegami, przeskakując po trzy stopnie na raz, kiedy nagle posłyszał wołanie:

–Olszak!... Hej, Olszak!... Cóż tak lecisz jak oparzony?... Nożyska połamiesz!... Chodź do mnie do kotłowni!...

Olszak poszedł, lecz odpędził kolegów, którzy się za nim cisnęli.

–Kogo wołał ujec? – gniewał się. – Mnie, czy was?... Widzicie!...

Chłopcy uznali słuszność jego argumentu i odeszli. W kotłowni było ciepło. Pod ścianą stał gruby, pękaty kocioł z manometrami. Na jego grzbiecie psykał cieniuchny strumyczek pary. Pod kotłem zaś buzował ogień. W drugim kącie czerniła się wielka kupa węgla i koksu, a w trzecim kącie stała stara ława szkolna i stół kulawy. W czwartym kącie sterczała cienka pompa z wykrzywionym ramieniem.

Olszak lubił zaglądać do kotłowni, jak zresztą wszyscy chłopcy. Lecz ujec nie wpuszczał nikogo. Wyjątkowo to czynił, gdy był w dobrym humorze lub chciał się czegoś od nich dowiedzieć. Lecz wtedy uważał pilnie, by nikt nie kręcił kurkami przy kotle.

–Kocioł pęknie jak pęcherz!... – mawiał. – I urwie ci nogę lub głowę, a co potem, he? ...

–Co chcecie, ujcu? – zapytał Olszak wchodząc do kotłowni.

–Siadaj tu, a powiedz, co pisał Kucharyja z tego szpitala! Skąd się tam wziął?

–Mój Boże, ujcu!... – zmartwił się wójt Olszak. – Nie mam listu, bo go wziął Slowencyk. On ładnie pisze, więc odpisze Hanysowi. Ale ja wam powiem, co w nim było!...

–No, to siadaj, a mów!

–A pokażecie mi kocioł i manometry? Będę sobie mógł pokręcić kurkami?

Ujec skrzywił się, bo Olszak za dużo wymagał. Ale zgodził się, tylko niech już opowiada, co się z tym Kucharyją dzieje.

Olszak zaczął opowiadać, że Kucharyja pisał, że jest teraz w szpitalu krajowym w Cieszynie. I że małpka się utopiła...

–Jaka małpka? – zdziwił się ujec.

–Ja też dobrze nie wiem, ale to chyba ta, z którą przyjechał pan Szymiczek... Wiecie, co ją wtedy miał Kucharyja, gdy odjeżdżał z ojcem i panem Szymiczkiem w świat... Wiecie?...

–Aha, przypominam sobie. Toć to będzie ona! No, szkoda małpki! I co dalej?

Olszak zaczął dalej opowiadać. Otóż Kucharyja jest w szpitalu w Cieszynie, a uczyniła to jakaś panna doktor Stasia. On do wody za nią skoczył.

–Za kim? Za tą panną Stasią?

–Nie, Kucharyja za małpką do wody skoczył...

–Aha...

–...i byłby się utopił, bo Wisła wezbrała, tylko wyratował go jakiś rudy Józef, który nie ukradł zegarka.

–Jakiego zegarka nie ukradł – zaniepokoił się ujec.

–Nie wiem, ale chyba tego, który wy mu daliście... Píše, że zegarek ukradł piegowaty Karol. Małpka mu go zabrała, a Karol uderzył kamieniem małpkę, a małpka wpadła do rzeki. A on ją ratował...

–Kto, ten złodziej piegowaty?

–Nie, Kucharyja... On to o sobie pisze. I byłby utonął, ale go wyratował rudy Józef.

–No, to już mówiłeś!...

–...a potem przyszła panna doktor Stasia...

–Cóż to za panna doktor Stasia?

–Nie wiem... Taka pani, co leczy chorych ludzi. I ona go odratowała. Ale potem Kucharyja zaniemógł. Zapalenia płuc dostał. Więc tamta panna doktor Stasia zabrała

go do szpitala do Cieszyna. Bo ona jest z Cieszyna. I pisze Kucharyja, że byłby umarł, tylko panna doktor Stasia przy nim była i wyzdrowiał,. Ale jeszcze jest strasznie słaby. I nic już więcej nie pisze. A kazał was pięknie pozdrowić...

–Dziękuję za pozdrowienie!

–No, i całą klasę też, i panów nauczycieli też. A napisał, że potem napisze większy list, i prosi, żeby mu kto z naszej klasy napisał o wszystkim, co jest u nas nowego. To wszystko...

–No ale wiecie, ludzie złoci! – zafrasował się teraz ujec. – To on byłby utonął i miał zapalenie płuc? I zegarek mu skradziono? A ma ten zegarek?

–Nie pisze, ale chyba ma.

–To jak będziecie pisać, napiszcie, że go kazałem pozdrowić bardzo pięknie i niech zawiadomi, czy ma ten zegarek. Boby mnie to bardzo zmartwiło, gdyby go nie miał. Wiesz?

–Wiem... Jutro powiem Engelbertowi.

–Jakiemu Engelbertowi?

–No, Slowencykowi... On napisze list do niego. Powiem mu, żeby się zapytał o tym waszym zegarku i że go kazaliście bardzo pięknie pozdrowić. A mogę teraz pokręcić kurkami?...

–No, to chodź! Ale tylko tym możesz kręcić, który ci wskażę!

Olszak przystąpił do kotła, przekręcił wskazany kurek, a wtedy ostry świst uchodzącej pary zaryczał w niskiej, ciepłej kotłowni. Za chwilę znowu nastąpiła cisza, tylko przez otwarte drzwi wywalały się kłęby pary na dwór. Potem wynurzyli się z nich Olszak i ujec. Olszak był uradowany, ujec zmartwiony. Spojrzał na Olszaka i zachmurzył się.

–Hm, ty się radujesz, a on może umrzeć! – rzekł z wyrzutem.

–Kto?...

–No, Kucharyja nasz! Czy już nie wiesz?

–Aha!... – szepnął Olszak i tak się bardzo zmartwił.

Minęły znowu dwa tygodnie. Spadł pierwszy śnieg, chwyciły mrozy, przeto ujec mocniej palił pod kotłem. Śpiewał, wrzucał pełne szufle węgla z koksem na palenisko. Patrzył na manometry i wciąż nucił coraz to nowe piosenki.

Pewnego dnia znów przyszedł pan Klajman z listami do szkoły. I jak zwykle, zetknął się z ujcem na pierwszym piętrze.

–Zimno, co, panie Klajman?... – rzekł ujec, patrząc ze współczuciem na jego zaczerwieniony nos i na rzęsy oblepione szronem.

–Zimno jak sto set! – mruknął listonosz, chuchając w dłonie. Mam znowu list dla chłopców w szóstej klasie. Oddacie go, ujcu? Bo musiałbym czekać, a tu tyle roboty! – i uderzył dłonią po wypchanej torbie na brzuchu.

Ujec odebrał list, wręczył go na przerwie wójtowi Olszakowi, gdyż do niego był zaadresowany. Ujec wiedział, że to od Kucharczyka, bo list był opatrzony pieczętą krajowego szpitala w Cieszynie.

–Mój Boże, jak też tam będzie synkowi? – martwił się znowu, pociągając przez nos.

Po nauce czekał na Olszaka. Skinął na niego, poprowadził do kotłowni.

–No i co?... – zapytał. – Lepiej naszemu Kucharyjowi? Lepiej?...

–Poczekajcie, ujcu! Czytajcie sami! – rzekł Olszak podając list.

–Nie mam tu, synku, okularów. Ty mi czytaj!

–A będę potem mógł pokręcić kurkami?

–No, dobrze, dobrze. Tylko czytaj już!

Olszak stanął pod oknem w mrocznej kotłowni i zaczął czytać:

–Kochani koledzy!

Siadam do stołu mego i piszę do serca Waszego i dowiaduję się o Waszym zdrowiu i powodzeniu i pozdrawiam Was: Niech Będzie Pochwalony Jezus Chrystus! Dziękuję Wam, Koledzy, za list i za pozdrowienia, a ujca naszego też pozdrawiam...

–No, to porządny synek!... – szepnął wzruszony ujec. – Czytaj dalej...

–...pięknie a powiedzcie mu, że zegarek mam i już idzie, bo go panna doktor Stasia dała naprawić. Już nie jestem taki słaby, ale panna doktor Stasia powiedziała że muszę iść gdzie do sanytaryjum...

–Co takiego?... Dokąd to ma iść? – zdziwił się ujec. – Tu jest błąd! – wytłumaczył Olszak, który jako syn aptekarza znał dobrze tamto wyrażenie. – On chciał napisać: sanatorium... To jest taki zakład dla chorych ludzi. Wiecie?

–Wiem! No a co dalej? Czytaj!

–...bo będę jeszcze długo chory. Powiedziała że mam słabe płuca. Ale ja umrę bo nie mam pieniędzy na tamto sanytoryjum, ojciec też nie ma, on jest teraz u pana Szymiczka. Ojciec tu był i płakał ale ja mu powiedziałem, żeby nie płakał, że każdy z nas umrze, no nie? Panna doktor Stasia martwi się bardzo i mówiła żeby mi pomogła, ale nie ma pieniędzy tyle. Ale będzie się starała lecz nie wie, czy potrafi wystarać. Ja wiem że się nie wystara, bo teraz jest bieda na świecie, więc umrę i żal mi będzie bardzo, że Was kochani Koledzy może już nie zobaczę.

–Co wam to jest, ujcu? – zdziwił się wójt Olszak, przestając czytać. Bo zauważył, że ujec chlipie i coś mruczy.

–Hm... mój Boże!... Ale czytaj dalej!... – i coś zebrał palcami z oczu i strzepnął na posadzkę.

–...ale gdybyście kochani Koledzy mogli który przyjechać, tobym się ogromnie radował. Już zakończę ten list bo nie mam więcej co pisać i pozdrawiam panów nauczycieli i pana kierownika, ujca naszego też pozdrawiam bardzo pięknie i wszystkich kolegów, a niech mi jeszcze kto z Was napisze list. Z Panem Bogiem do miłego widzenia Wasz Hanys Kucharczyk.

Skończył i odetchnął. Spojrzał na ujca. Ujec wciąż coś zbierał palcami z oczu. Olszakowi zdawało się, że ujec płacze.

–Płaczecie, ujcu? – zapytał zdziwiony.

–Eh... nie pleć!... – burknął niechętnie ujec. – Któż by płakał... Ja nie! Ale żal mi synka, że umrze...

–Nam go jest wszystkim żal!

–Hm... Co tu zrobić?... A moc trzeba tych pieniędzy na to jego leczenie?...

–Nie wiem...

Nastała cisza w kotłowni. W kącie bzykała para ulatniająca się z kotła, a po szybie szeleści suchy śnieg miotany wichurą. Obydwaj zasępilli się mocno.

–Wiesz co? – zawołał zniecka ujec, zrywając się z ławy.

–Co?

–Pomożemy synkowi! A wiesz jako?

–Jako?

–Macie jakiś samorząd w klasie. Ty jesteś wójtem! Musicie coś obmyślić! Jakie przedstawienie lub coś. Oto teraz będzie za miesiąc Boże Narodzenie, to może Jasełka jakie... Odegracie przedstawienie! wiecie, dla tego naszego Kucharczyka. Ludzie przyjdą, zbierze się jakiś grosz... Ja też tam coś małowiele mogę dać. I jakoś to będzie! Dobrze?...

Olszak patrzył zdumiony na ujca. Jeszcze go nigdy takim nie widział. Boć z ujcem coś się stało. Oczy mu gorzały, biegał szybko po kotłowni, zacierał dłonie, przystawał przed Olszakiem, klepał go po ramieniu i nachylony znów biegł z kąta w kąt. A wciąż dłonie zacierał. A raz po raz wołał, potrząsając Olszakiem:

–Wy, chłopcy... wy go musicie ratować! Ja też pomogę! Słyszysz, Olszak? Ty wójt! Powiedz chłopcom, żeby radzili. A jutro mogą wszyscy przyjść do kotłowni! I każdy może sobie fuknąć parą na największym kurku. My go musimy ratować! On nie może umrzeć! To by było!... – i znów jął przebiegać niską kotłownię i dłonie zacierać. Oczy zaś gorzały mu coraz bardziej.

O tym, jak chłopcy wypędzali troskę

z serca

Serce wszystkich chłopców poczęła gryźć troska.

–Więc radźcie, koledzy! – wołał wójt Olszak, drapiąc się po jasnej czuprynie. – Jak pomóc Kucharyi? Radźcie, kiedy wam mówię!...

Chłopcy radzili i głowili się ciężko, i coraz to z innym projektem ktoś z nich występował. Tamten projekt, by odegrać przedstawienie, już dawno został uchwalony i zgłoszony panu kierownikowi.

–Ależ dobrze!... – uradował się pan kierownik. – Wprawdzie trochę mi nie jest to na rękę, ponieważ ja zamierzałem urządzić z wami Jasełka z myślą, by czysty dochód przeznaczyć na wycieczkę do Krakowa...

–To my, proszę, nie pojedziemy na wycieczkę, a niech Kucharyja jedzie! – przerwał wójt Olszak, stojący na czele swojej delegacji przed biurkiem pana kierownika. Za nim pociągał nosem wzruszony Raszka modrooki, kręcił się Karlik Bylok, zaczesany na jeża, przedeptywał Engelbert Slowenczyk i zerkał po guzikach pana kierownika kudłaty Szczypka.

–To wy rezygnujecie z wycieczki? – zdziwił się pan kierownik.

–Tak, proszę... – rzekł za wszystkich wójt Olszak. – Prawda, koledzy?

–Yhy!... – Tak, proszę!... – poparli go wszyscy.

Pan kierownik uśmiechnął się do siebie. Lecz nie pokazał tego, bo się schylił do szafy.

–No, dobrze więc! Jeszcze dziś powiem panu nauczycielowi Tenderze, żeby z wami rozpoczął próby! Możecie iść!

Chłopcy zaszurgali stopami i wyszli uradowani, jakby siedzieli na złotych koniach.

–No i co?... NO co?... – jął dopytywać ujec z miotłą, sterczący za drzwiami.

–Gramy, ujcu!... Gramy!... – wrzaśli chłopcy.

–No, to grajcie! Grajcie z Panem Bogiem! – uradował się stary ujec.

Lecz samo przedstawienie to jeszcze nie wszystko. Jeżeli dobrze pójdzie, to

przyniesie z jakich trzysta złotych czystego dochodu. I musiałyby być sala gimnastyczna nabita publicznością po ostatnie miejsce.

–No, poczekajcie, to ja już jakoś zrobię! – pocieszył ich ujec.

–Jak to zrobicie, ujcu?... Jak to zrobicie?...

–Hm... zobaczcie. Oto wezmę od pana nauczyciela bilety i będę obchodził domy. I każdemu powiem, że to na Kucharyję. Niemożliwe, żeby się coś nie uzbierało!...

Rzecz najważniejsza została więc załatwiona. Teraz chodzi tylko o jeszcze coś takiego, co by dochodów przysporzyło. Zwołano więc wielkie zebranie, w którym wzięli udział przedstawiciele reszty klas, począwszy od klasy piątej w górę. I uradzono, że Rosenberg, Machalica, Blattan i Weiser urządzą ślizgawkę na Bładnicy. Akurat w tym miejscu, tuż obok mostu, gdzie woda rozlewa się w szeroki staw. Na ślizgawce będzie się płacić wstępne po 10 groszy i znów się coś uzbiera. Metza powiedział, że sprzeda na targu osiem gołębi: trzy krakusy i pięć garlaczy. Nalewajka z Wiślicy przyrzekł sprzedać sąsiadowi trzy króliki: jednego starego samca i dwie samiczki tegoroczne. Wszak już dawno sąsiad o nie prosił. Powie mu, żeby je sobie wziął, ale pieniądze na rękę!... Gołyszny zaś oświadczył, że do Nowego Roku okocą mu się dwie złote rybki, co je otrzymał od wuja z Goleszowa. To potem te dwie stare złote rybki sprzeda panu Jakubcowi z rynku, a młode sobie zostawi. Ujec zaś napomknął, że ma przecież jeszcze sześć zegarków...

–To ujec może jeden zegarek sprzedać i pieniądze złożyć na Kucharyję! – ogłosił w klasie wójt Olszak.

Chłopcy próbowali obliczyć, ile to wszystko przyniesie dochodu, lecz nie mogli w żaden sposób wyliczyć. Bo gdy jednemu wypadło czterysta złotych, to drugiemu pięćset, a kudłaty Szczypka, który najgorzej liczył przy tablicy, długo sumował jakieś liczby na papierze, dodawał, odejmował i nawet mnożył, a w końcu orzekł, że dochodu będzie równych tysiąc złotych i siedem groszy.

–Skąd tych siedem groszy wzięłeś? – śmiali się chłopcy.

–To za moje guziki, takie duże, kościane!... Sprzedam je takiej pani jednej, co szyje. Powiedziała, że mi da za nie siedem groszy.

–Ale te tysiąc złotych?... Skąd tyle ich wzięłeś?...

–No, to rachujcie! – wołał Szczypka i podsuwał kolegom zapisany skrawek papieru.

Koledzy jednak nie rachowali, bo wiedzieli, że Szczypce pokręciły się liczby przy dodawaniu, i mnożeniu, i stąd taka wysoka cyfra. Jemu się bowiem zawsze liczby pokręciły na tablicy. W zeszycie rzadziej, bo najczęściej zadania rachunkowe

odpisywał od Drabiny, który najlepiej rachował.

Rozpoczęły się wreszcie próby przedstawienia jasełkowego. Królem Herodem miał być Metza, świętym Józefem Olszak. Ta rola najbardziej mu odpowiadała z tego powodu, gdyż będzie kiedyś księdzem. Królami ze Wschodu mieli być Urbach, co będzie kiedyś rabinem, Macura, który zostanie kiedyś pastorem, i Hajek – narciarz. Pasterzami zostali ci najmniejsi koledzy. A więc Karlik Bylok z czupryną zaczesaną na jeża i codziennie smarowaną smalcem, potem modrooki Raszka, następnie Drabina z gminnej gospody i Szczurek – narciarz. Kapłanami żydowskimi mieli być Babilon, Któremu już wąs wyłaził pod nosem, chudy i cienki Szczygiel z Żabińca oraz mały garbaty Pietruszka. Wszyscy trzej byli ministrantami, więc umieli nawet po łacinie gadać, a to przyda się takim żydowskim kapłanom, jak zawyrokował wójt Olszak.

Najgorzej było jednak z Matką Boską i z aniołkami. Skąd tu wziąć Matkę Boską i aniołków?... Wprawdzie w klasie ósmej było dwanaście dziewczyn, lecz wszyscy chłopcy prowadzili z nimi wieczną wojnę. Chłopcy nie lubili tamtych dziewczyn, dziewczyny zaś nie lubiły chłopców i zawsze na nich wygadywały niestworzone historie. Kiedy im wójt Olszak oświadczył, że jedna z nich musi być Matką Boską, a cztery zaś aniołkami, to Wanda Małyszówna, co miała czarne oczy i nigdy nie umiała historii, oświadczyła stanowczo, że żadnej dziewczynie ani się śni, by która z nich miała grać rolę Matki Boskiej lub aniołka.

–Jeżeli chcecie – mówiła zadąsana do Olszaka – to sobie sami wybierajcie Matkę Boską i aniołków!... Wiecie!... Bo my nie potrzebujemy od was żadnej łaski ani nic!... Wiecie!...

Olszak poszedł zmartwiony do pana nauczyciela i wszystko powiedział. Pan nauczyciel zaś poszedł do dziewczyn i wytłumaczył im, że przecież to będzie dla małego Kucharczyka, który teraz jest w szpitalu i który zapewne umrze, jeżeli nie wyśle się go do sanatorium. I tak umiał do dziewczyn przemówić, że dziewczyny zaczęły chlipać z wielkiego wzruszenia, a potem już wszystkie oświadczyły, że będą grały, co tylko będzie trzeba. I na tym stanęło, że rolę Matki Boskiej odegra Wanda Małyszówna. Aniołkami zaś będą Dorka i Jewka Jeiknerówny, Irka Prausówna i Hana Buchcianka.

Chłopcy trochę się krzywili na Wandę Małyszównę, bo twierdzili, że Matka Boska miała niebieskie oczy i jasne włosy. Wanda Małyszówna zaś jest czarna jak Murzyn. Oczy czarne, włosy czarne, a do tego jeszcze obcięte. A Matka Boska nosiła przecież warkocz. Najwięcej gardłował przeciwko Wandzie Małyszównie syn kościelnego, Frydrychowski.

–Ja wiem dobrze!... – krzyczał w klasie przed chłopcami. – Wiem dobrze, bo przecież mój ojciec jest kościelnym. Na każdym obrazie Matka Boska ma niebieskie

oczy i jasne włosy, a Wanda Małyszówna wygląda jak Cyganka!... Cóż to będzie za Matka Boska?...

Olszak jedna, który dzisiaj pachniał apteką, podrapał się po jasnej czuprynie i powiedział, że to nic takiego, bo on zaś widział na jednym obrazie Matkę Boską z czarnymi oczami i czarnymi włosami.

–A czy Matka Boska Częstochowska nie ma czarnych oczu i czarnych włosów?... Co?... Przecież ona cała po twarzy jest czarna!... No, widzisz!...

–No tak, ale ten obraz był kiedyś w kominie! – opierał się Frydrychowski.

–No, to ludzie sobie wyobrażą, że Wanda Małyszówna też była w kominie! A cicho już! Bo kto tu jest wójtem? Ja, czy ty?...

I rozpoczęły się teraz próby jedna za drugą. Pan nauczyciel trochę się gniewał, bo chłopcy wciąż wywoływali kłótnie z dziewczynami za kulisami, raz po raz bili się, trącali i przedrzeźniali, gdy aniołki nuciły kolędy. A dziewczyny zaś piszczały i wołały, że kiedy pasterze śpiewają, to beczą jak ich barany. I wtedy pan nauczyciel musiał ze wszystkimi aktorami zbyt głośno rozmawiać i przyganiać im, i wymówki czynić.

–Chcecie mieć na sumieniu śmierć małego Kucharczyka? – zapytał raz, nie wiedząc, jak tu sobie poradzić z małą bandą aktorską.

A przecież nikt nie chciałby mieć śmierci małego Kucharczyka na sumieniu. Broń Boże!...

–Nie chcemy!... Nie chcemy!... – jeśli wszyscy wołać, a dziewczyny, co to zawsze płacz na podorędziu, już poczęły pociągać nosem i chlipać żałośnie.

–No, to więc zgoda niech będzie między wami! Bo inaczej niczego się nie nauczymy!

I odtąd już zapanowała zgoda.

Zgodę tę utwierdził jeszcze mocniej list Kucharczyka. Przyniósł go znowu ujec do klasy. naturalnie Kucharczyk nic nie wiedział, co jego koledzy przygotowują dla niego, i dlatego też wciąż był smutny, że będzie musiał koniecznie umrzeć. Kiedy wójt Olszak czytał ten list na próbie, a potem przeczytał tamto zdanie:...a przyjdźcie też na mój pogrzeb, gdy już będę umarły... – to dziewczyny znowu się splotały i nawet śpiewać nie mogły, bo im się łzy cisnęły do oczu, a drobne ich serca pchały się gdzieś do gardła i dławily, że trudno było śpiewać.

Największy jednak kłopot był z Jezuskiem. Skąd tu bowiem wziąć Jezuska? Wprawdzie jeszcze czas go szukać, bo do przedstawienia daleko, lecz trzeba już się za nim obejrzeć. Radzono znów i radzono, aż w końcu uradzono poprosić panią

Ombachową ze stacji, by pożyczyła im swego wnuczka, Zygmunusia Nowaka.

–Tak, to będzie z niego dobry Jezusek!... – przyświadczyli wszyscy chłopcy, kiedy dziewczyny powiedziały o Zygmunusiu. – Lecz czy pani Ombachowa nam go pożyczy?

...

–Pójdziemy z delegacją i dobrze będzie! – załatwił spór wójt Olszak.

Jeszcze brakowało trzech dni do przedstawienia. Miało być ono odegrane w drugie święto Bożego Narodzenia. Chłopcy wysłali poprzednio paczkę do Kucharczyka do szpitala. W paczce była czekolada, były pomarańcze, cukierki, książki o przygodach i znaczki listowe ze wszystkich krajów europejskich. Afisze były już także rozlepione. Tymczasem stało się pierwsze nieszczęście.

Oto Blattan wybił sobie na ślizgawce dwa przednie zęby!...

Rosenberg zmajstrował bilety, wydrukował na nich: "Wstęp na ślizgawkę 10 groszy!" – Machalica objął rolę kontrolera, dziurkując bilety takim zębatym kółeczkiem, jakiego używają szwaczki. Blattan zbierał pieniądze, a Weiser zapalał świece na lodzie. Nad Bładnicą nie było bowiem światła, a że chłopcy ślizgali się do późnej nocy, trzeba było więc świecić sobie świecami. Weiser przyniósł przeto butelki z odbitymi szyjkami, wsadził do flaszek zapalone świece i było światło. Pieniądze wpływały do kasy szczerze, bo Machalica był silny. Poza tym był uzbrojony w wierzbową plecionkę. Kto nie chciał zapłacić, a pchał się na ślizgawkę, tego Machalica przepędzał z wielkim wrzaskiem. A że każdy chciał się ślizgać, więc płacili wszyscy. Nieszczęście jednak chciało, że ojciec Weisera zamknął świece w stoliku i powiedział synkowi, że nie starczyłoby na same świece całego jego zarobku. W wieczór przedwigilijny ślizgawka nie była oświetlona. I to było zgubą Blattana. Bo Blattan, jako najlepszy łyżwiarz, pokazywał kolegom sztuki na lodzie. Kręcił się jak wrzeczono na jednej nodze, skakał, nachylał się, tańczył. Dzisiaj to samo czynił. Potem rozpędził się, by podjechać pod niski most żelazny. Za wcześniej jednak podniósł się, wyrznął głową o żelazny most, siadł mocno na lód, a w głowie mu zahuczało jak w Bermanowym młynie. Kiedy się w końcu ocknął, wypluł na dłoń dwa zęby. Przygoda ta zwarzyła wszystkim radość ze ślizgawki. Poza tym stara Brachaczka, mieszkająca tuż przy Bładnicy, przyszła nazajutrz i poszczerbiła ślizgawkę siekierą.

–Czemu to robicie, Brachaczko? – pytali zdziwieni ludzie, patrząc, jak rąbie w wodzie dziury.

–A bo mi chłopaczyska wrzeszcza do późnej nocy pod oknami, że stary człowiek nie może w żaden sposób usnąć!... – skarżyła się stara Brachaczka i rąbała dalej ślizgawkę.

Następnie w samą wigilię Bożego Narodzenia zdechły Gołysznemu obie złote rybki. Poleciał z płaczem do Olszaka.

–Olszak, wiesz co?... – zaczął z miejsca. – Rybki mi zdechły!...

Rozpaczy nie było końca. Lecz już nic teraz nie pomogło lamentowanie. Winien był wszystkiemu Gołyszny. Oto w południe zauważył, że rybki są jakieś oswiałe i że jedna nawet przewraca się do góry brzuszkiem. Pomyślał przeto, że im brak powietrza. Wziął fajkę ojca, odkręcił rurkę i zaczął dmuchać rybkom powietrze do wody. A kiedy wieczorem po wieczerzy ojciec chciał zapalić sobie fajkę, to w rurce mu tylko bulgotało, rybki zaś w akwarium pływały już po wodzie martwe.

Na trzeci dzień miało się odbyć przedstawienie. Ujec ogolił się i obszedł prawie wszystkie domy zamieszkałe przez takich ludzi, co by mogli przyjść na przedstawienie, lecz im się nie chciało. I wszędzie tak mocno przemawiał do ich serca, że ludzie kupowali bilety, a nawet dawali mu więcej, aniżeli bilet wstępu kosztował. Ujec nadwyżkę zapisywał na przygotowanej zawczasu liście.

Wieczorem zaczęło się przedstawienie. Sala była istotnie nabita po brzegi. Wszyscy chłopcy zacierali dłonie z zadowolenia, bo kiedy pan nauczyciel Krpetz obliczył pieniądze za bilety, to okazało się, że udało się zebrać 385 złotych i 15 groszy. I kiedy ludzie na sali niecierpliwili się czekając na rozpoczęcie przedstawienia, to tymczasem na scenie wszyscy aktorzy przeżywali ogromne wzruszenie.

"Żeby się tylko wszystko dobrze udało!..." – myślał każdy.

"Żeby nam Jezusek nie uciekł ze żłóbka!..." – wzdychali inni.

Aktorzy przekonali się bowiem, że mały Zygmus Nowak nadaje się świetnie na Jezuska. Jedna tylko z nim bieda, że bał się ogromnie karalucha i nie chciał wejść do żłóbka. Pan nauczyciel Tendera musiał wytrząść siano w żłóbku, by go przekonać, że nie ma karalucha. Wtedy dopiero Zygmus uwierzył i pozwolił się wsadzić do sianka. Każdy jednak lękał się, że jak mu coś strzeli do małej główki, to gotów nawet podczas przedstawienia uciec ze sceny lub przynajmniej narobić krzyku. Wszyscy przeto dogadzali mu, przychlebiali się, cmokali na niego i głaskali po płowej czuprynce. A gdy Zygmus zaczął się krzywić i wołać, że chce do babci, to król Herod w złotej koronie i czerwonym płaszczu stawał na rękach i wędrował po scenie. Wtedy Zygmus zapominał o babci, klaskał w dłonie i wołał, żeby król Herod jeszcze chodził na rękach.

Przedstawienie było bardzo śliczne. Najpierw pasterze spali przy ognisku, a za sceną król Herod, trzej królowie ze Wschodu i święty Józef grali w karty. Potem pasterze jęli wrzeszczeć, że niebo goreje, a aniołowie weszli na scenę z ogromnym śpiewaniem. A kiedy odeszli pasterze, z drugiej strony przyszli trzej królowie. A więc

Urbach, Macura i Hajek. Każdy był ubrany w bogaty płaszcz królewski, z koroną na głowie, a Hajek był jeszcze usmarowany sadzą po twarzy. Królowie śpiewali i pytali się jeden drugiego, gdzież ta gwiazda niebieska prowadzi ich tak daleko. A gwiazda tymczasem sunęła po sznurku wyciągniętym ponad sceną. Gwiazdą była mała lampka elektryczna, a ciągnął ją na sznurku Karlik Bylok. Niestety jednak chcieli, że sznurek się urwał i gwiazda spadła na głowę Hajka. Hajek wrzasnął, tamci dwaj królowie zapomnieli śpiewać, a ludzie zaczęli się ogromnie śmiać z tej przygody. Lecz potem kurtyna spadła i już wszystko było dobrze.

Następnie znowu kurtyna się podniosła, a wszystkim widzom przedstawił się król Herod na tronie. Przyszli do niego trzej królowie, potem przyszli kapłani żydowscy, a król Herod krzyczał i prał tak mocno berłem po tronie, że aż sam pan nauczyciel Tendera psykał na niego za kulisami, żeby tak nie tłukł berłem, bo je złamie. Kapłani kiwali się mądrze i czytali jakieś grube księgi, królowie ze Wschodu zaś nie wierzyli Herodowi, lecz przyrzekli, że wstąpią do niego, gdy będą wracali. Potem król Herod jeszcze bardziej krzyczał, jak tylko tamci jego koledzy ze Wschodu poszli sobie, i znów prał berłem po tronie.

Kiedy kurtyna opadła, ludzie bili brawa i ogromnie się cieszyli, że tak pięknych Jasełek jeszcze nie widzieli.

Potem kurtyna po raz trzeci uniosła się wysoko i wszyscy ujrzeli stajenkę Betlejemską. Była Matka Boska, aniołowie, święty Józef ze złotym kółkiem na głowie, Jezusek w żłóbku i pasterze. Po pasterzach przyszli królowie. Wszyscy śpiewali bardzo pięknie przeróżne kolędy, a Jezusek wszystkim błogosławił. Lecz kiedy królowie ze Wschodu złożyli swoje podarunki do żłóbka, stało się prawdziwe nieszczęście. Oto Hajek-narciarz, odgrywający rolę czarnego króla ze Wschodu, wpadł na głupi pomysł, by włożyć do żłóbka pudełko, a w pudełku karalucha. Pudełko to miało oznaczać szkatułkę ze złotem. I kiedy wszyscy najładniej śpiewali, to Jezusek wrzasnął rozpaczliwie:

–Karaluch!... Karaluch!...

Istotnie po żłóbku maszerował gruby, pękaty karaluch. Wylazł bowiem z pudełka i teraz kierował się prosto do nóżki Jezuska. Święty Józef szybko się połapał i, co miał siły, walnął spoza głowy swą lagą w kroczonego brzydala. I to wszystko do reszty przestraszyło Zygmunia. Zanim kto się spostrzegł, wyskoczył z niskiego żłóbka i, krzyżąc wniebogłosy, pognął w koszulinie za scenę. Święty Józef pobiegł za nim, lecz na drodze klęczał aniołek i święty Józef położył się jak długi. Powstał teraz ogromny krzyk na scenie, urwanie głowy, ludzie zaś bili brawa i zaśmiewali się do łez, i krzyżczeli ubawieni, że jeszcze nie widzieli coś podobnego na świecie!...

O TYM, CO SIĘ PRZYDARZYŁO

PANU DOKTOROWI NOWAKOWI

Wójt Olszak wrócił z Cieszyna.

Wszyscy chłopcy czekali go już na dworcu i wszyscy pytali się jeden przez drugiego, co słyhać z Kucharyją, czy się radował, czy nie umrze. Ale wójt Olszak oświadczył, że ma dużo do powiedzenia i dlatego zwołuje zebranie do kotłowni.

–Czemu do kotłowni? – zdziwili się chłopcy.

–No bo tam jest ciepło, a ujec też chciałby posłuchać wszystkiego.

–A kiedy mamy się zebrać?

–Zaraz po obiedzie. Tak o godzinie drugiej najpóźniej!...

O godzinie drugiej ciasna i niska kotłownia wypełniła się chłopcami. Ostatni przyszedł wójt Olszak z modrookim Raszką. Wszyscy usiedli, gdzie było komu wygodniej, ujec zaś stanął obok kotła, bo się lękał, żeby który z chłopców nie kręcił kurkiem od pary. Olszak stanął w środku i zaczął opowiadać.

Chyba jeszcze nigdy chłopcy nie słuchali z takim przejęciem jak dzisiaj. Olszak zaś opowiadał o wszystkim, a tak zajmująco, jakby to była najciekawsza przygoda Robinsonowa.

A więc Kucharyja siedział na łóżku w szpitalu, blady i mizerny. Nawet trudno go było poznać. Na sąsiednich łózkach leżeli różni chłopcy. Jedni bez ślepej кишки, inni mający jakieś złamane nogi czy ręce, inni jeszcze jakieś inne choroby, lecz Olszak interesował się tylko Kucharyją. I biedaczysko chłopak o mało że się nie zbeczał. Powiedział, że go nie będzie całował, bo panna doktor Stasia i pan dyrektor Kubisz zakazali.

–Czemu? – zapytał Karol Bylok.

–No bo Hanys Kucharyja ma początki suchot i mógłby mnie zarazić!... Tak mi powiedział. Chociaż ja się tam nie boję!... – i uderzył dłonią po swej szerokiej piersi tak mocno, że aż zadudniło.

I znów zaczął opowiadać, jak to Kucharyja nie chciał wierzyć, że nazbierali 502 złote i 37 groszy. Wszystko pięknie wyliczył Kucharczykowi. Z przedstawienia tyle i tyle, od ujca za dwa sprzedane zegarki tyle i tyle, od Rosenberga ze ślizgawki tyle, od Nalewajki za króliki, potem od Metzy-gołębiarza za osiem gołębi, od Szczypki za

**guziki sprzedane szwaczce, od Olszaka też coś i od Hajka za sprzedane narty –
wszystkiego razem 502 złote i 37 groszy.**

–I co na to Kucharyja? – zapytał modrooki Raszka.

**–Wciąż nie chciał wierzyć, a potem wziął mnie za rękę i zapytał, czy to prawda, czy
już teraz naprawdę nie umrze?...**

–I coś mu powiedział?

**–No, że nie umrze... I wtedy chłopiec chciał się ubierać i już jechać. Ale przyszedł
pan dyrektor Kubisz i powiedział, żeby jeszcze siedział, kiedy mu dobrze. A pojedzie
dopiero po Nowym Roku, tak koło 15 stycznia. A potem byłem u panny doktor Stasi.
Nie zastałem jej w domu, bo znowu gdzieś poszła do jakiegoś chorego dziecka na
wsi. Lecz wróciła potem.**

–Widziałeś ją?...

–No pewnie, że widziałem. Tak jak ciebie teraz widzę!...

–Jak wygląda? – zapytał teraz ujec.

**–Hm, ładna jest i młoda. Ma czarne oczy i czarne włosy. Taką grzywkę jak paż na
tym obrazku, co go mamy do historii powszechnej. Albo w tej Bajce Andersena...
Wiecie?...**

**Chłopcy wiedzieli, jak wygląda paż na obrazku do historii powszechnej lub w tamtej
bajce Andersena. Powiedzieli więc, że wiedzą.**

**–A tak się uśmiecha, jakby miała miód w ustach. A w lewym policzku ma taki dołek,
gdy się śmieje... A wiecie, co mi mówiła? Bo ja się pytałem, czemu ma ten dołek w
lewym policzku, a nie ma go już w prawym.**

–No, co prawda? Co?...

**–Że kiedy ją Pan Bóg stworzył, to nie chciała iść na ziemię. A Pan Bóg dotknął ją
palcem w lewy policzek i powiedział: "Idźże, utrapione dziewczynisko, na ziemię!..." I
poszła.**

**–Eh, to chyba nie będzie prawda?... – mruknął Hajek-narciarz, co swoje narty
ofiarował za tamtego karalucha, żeby się już tylko nikt z kolegów nie gniewał na
niego.**

**–Cóż by nie była prawda?... Myślisz, że nie?... Pan Bóg wszystko może!... Przecież
ja dobrze wiem!... – zaperzył się Olszak.**

Chłopcy mu przytaknęli, boć wiedzieli, że wójt Olszak będzie kiedyś księdzem, to już o takich rzeczach dobrze wie.

–A potem dała mi czekolady kawał, pogłaskała po głowie i powiedziała, że wy wszyscy chłopcy jesteście porządni. Że macie serca ze złota czy jak tam... Ja już nie pamiętam... Ujca kazała ładnie pozdrowić, a was wszystkich też. A Kucharyja też kazał wam ładnie podziękować za wszystko i ładnie pozdrowić!...

Chłopcy słuchali i tak każdemu było, jakby siedział na stu złotych koniach. Ujec zaś gładził się dłonią po nie golonej brodzie i ruszał śmiesznie grdyką. A coraz pociągał nosem.

–Pytałem się jeszcze Kucharczyka, gdzie się teraz jego ojciec obraca. A on powiedział, że chodzi po świecie z tą katarynką, którą mu pan Szymiczek wypożyczył na zimę. Lecz często odwiedza go w szpitalu, a ten kudłaty, rudy Józef też przychodzi. Znalazł pracę w elektrowni cieszyńskiej. Pali pod kotłami...

–To tak jak ja!... – uradował się Ujec.

–Tak jak wy, ujcu!... Tylko że tam są wielkie kotły, a ten jest malutki...

–Jej, żeby w takiej dużej kotłowni można kiedy pokręcić sobie trochę kurkiem!... – westchnął rzewnie mały Karlik Bylok. – Toby syczała!... Farena jednego!...

–A panna doktor Stasia napisała list do pana doktora Nowaka i powiedziała, żebyśmy z tym listem poszli do niego!

–Chodźmy!... – wrzasnął uradowany Szczypka, który wciąż myślał o guzikach.

–Jutro pójdziemy!... – zawyrokował wójt Olszak. – Kto pójdzie ze mną?...

Zgłosili się wszyscy, nie wyłączając ujca. Lecz wójt Olszak wytłumaczył, że wszyscy nie mogą iść, że wystarczy delegacja. Zostali więc wybrani tylko Raszka modrooki, Engelbert Slowencyk i Urbach, jako najbardziej wymowny. Ujec też postanowił pójść.

Nazajutrz poszli z listem do pana doktora Nowaka. Powiedzieli mu wszystko, co dotychczas uczynili dla małego kolegi Kucharczyka. Pan doktor Nowak słuchał i mrugał oczami. Potem powiedział, że ogromnie się cieszy, że spotyka takich porządnych chłopców.

–Tamta panna doktor Stasia też tak powiedziała, nie?... – upewnił się szeptem modrooki Raszka, nachylając się do Olszaka.

–Yhy!... – mruknął Olszak.

–Wiecie, chrabąszcze... bo ja nie byłem przez dwa miesiące w domu, więc nie wiedziałem, co się tu działo. Ale teraz już wiem wszystko. No dobrze, chrabąszcze wy moje, dobrze... Wszystko się robi! Dzisiaj po południu. Bo dzisiaj mamy sobotę, prawda?...

–Tak jest, panie doktorze!...

–To dobrze!... Bo człowiek zapomina! Więc dzisiaj jadę z nartami na Baranią! Wracam w niedzielę wieczorem! A w poniedziałek zajmę się losem waszego Kucharczyka. To jest brat tamtej Jadwiżki, która jest na Baraniej?...

–Tak jest, panie doktorze! To jej brat!... – odpowiedział za wszystkich wójt Olszak.

–No dobrze, dobrze! Idźcie sobie już... a w poniedziałek zaczniemy radzić nad losem Kucharczyka! Pieniądze się przydadzą... Ja też coś mogę dodać. Coś uzyskam z Czerwonego Krzyża i wyślemy synka do Zakopanego, do sanatorium! Wszystko będzie dobrze! No do widzenia, do widzenia!...

Chłopcy z ujemem poszli. Ujec stracił tylko jeden guzik. Kiedy już stał w progu, to wdał się z nim w rozmowę pan doktor Nowak i odkręcił mu guzik.

Ujec trochę się zmartwił, lecz potem powiedział do chłopców:

–A niechby mi wszystkie guziki odkręcił, gdyby tylko naszego Hanysa uratował. Bo tylko on to może uczynić, nikt inny!...

Pan doktor Nowak zaś związał narty, ubrał się w granatowy kostium narciarski, wdział na głowę wełnianą kominiarkę, na dłonie ogromne rękawice z jednym palcem i pojechał do Wisły.

Przybył do schroniska już o zmroku. W schronisku był jeszcze gwar, gdyż zjechało się sporo narciarzy. Kiedy pan dzierzawca spostrzegł pana doktora Nowaka wchodzącego do pokoju, aż w dłonie klasnął uradowany.

–Myślałem, że się co stało z panem doktorem!... Nie ma i nie ma!... – radował się, oczyszczając go ze śniegu, gdyż na dworze prała gęsta zadymka.

–A co Jadwiżka? – zapytał.

–Ho, ho!... Dziewczyna jak rzepa! Zdrowa jak żelazo! A na nartach jeździ! Ho, ho!...

–No to dobrze! To dobrze! Jutro ją zbadam, jak tam ze szmerami w płucach.

–Dziewczyna nie mogła się doczekać pana doktora!

–Hm!...

–A gdy się dowiedziała, że jej brat o mały włos nie utonął w wezbranej Wiśle, to tak płakała, że aż mi się serce krajało! A teraz się martwi o niego, że umrze...

–Nie umrze! – mruknął twardo pan doktor Nowak.

–A ojciec już tu był dwa razy! Teraz gdzieś wędruje w te mrozy po świecie z katarynką! Hm, ciężki chleb!...

–Ha, ciężki, ciężki! – przyświadczył. – I temu zrobi się koniec! Będzie miał niezadługo lżejszy!...

–W jaki sposób? – zainteresował się dzierżawca.

–Eh, co naprzód mówić! Dowie się pan! A teraz daj pan jeść, bo chcę spać!...

–A co panu doktorowi? Sznycelek, wątróbka, omlecek?

–Dawaj pan, co masz!...

–Już biegnę! Tylko, panie doktorze...

–No, co?...

–...nie radzę jutro na Baranią!... Biała śmierć!... – wyrzekł przyciszonym głosem, podnosząc wysoko brwi na znak, że mówi wielką i groźną prawdę.

–E, cóż pan plecie?

–Naprawdę, panie doktorze! Wicher szalony, zadymka, mgły... śnieg gipsowaty, szlaki nie będą przetarte! Można zbłądzić! Śmierć... biała śmierć wietrzy ofiary...

–Ale nie kracz pan jak gawron! Narciarz, a opowiada mi coś o zadymce, o białej śmierci! Dawaj pan jeść, a potem spać chcę!...

Pan dzierżawca poszedł i teraz dopiero zauważył, że pan doktor oderwał mu dwa guziki u marynarki. Westchnął więc ciężko i pobiegł do kuchni po kolację dla pana doktora Nowaka.

W ciągu nocy rozpętała się niezwykła burza. Ogromny wicher spadał z Baraniej, prał łbem o ściany schroniska, wył w kominie, wydziwiał, trząsał okiennicami, huczał po lasach jak wzburzona rzeka, łamał drzewa, porywisty, gwałtowny i dziki. Jeżeli otworzyć drzwi, to wpychał się z chichotem do sieni, przewracał człowieka i miotał śniegiem.

Nazajutrz, kiedy pan doktor Nowak wstał z łóżka i spojrział w okno, dostrzegł tylko białą, wirującą ścianę śniegu. Wicher nie ustawał, lecz przeciwnie, jakby się jeszcze

wzmógł. Skowyczał teraz w szczelinach ściany, zawodził jęklonie w kominie i dudnił po dachu jak tabun oszalałych koni.

Pan doktor przypomniał sobie tamto powiedzenie dzierżawcy o białej śmierci. I na dobrą chwilę zawahał się. Lecz potem mruknął coś, umył się, wypił herbatę z termosu, ubrał, wziął narty z korytarza i wyszedł.

Spiętrzony wichur skoczył mu na piersi z takim impetem, że pan doktor Nowak zatoczył się. Równocześnie śnieg plunął mu w oczy i zalepił je. Pan doktor Nowak znowu się zawahał. Potem jednak strząsnął z siebie obawę, zamknął drzwi, przypiął narty i wszedł w las. Wąska, zawiana ścieżka powiodła go na szczyt Baraniej.

W lesie była cisza. Mróz tylko doskwierał i parzył po twarzy. Za to górą przewalał się wichur, przechylał wierzchołki drzew, a drzewa stękały jak żywe i przeraźliwie skrzypiały.

Pan Nowak zapomniał o niebezpieczeństwie. Wędrówka w głębokim śniegu sprawiała mu niewypowiedzianą radość. Ulegał złudzeniu, że stał się jakby zaklętym królewiczem w tamtej bajce o szklanej górze i że teraz wędruje po zaczarowanym ogrodzie, by śpiącą królowną zbudzić...

Naokoło stały drzewa okryte ogromnymi czapami śnieżnymi, obwieszane długimi soplami lodu, tajemnicze i wystrojone, a tak piękne jak już nic innego na świecie. Nad głową zaś szalała burza. Las był w swej głębi cichy i biały. Górą tylko szamotał się i kołysał rwany wichur.

Długo wędrował ścieżką. Zapomniał o całym świecie. Znalazł się znowu w swych Beskidach, w zaczarowanym świecie, gdzie wszystko jest tak ogromnie białe i tak ogromnie piękne. Ścieżka prowadziła aż na szczyt Baraniej. Pan doktor Nowak wiedział, że tam dopiero otworzy się przed nim jakby zaczarowany ogrojec, na który już nie ma nazwy w ludzkim języku. Wszak tam zbiegają się wichury z całego świata, a on stanie między nimi, jak samotny człowiek między sforą szczekających brytanów, sam jeden, odważny i mocny...

Wyszedł z lasu, wyjechał na otwarte wyrąbisko. Wichur jakby tylko czekał na niego. Doskoczył do niego z lodowatymi pazurami, przypadł z wyciem do jego piersi, zwałić usiłował, Zadymka i mgła przemieniła się teraz w ruchomą białą ścianę, mknącą z przeraźliwym świstem, odgradzając go od całego świata.

–Ho, ho! – mruknął pan doktor Nowak i jął się przebijać przez ruchomą ścianę. Im wyżej się wznosił, tym większe trudności napotykał. Nie widział nic przed sobą poza tą ruchomą ścianą śniegu i mgły. Stał wreszcie na szczycie. Obok niego, o kilka kroków, majaczyła wieża Triangulacyjna, podobna do niesamowitego widma białej śmierci, oblepionej grubymi warstwami zlodowaciałego śniegu. Jemu samemu zaś

zdawało się, że stanął w olbrzymiej białej kuli, wirującej koło niego z rykiem. Mróz marszczył mu skórę na twarzy, smalił żywym ogniem, ścinał krew w dłoniach. Oczy zalepiały się skibami zamrożonego śniegu, a gdy rozchylił usta, wichur wpychał się do gardła i dławiał płuca.

Pan doktor Nowak zawahał się ponownie.

Postąpił jeszcze kilka kroków, i wtedy zrozumiał, że zagubi się we mgle i zadymce, jeżeli nie wróci. Równocześnie narty jego zaczęły głęboko tonąć w zwiewnym śniegu. Nie da rady! Wichur wzmaga się. Doskakuje, zatacza nim, wyje, zarzuca go śniegiem, pluje w oczy, dech tłamsi.

Pan doktor obejrzał się, żeby zawrócić.

Uczuł się pokonanym.

Wiedział, że trzeba mu teraz przejść kilka kroków na lewo. Przyjdzie do wieży triangulacyjnej, a od wieży na prawo w skos w dolinę zawróci. Trafi na ścieżkę w lesie. Przeszedł kilka kroków. Narty tonęły coraz głębiej. I w pewnej chwili dostrzegł, że już błądzi. Koło siebie nic nie widzi, tylko te wylatujące z przepaści ogromne kłęby śniegu i skołtunionej mgły. Przepaście są sine a mgła jest biała i nieprzenikniona. Zawrócił znowu na prawo, przeszedł z wysiłkiem kilka kroków pod wichur. I znowu nie natrafił na wieżę. Jeszcze raz zawrócił... A kiedy teraz nie dostrzegł wieży, zrozumiał, że istotnie zabłądził na samym szczycie Baraniej. Teraz może krążyć godzinami, a nie znajdzie właściwego kierunku. Przeciwnie, może się coraz bardziej oddalać od wieży triangulacyjnej i zamiast posuwać się w kierunku schroniska, może schodzić w dzikie wertepy, gdzie nawet w lecie nie postoi noga ludzka.

Postanowił jednak nie dać za wygraną.

Przecież niemożliwe, by na takiej małej przestrzeni nie trafić na wieżę! Niemożliwe! ... I jął znowu kołować, zawracać, posuwać się, cofać, a wichur doskakiwał do piersi coraz bardziej zajadły i coraz bardziej triumfujący.

Brodzenie w śniegu po kolana, podnoszenie nart, borykanie się z wichrem wyczerpywało ludzkie siły. Doktor Nowak postanowił teraz zjechać kilkanaście kroków na zbocze, a następnie zakosem dostać się do lasu. Rozejrzał się za jego czarną ścianą. Nic nie ujrzał, tylko wklęsłe, wirujące ściany mgły i śniegu.

Zauważył, że teren obniża się gwałtownie. Tędy zjedzie zakosem! Odepchnął się kijkami i ruszył. Narty nie zapadały się w śniegu, lecz niosły lekko. Wycie wichru wzmogło się. Wtedy zrozumiał, że zjeżdża gdzieś w dolinę. Ulga wstąpiła mu w serce. Znienacka jednak zatoczył się gwałtownie, złamana narta trzaska, a pan doktor Nowak wyrzucony z biegu, potoczył się w śnieg. Równocześnie gwałtowny ból przeszył go w prawym podudziu.

"Noga złamana!..." – uprzytomnił sobie ze zgrozą.

Próbował wstać, lecz ból zwałił go z powrotem do śniegu. Przez chwilę leżał jak otumaniony. Powoli uprzytamniał sobie, że to koniec wszystkiego.

Za kilkanaście minut śnieg zasypie go zupełnie!... Hm, trudno!...

Ale przecież w dolinie czekają na niego ludzie!...

Próbował jeszcze kilka razy podnieść się, próbował czołgać się, lecz uwięziony nartami w korzeniach zwałonego drzewa zrozumiał, że próżny jego wysiłek. Nart zaś w żaden sposób nie można odpiąć.

–Biała śmierć!... – szepnął i obsunął się bezwładnie w głęboki, sypki śnieg.

O tym, jak kamień spadł wszystkim z

serca

–Jak to dobrze!... Jak to dobrze!... – powtarzał mały Kucharyja w długim, wzorzystym, barchanowym płaszczu. – Jak to strasznie dobrze!... – strzelał w palce z zadowolenia.

–Co ma być dobrze? – zapytała Jadwiżka, nie wiedząc, co brat ma na myśli.

–No, że ludzie wynaleźli samochody!

–Samochody?... Cóż ci teraz samochody w głowie!

–Bo gdyby nie samochód, toby może pan doktor Nowak umarł, nie?

–Ach, o tym mówisz! O samochodzie pogotowia ratunkowego! Ale to nic. Bo gorzej by było, gdyby nie nasz Zbój.

–Yhy!... To jest dopiero mądry pies! Mówisz, że taki duży jak cielę? A nie ugryzie?

I znów zaczęło się omawianie całego zajścia od początku. Naokoło siedziały dzieci i słuchały. Były więc i te "bez ślepych kieszek", i dwóch chłopców, którzy nogi złamali na nartach, i tamta dziewczynka, co rękę złamała na łyżwach, i ten śmieszny chłopiec, co gwóźdź połknął, i tamten, który miał gardło operowane, i jeszcze tamten, który spadł z liny i złamał dwa żebra. Wszyscy byli: obwiązani, kulawi, w kolorowych płaszczach barchanowych, siedzący teraz na łózkach.

–Niech nam pani opowie!... Niech nam pani opowie o tym Zbójcu!... – jęli wołać na Jadwiżkę.

Jadwiżka musiała więc opowiadać. Mówiła, co to za pies. Ho, ho!... Takiego mądrego psa jeszcze nikt na świecie nie widział. Wszak to pies, co nie tylko z oczu ludzkich czyta, lecz po prostu myśli odgaduje. Ciężki, kudłaty, o dużych, kłapiastych uszach. I naprawdę podobny do sporego cielaka. Nie tylko wzrostem, ale i kolorem gęstej sierści. Zjada tyle, co trzy inne psy, ale mądry jest za sto innych psów.

–Naprawdę?... – dziwili się wszyscy. – A uciągnąłby wózek z węglem? – upewniał się mały sąsiad, "bez ślepej kieszki", a który poprzednio stale siedział na hałdzie i zbierał odpadki węgla. I zawsze marzył o tym, by mieć tak dużego psa, który by mógł uciągnąć wózek, niewielki wprawdzie, lecz napełniony uzbieranym węglem.

Jadwiżka powiedziała, że nie wie, czyby uciągnął wózek. Zresztą taki pies nie nadaje się do tej pracy. To pies z rasy bernardynów.

–Z rasy bernardynów?– zdziwili się znowu wszyscy.

Jadwiżka powiedziała, że tak, że z rasy bernardynów. O, taki pies umie szukać ludzi zasypanych w śniegu. Pan dzierżawca na Baraniej ma go u siebie od roku. Kupił go od jakiegoś pana, który także często podobnie jak pan doktor Nowak, wędruje po Beskidach. No i przez cały rok pan dzierżawca uczył go szukać ludzi pozornie zasypanych śniegiem.

–A jak to robiono?... – posypały się pytania, gdyż nikt nie mógł sobie wyobrazić, jak to pies bernardyn szuka ludzi pozornie zasypanych śniegiem.

Jadwiżka więc powiedziała, że pasterz pana dzierżawcy poszedł do lasu, wlaź gdziekolwiek pod jakieś zwalone drzewo, nakrył się liśćmi paproci lub zeschniętym listowiem, ale tak, żeby go nie było widać. Pan dzierżawca trzymał zaś psa przy schronisku. A potem tylko powiedział mu, żeby biegł szukać...

–Jak powiedział? Powiedz, jak powiedział? – poprosił Hanys.

–Zbój, człowiek w śniegu! – wyjaśnia Jadwiżka.

–A co Zbój?...

–A Zbój już biegł, wachając po drodze za śladami, i zawsze go znalazł. W zimie było gorzej, bo ślady były zasypane śniegiem.

–To i w zimie szukał pasterza?

–Tak. Pasterz ubierał się w kozuch, zagrzebał się w śniegu, a Zbój go szukał. I zawsze znalazł!

Kiedy już teraz wszyscy wiedzieli, jak Zbój uczył się szukać ludzi w śniegu, Jadwiżka zaczęła opowiadać o tamtym zdarzeniu. Oto pan dzierżawca poszedł rano do pokoju pana doktora Nowaka, bo się lękał, że doktor naprawdę już poszedł w tamtą burzę. I zastał pokój pusty. Wtedy pan dzierżawca ogromnie się zmartwił i był niespokojny. Potem powiedział o tym wszystkim narciarzom, którzy się zaczęli zbierać w jadalni. Narciarze mówili, że pan doktor Nowak na pewno wróci, gdy zobaczy, że nie można na nartach jeździć w takiej zadymce i wichrze. Lecz pan dzierżawca był wciąż niespokojny. I kiedy się tak martwił i namawiał narciarzy, żeby się wybrali z nim na Baranią, to Jadwiżka ubrała się w narciarski kostium, przyniosła swoje narty i weszła do jadalni.

–I coś powiedziała? – zapytał Hanys tłumiąc wzruszenie.

–Powiedziałam: "Proszę panów, kto idzie ze mną? Bo ja się wybieram!... Choćby sama!" Wtedy narciarze zaczęli się sprzeczać, lecz kilku jednak pośpieszyło się,

przypięło narty i ruszyli ze mną. Pan dzierżawca też pojechał. A ja znałam dobrze każdą dziureczkę na Baraniej. Jechałam pierwsza, a Zbój biegł przede mną i szczekał krótko...

–Czemu krótko?...

–No, to jego sposób wyrażania gotowości szukania człowieka w śniegu! I co potem? Co potem?... Niech nam pani powie!... Jadwiżka jęła teraz opowiadać, nie wiedzieć po raz który, jak znalazła pana doktora Nowaka. Leżał na północnym stoku Baraniej w głębokim jarze pod wykrotem. Był już na wpół nieprzytomny. I nie byłaby go znalazła, gdyż wszyscy narciarze z panem dzierżawcą na czele szukali go na szczycie i na zjeździe w kierunku Salmopola i Milówki. Nikomu nie przyszło na myśl, że pan doktor Nowak mógłby pojechać w tamte wertepy. A wicher był ogromny. Mgła i zadymka taka, że na kilka kroków rozciągał się już siny mrok. Na szczęście pan dzierżawca wziął ze sobą spory dzwon.

–Dzwon?... Dlaczego wziął dzwon? – jęli się dziwić chłopcy na łózkach.

Jadwiżka musiała więc wytłumaczyć, że dzwon służył po to, by zwoływać narciarzy. Pan dzierżawca zawiesił go na wieży triangulacyjnej...

–Co to jest za wieża?

–To jest takie rusztowanie w kształcie wieży, zbudowane na jakimś szczycie. To żołnierze zbudowali, bo to służy do pomiarów terenu, gdy mapy rysują. Wiecie?...

–Aha!... – odetchnęli z ulgą chłopcy, bo już wiedzieli, do czego służy tamta jakaś wieża.

Pan dzierżawca zawiesił więc dzwon na wieży triangulacyjnej i dzwonił, żeby narciarze nie zgubili się we mgle i zadymce. A narciarze szukali. Wszyscy rozeszli się po wschodnim i południowym stoku, Jadwiżka zaś poszła ze Zbojem na północny stok. I Zbój odkrył pana doktora Nowaka...

–Odkrył?... Mój Boże, to mądry pies!... – westchnął tamten chłopiec "bez ślepej kiszki".

–Ja brnęłam w śniegu za jego szczekaniem...

–To on szczekał?...

–Tak!... Wciąż szczekał. A potem, kiedy znalazł pana doktora zaszypanego śniegiem, to szczekał inaczej. Wył raczej, aniżeli szczekał. I zaraz wiedziałam, że go odnalazł. Kiedy dotarłam w tamto miejsce, a zapadałam się w śniegu powyżej kolan...

–To pani nie miała nart? – zdziwił się ten chłopiec, co złamał nogę na nartach.

–Miałam, ale śnieg był taki zwiewny i puszysty, kiedy więc dotarłam w tamto miejsce, to Zbój już odgrzebał pana doktora Nowaka i teraz go lizał po twarzy i wciąż szczekał.

–A co potem? – gorączkowali się wszyscy.

–Kazałam Zbójowi, żeby nie odchodził, a ja wróciłam po tamtych... Zdawało mi się, że nie zdołam wykopać się ze śniegu. I gdyby nie tamten dzwon, com go słyszała we mgle i zadymce, tobym też może zablądziła.

–Jezusku na świecie! – westchnęła dziewczyna, która złamała rękę na łyżwach.

–Potem zeszli się wszyscy narciarze. A było nas dwunastu ludzi. I ja ich poprowadziłam. Bo wicher tak wył, że nie można było w nim usłyszeć szczekania psa. Czasem tylko, gdy wicher na drobną chwilę ustał, to go można było ledwie, ledwie usłyszeć...

–Kogo?...

–No, naszego Zboja!... I przyszliśmy wszyscy, odgrzebaliśmy do reszty pana doktora Nowaka ze śniegu i teraz dopiero zauważyliśmy, że prawa narta i prawa noga były złamane, a lewa narta uwięziona między korzeniami...

–A płakał?... – zapytał mały chłopiec, co gwóźdź połknął naśladując jakiegoś sztukmistrza widzianego w cyrku.

–Nie płakał, bo to mężczyzna, a po drugie... przecież był prawie nieprzytomny.

–To byłby zmarł, gdyby nie ty! – szepnęła Hanys.

–No, ja jak ja, ale gdyby nie Zbój! On wyratował pana doktora Nowaka.

–A co potem?

–No, potem zrobiliśmy takie nosze z nart i kijków, położyliśmy pana doktora Nowaka na nich, a pan dzierżawca jeszcze poprzednio przywiązał kawał złamanej narty do jego złamanej nogi. No i wynieśliśmy go wszyscy na szczyt, a ze szczytu już się jakoś przeniosło pana Nowaka do schroniska. Tylko dwóch narciarzy odmroziło palce u rąk, a jeden odmroził sobie uszy...

–Przez taki krótki czas?... – zdziwił się ktoś z gromady.

–No, to nie był krótki czas! Bo wyszliśmy o godzinie ósmej ze schroniska, a wróciliśmy koło jedenastej...

–Jezusku, to nawet koń mógłby zamarznąć, a nie człowiek!... – mruknął zdumiony chłopiec, co miał złamane żebra.

–A Zbój? – zapytał znowu ktoś z chłopców.

–A co potem?... – pośpieszył następny.

–Zbój biegł przodem i poszczekiwał uradowany. A potem złożyliśmy pana doktora Nowaka w chłodnej salce i tam go dwóch panów tarło śniegiem. A tymczasem pan dzierżawca zatelefonował do szpitala po samochód.

–A widzisz, nie mówiłem, że gdyby nie samochód, toby pan doktor Nowak...

–Ty wciąż z tym samochodem. Pewnie, że samochód przysłużył się niemało do uratowania pana doktora Nowaka, lecz przede wszystkim zbój!

–A co teraz?... Czy pan doktor Nowak żyje?... – zaniepokoiła się mała dziewczynka.

–Ale pewnie, że żyje! I wyzdrowieje za jakiś miesiąc, dwa...

–Chwała Bogu!... – szepnął wzruszony Hanys i spadł mu kamień z serca.

A wszystkim chłopcom i dziewczynce, co już tyle dobrego słyszeli o panu doktorze Nowaku, także spadł kamień z serca.

Tamten chłopiec znów, co połknął gwóźdź, a teraz musiał tylko rzadką kaszkę jadać, rzekł jeszcze z uznaniem:

–Ja bym temu dobremu i mądrymu psu kupił całą kielbasę!... A kupię mu!... Zobaczycie!... – rzekł mocno i uderzył pięścią po poduszce na znak, że tak uczyni, jak tylko wyjdzie ze szpitala. – Mam w domu trzy złote zaoszczędzone, to mu za te trzy złote kupię taką kielbasę, że aż strach!... Kupię!... – i znowu uderzył pięścią o poduszkę.

–A ja pani kupię cukierków! – zaszepeliła mała dziewczynka ze złamaną ręką.

Jadwiżka uśmiechnęła się, bo jej także spadł kamień z serca.

O TYM, CO WODA MÓWIŁA

KUCHARCZYKOWI

Pan doktor Nowak wyzdrowiał.

–Ho, ho!... – mówił panu dyrektorowi szpitala, Kubiszowi, odkręcając mu guzik u białego płaszcza. – Wie pan kolega, ja myślałem, że to już będzie wtedy koniec ze mną!... Ho, ho!... Ale jeszcze widać mam czas umierać! Myślałem, że spełniło się moje życzenie...

–Jakie życzenie? – zdziwił się pan dyrektor Kubisz, spoglądając z niepokojem na palce pana doktora Nowaka, sięgającego po nowy guzik. Odsunął się przezornie za biurko.

–Ho, ho!... Bo pan kolega nie wie! Powiedziałem sobie, że chciałbym w Beskidach umrzeć! Ale nie chciałoby mi się zamarznąć ze złamaną nogą! No, wszystko dobrze! Dziękuję panu koledze! Dziękuję! Widać, jeszcze mi czas umierać! A ten mały Kucharczyk pisał? Bo przyrzekł mi, że napisze z Zakopanego do pana dyrektora.

–A pisał! Zresztą otrzymałem list od dyrektora Malickiego.

–No i co?...

Pan dyrektor Kubisz otworzył szufladę w biurku i jął szukać listu od pana Malickiego, dyrektora sanatorium zakopiańskiego. Nie mógł znaleźć.

–Gdzieś go włożyłem... No, pisał mi, że chłopiec wyjdzie... Zbadał go gruntownie i uznał, że wyjdzie. Wyzdrowieje zupełnie i niezadługo.

–No to chwała Bogu! Chwała Bogu! No, do widzenia, panie kolego!... Do widzenia!...

I pan doktor Nowak poszedł ze szpitala na dworzec. Po drodze wstąpił jeszcze do panny doktor Stasi. Stał przed dużą, czarną tablicą, umieszczoną w bramie. Przeczytał, że ordynuje od godziny 14 do 16. Pan Nowak spojrział na zegarek.

–Dobrze trafiłem! – mruknął i wszedł do bramy. Nie zastał jednakże panny doktor Stasi. Przyjęła go jej matka o łagodnych oczach...

–Nie ma Stasi w domu... – tłumaczyła, sadzając pana doktora Nowaka na fotelu. – Mówię panu, panie doktorze, utrapienie mam z tą dziewczyną...

–A dlaczego?

–Bo ma tysiąc i dwieście dzieci na głowie...

–Na głowie?... zdziwił się pan Nowak.

–No, bo tyle dzieci znajduje się w szkołach naszych. A ona jest lekarką szkolną. O ósmej godzinie jedna szkoła, potem wykłady higieny, badania, o dziewiątej druga szkoła, potem galopem do Poradni, potem znowu biegiem na pierwszą do szkoły... to wyjazd, to piesza wędrówka do chorego... O trzeciej wpada na obiad i już znowu leci! ... To posiedzenie, to jakiś odczyt w świetlicach robotnic, to pogadanka w innej świetlicy, to jakiś kurs szybowcowy... Wraca o godzinie ósmej zmachana, że ani z nią pomówić nie mogę! Coś zje, coś przeczyta i spać!... A nazajutrz znowu to samo! Straszne mam zmartwienie z tą dziewczyną...

–Hm... – mruzczał pan doktor Nowak. – Złoto, nie dziewczyna!... Złoto, powiadam pani dobrodziejce. Chciałem ją zobaczyć, powiedzieć. Eh, cóż bym jej powiedział? Ona ma czarne oczy, prawda?

–Ciemne! – rzekła z uśmiechem matka.

–Dobrze, ciemne! Chciałem jej tylko drobną dłoń ucisnąć i w jej ciemne oczy popatrzeć. Bo jeżeli człowiek patrzy w oczy takiego młodego zapaleńca o złotym sercu, to wszystko jaśnieje na świecie! No, ale pójdę, pójdę!... Ukłony zostawiam dla córki pani dobrodziejki! A proszę powiedzieć, że dziękuję za tamtego małego Kucharczyka... i za tych tysiąc dwieście dzieci, które ma na głowie... I za wszystko... Złoto, nie dziewczyna... Hm... – i poszedł zamyślony.

Nazajutrz, gdy tylko się obudził, już powziął plan. Wszak mały Kucharczyk już w dobrych rękach, jasnowłosa Jadwiżka prawie zdrowa. Ale niech jeszcze pobędzie na Baraniej do końca roku szkolnego. Potem zda maturę. Może gdzieś posadę uzyska. A może ktoś się znajdzie taki, co się w niej zakocha... I dziewczyna wyjdzie za mąż!... Ho, ho!... Jeszcze mu zatańczyć przyjdzie na weselu Jadwiżki! Ho, ho!...

I uradowany nową myślą uniósł długą koszulę i zaczął tańczyć boso po pokoju.

Potem jednak przypomniał sobie starego Kucharczyka. Zachmurzył się, boć tutaj dostrzegł jakoby lukę w swoim uradowaniu. Przecież stary Kucharczyk włóczy się gdzieś po świecie z katarynką! Cóż to za praca?... Zaraz, zaraz!...

Ubrał się i pobiegł do telefonu. Połączył się z panem zawiadowcą kopalni "Wolfgang" i długo przemawiał do jego serca. Potem odsapnął, odłożył słuchawkę i zatarł dłonie.

Po południu poszedł na poszukiwanie starego Kucharczyka. Przypuszczał, że dowie się od ludzi, gdzie teraz Kucharczyk przebywa. Nie dowiedział się.

–A był tu przed tygodniem – tłumaczył mu stary Orszulik, którego Kucharczyk przyjął do siebie. – Był, ale poszedł.

–Ale dokąd poszedł, dokąd?

–Nie wiem, pięknie proszę, panie doktorze!... Nie powiedział!... Przenocował, nasmarował swoją katarynkę smalcem, bo już pizczała szpetnie, i znów poszedł. Ale dokąd poszedł, tego nie wiem...

–No, to wy mało wiecie!... – mruknął pan doktor Nowak i oderwał mu guzik od połatanej marynarki. Potem udał się na posterunek policji.

Szymiczek dawno już zlikwidował swój interes z karuzelą, bowiem nie opłacał mu się. Na pożegnanie dał Kucharczykowi katarynkę i stary Kucharczyk powędrował daleką drogą. Katarynka mocno go uwierała w wygięty grzbiet i chociaż dmuchał mroźny wicher, to koszula lepiała mu się na plecach od ciekącego potu. Oto dojdzie do tamtej wsi, co już ją widać pod lasem, i trochę odpocznie. Potem będzie grał ludziom przed drzwiami. Drzwi się otworzą, a ludzie staną w progu i będą słuchali uradowani. Dzieci zaś przylgną do szybek w oknie, rozplaszczą na nich swoje nosy i także będą słuchały. Potem ktoś poda mu kilka groszy lub kęs chleba, ktoś drugi poda mu kęs słoniny lub zaprosi go do ciepłej izby na spory garnek gorącej kawy, do kawy poda mu znowu kęs chleba posmarowanego margaryną, obdaruje dobrym słowem i będzie dobrze...

Dochodził już do wsi, gdy spotkał go policjant.

–Wy jesteście Kucharczyk? – zapytał.

–Tak, a co, pięknie proszę, panie posterunkowy? – zdziwił się niemile Kucharczyk.

–No, chwałą Bogu – rzekł uradowany policjant. – Bo już was wszędzie szukamy od trzech dni.

–Cóż się stało? – zaniepokoił się bardzo.

–Ale chodźcie, chodźcie! Dowiedcie się na posterunku! Nic złego!...

Kucharczyk poszedł, stukając drewnianą nogą o zmarzniętą grudę. Na posterunku dowiedział się, że ma natychmiast wracać do domu, bo go szuka pan Nowak i że ma dla niego pracę na kopalni.

–Pracę na kopalni?... – zdziwił się uradowany Kucharczyk. – Naprawdę?...

–No, tak nam telefonowano! Więc to chyba prawda! Macie pieniądze na drogę?

–Ale mam!... Mam!...

–No to jedźcie! A oto nam jeszcze podpiszcie ten papier, żeśmy was uwiadomili – pan komendant o nastroszonych wążach podsunął mu papier do podpisania.

Stary Kucharczyk przybył na drugi dzień do domu. W domu dowiedział się wszystkiego. Pan doktor Nowak wytłumaczył mu, dlaczego szukał go za pośrednictwem policji. Oto w kopalni będzie praca! A teraz niech natychmiast zgłosi się u pana zawiadowcy.

Kucharczyk poszedł.

Kopalnia jeszcze stała unieruchomiona, lecz koło szybu kręciło się kilkunastu robotników.

–Co tu robicie, koledzy? – zapytał.

–No, kopalnia pójdzie!...

–Pójdzie?... Chryste Boże!...

–Teraz ją odwadniamy! Pompy pracują jak sto set! Wody ubywa mocno. Pan zawiadowca powiada, że do pół roku uruchomi kopalnię. Pan inżynier Wójcicki rozpoczął odwadnianie.

I jęli mu tłumaczyć, jak inżynier Wójcicki zmontował cztery duże pompy, umieścił na pomoście pływającym po wodzie w szybie, a teraz pompy pracują! Niech słucha!...

Istotnie pompy pracowały. Wysoki, jednostajny, metaliczny jęk sączył się z ciemnej studni szybu. Głęboko w jej mroku majaczyły światłą ludzi.

–To jest jakiś nowy patent! – tłumaczyli dalej Kucharczykowi. – Pomost opuszcza się na linach wraz z poziomem wody, a pompy także się opuszczają. Lecz co trzy metry przykręca się nowe rury. Od pomp zaś idą takie giętkie rury z metalowych pierścieni. Już ubyło piętnaście metrów wody w szybie.

–Chwała Bogu!... Chwała Bogu!... – szeptał stary Kucharczyk, a serce pęczyło mu radosnym przeświadczeniem, że kopalnia znowu da pracę ludziom, że nikt z nich nie będzie się czuł niepotrzebnym człowiekiem na świecie, że on sam nie będzie się czuł niepotrzebnym człowiekiem... Chwała Bogu Najwyższemu!...

W kancelarii pana zawiadowcy dowiedział się, że otrzyma pracę. Pan zawiadowca siedział za biurkiem i ślęczał nad jakimiś papierzyskami, pokreślonymi kolorowymi kreskami. Kucharczyk wiedział, że to plan kopalni.

–No, Kucharczyku, bo "Wolfgang" pójdzie!– rzekł z miejsca pan zawiadowca, gładząc czarne wąsiska. – A wy otrzymacie pracę przy pompach. Nie w szybie, lecz na powierzchni! Nie dziękujcie! To panu doktorowi Nowakowi podziękujcie! To on prosił za was!...

–A inni robotnicy?...

–Jacy inni?

–No, ci... co jeszcze nie pracują!

–A nie martwcie się! I ci będą mieli pracę! Gdy tylko dojdziemy do podszybia, gdy wodę wypompujemy z szybu, to robota będzie dla wszystkich. Teraz ich zatrudnię na powierzchni. Trzeba wszystko przygotować. Ale, cóż tu będę opowiadał – zachnął się. – Jutro zgłóście się do pracy o godzinie szóstej rano. Do pana inżyniera Wójcickiego! On już wie o was!...

Odtąd stary Kucharczyk pracował przy wylotach rur, którymi ciekła woda wypychana rurami z szybu. Woda buchała rurami. Kucharczyk kuśtykał koło głębokich rowów i pilnował, czy się nie zasypują. Trzymał łopatę w dłoni i wciąż rowy czyścił. A woda ciekła, szumiała i pieniała się, wyloty rur dygotały zaś w żelaznych obsadach.

Po rozległym podwórzu krzatali się górnicy, znosili drzewo na przyszłą podbudowę w kopalni, układali je w wysokie sągi, inni zaś na taczkach wozili węgiel do wagonów. Wszak na podwórzu pod mostami sterczą liczne hałdy węgla. Widocznie nadeszło zamówienie i teraz kopalnia stare zapasy ukopanego węgla ładuje do wagonów. Z jednego komina sączył się dym pod blade niebo.

Po kilku tygodniach powiał ciepły wiatr, a z wiatrem przyszła wiosna. Niebo było wciąż jeszcze blade, lecz w powietrzu niósł się zapach ziemi i dalekich lasów. Ptaki także już nadleciały. Przyszedł i listonosz z listem. Błądził długo po podwórzu kopalni, aż w końcu znalazł Kucharczyka. Kucharczyk siedział u wylotu rury słuchał wody buchającej grubymi strumieniami.

–Kucharczyku... List mam do was! – rzekł pan Klajman z pękatą torbą na brzuchu.

Kucharczyk obejrzał nieufnie kopertę. Poznał, że to od jego Hanysa z Zakopanego. Palce mu się trzęsły, kiedy trzymał w nich list. Serce zaś dygotało ze wzruszenia. Bo któż może wiedzieć, co w tym liście będzie?... Może jakaś niedobra nowina?... Może synek nie wyzdrowieje, może za późno wysłany do sanatorium?...

Rozerwał kopertę, zaczął czytać powoli. Koślawe literki układały się w radosną nowinę. Oto synkowi dobrze powodzi się w dalekim świecie. Bardzo dobrze się powodzi. Wróci do domu w lecie, bo w lecie będzie już zdrowy. Tak powiedział pan

dyrektor Malicki. Teraz już pogoda wiosenna w Zakopanem, a góry tam takie wysokie, jakby trzy, a może więcej wież kościelnych postawił jedną na drugiej. Po tych górach chodzą turyści, a on też kiedyś pójdzie!...

–Tylko mi spadnij! – zachnął się Kucharczyk.

Potem znowu długo wpatrywał się w tamte nierówne, pokrzywione literki. I znowu czytał je od początku. Każdemu przeczytanemu słowu wtórował bulgot wybuchającej wody. Bulgot układał się stopniowo w jakiś zrozumiały bełkot, w jakieś postrzępione słowa. Jeżeli pilnie słuchać, można sens ich zrozumieć. Oto radują się razem z ojcem, że list przyniósł dobrą nowinę. Tak wydawało się Kucharczykowi.

Ojciec zatrzymał się najdłużej na ostatnim zdaniu. Czytał powoli, jakby pragnął przekonać się, że to wszystko prawda, że treść tych słów jest jego własnością -...bo ludzie są dobrzy! – czytał, słuchając równocześnie bełkotu wody.

I wtedy nieoczekiwanie stanęło przed jego oczami wszystko, co już było. Tamta chwila w kopalni, potem szpital, potem pan doktor Nowak, Jadwiżka na Baraniej, małpka, pan Szymiczek z karuzelą, rudy i kudłaty Józef, ujec ze swoimi zegarkami, chłopcy z szóstej klasy, panna doktor Stasia, dzierżawca schroniska na Baraniej, pies Zbój, podobny do cielęcica...

Snuły się obrazy, a woda ciekła z szumem z czterech rur, huczała głośno, w powietrzu niosły się pierwsze zapachy rodzącej ziemi, a po bladym niebie wędrowało słońce.

Wszak już nie jest niepotrzebnym człowiekiem... I jego koledzy mają prace!... A dzieci jego uratowane...

I znów zaczął czytać list synka.

...a ten zegarek, co go mam od ujca, to wciąż idzie, a pan doktor w sanatorium powiedział, że to jest dobry człowiek, co mi dał ten zegarek. Pan doktor powiedział, że wszystko będzie dobrze, że wrócę zdrowy w lecie do domu. Ja wiem, tato, że ludzie są dobrzy...

Kucharczyk zamyślił się. W ciemnym szybie pracują cztery pompy i śpieszą się ogromnie, by wydobyć wodę z zatopionej kopalni. Im wcześniej ją wydobędą, tym prędzej ludzie zjadą z lampami i kilofami, żeby kopać węgiel. Woda także się śpieszy. Woda ogromnie się śpieszy. Wędruje rurami na powierzchnię i teraz wylewa się z bełkotem w wygrzebane rowy. Skrzy się w słońcu, szumi głośno i wciąż bełkoce. Jak małe dziecko, co jeszcze mówić nie umie. Lecz gdy się dobrze wsłuchać, wszystko można zrozumieć... O, naprawdę, że wszystko można zrozumieć!...

Nachylił się jeszcze niżej i słuchał. I wtedy posłyszał, że bełkot buchającej wody

układa się w radosną nowinę z tamtego listu synka:

Ludzie są dobrzy... ludzie są dobrzy...

Spis treści

- O tym, jak się pompa zepsuła i co z tego wynikło
- O tym, jak się Kucharyja martwi
- O tym, jak słońce nie chciało świecić
- O jednym lekarzu, co guziki obrywał
- O tym, jak stary Kucharczyk został kataryniarzem
- O tym, jak Kucharyja wyrusza w świat z małpką
- O tym, jak Kucharyja znalazł nowego przyjaciela
- O tym, jak karuzela wędrowała po świecie
- O tym, jak małpka płakała
- O tym, jak przepadł zegarek
- O tym, jak małpka ginie w Wiśle
- O tym, jak ciemne oczy budzą Hanysa
- O tym, jak listy przychodziły i co z tego wynikło
- O tym, jak chłopcy wypędzali troskę z serca
- O tym, co się przydarzyło panu doktorowi Nowakowi
- O tym, jak kamień spadł wszystkim z serca
- O tym, co woda mówiła Kucharczykowi

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-03-02

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/